

Andre Norton

Świt 2250

Świt 2250 jest pierwszym utworem Andre Norton (właściwie Alice Mary Norton, ur. 1912) prezentowanym oficjalnie polskiemu czytelnikowi. Ta bardzo popularna w USA pisarka SF i fantasy, jest autorką ponad stu książek (poza fantastyką pisuje powieści szpiegowskie, historyczne i gotyckie) dla dzieci, młodzieży i dorosłych. Większość jej powieści SF z reguły dzieje się w Galaktyce, opanowanej przez rasę ludzką, i choć nie tworzą one historii przyszości, są wspaniałą kroniką poznawania obcych światów i ich tajemnic, rozmaitych cywilizacji, przeważnie w konwencji space opery.

"Świt 2250" jest powieściowym debiutem Andre Norton. Ukazał się on w samym środku ery zimnej wojny. Jego akcja toczy się kilkaset lat po wojnie atomowej, a bohaterem jest młody chłopak, mutant o zapędach reformatorskich, który nie znajdując zrozumienia wśród swoich najbliższych, wyrusza na niebezpieczną wędrówkę przez opustoszałe tereny dawnych Stanów Zjednoczonych.

Rozdział 1

Nocny złodziej

Gęsta, nocna mgła nadal spowijała większą część Eyrie niczym nieprzejrzysta zasłona. Zebrał językiem rosę z warg, lecz nadal pozostawał nieruchomy. Miał już za sobą wiele długich, wypełnionych czernią godzin czuwania, lecz nic nie wskazywało na to, aby w najbliższym czasie zamierzał szukać schronienia.

Znalazł się tu, na wierzchołku pękniętej skały, górującej nad siedzibą jego plemienia, powodowany palącą złością i trwał w tym miejscu, z sercem niespokojnie miotającym się w piersi. Spiczasty podbródek, mocny i pokryty ostrą szczeciną zarostu, oparł na zabrudzonej dłoni, próbując rozpoznać budynki, których prostokąty majaczyły w dole.

Przed sobą miał Dom Gwiazdny. Na widok grubo ciosanych kamiennych ścian wargi ścisnęły mu się w wąską szparę, z której dobiegało ciche warczenie. Zostać jednym z Gwiazdzistych, szanowanych przez całe plemię, mających za cel gromadzenie i pomnażanie wiedzy, odkrywanie nowych szlaków oraz badanie nieznanych terenów, od dawna już było największym marzeniem Forsa z Klanu Pумы. Nie potrafił wyobrazić sobie innego zajęcia. Jeszcze wczoraj, zanim zapłonęło Ognisko Rady, żył nadzieją, że przyznają mu prawo wejścia do Domu. Jakże był dziecinny i głupi, wierząc w taką możliwość, podczas gdy wszystko dookoła świadczyło o czymś zupełnie przeciwnym. Przez pięć lat pomijano go starannie przy wyborze młodzieży, tak jakby nie istniał. Dlaczego więc za szóstym razem jego zalety miałyby znaleźć uznanie w oczach członków Rady?

Oparł głowę. Szczęki bezwiednie zacisnęły się, zastygając w grymasie oznaczającym upór. To była jego ostatnia szansa. Za rok bowiem przekroczy wiek, pozwalający mu ubiegać się o przyjęcie do nowicjatu. A teraz, gdy pominięto go zeszłej nocy...

Może gdyby ojciec powrócił z ostatniej wyprawy, gdyby on sam nie nosił tak wyraźnego piętna... Zacisnął palce na gęstych włosach, szarpiąc aż do bólu, jakby zamierzał wyrwać je ze skóry. Włosy były najgorsze! Mogli zapomnieć o jego zdolności do widzenia w nocy, czy o niezwykle czułym słuchu. Przestał się przecież tym chwalić, gdy tylko pojął, jak niebezpiecznie było różnić się od innych. Nie potrafił jednak ukryć koloru swych krótko ostrzyżonych włosów. Stał się on jego przekleństwem od chwili, w której ojciec przyniósł go od Eyrie. Ludzie dokoła mieli włosy brazowe, czarne lub, w najgorszym

przypadku, w kolorze spłowiałej na słońcu pszenicy. Jego

- Forsa, były srebrzystobiałe, już z daleka mówiące każdemu, że ich właściciel jest mutantem, innym niż reszta społeczności Klanu. Mutant! Mutant!

Od ponad dwustu lat, od pamiętnych czarnych dni Chaosu jakie nadeszły po Wielkim Wybuchu - owym piekle atomowej wojny - okrzyk taki wystarczał, aby skazać kogoś bez cienia litości. Tak silny bowiem był strach, instynktowny strach całej rasy przed każdym, kto wyróżniał się wyglądem lub niezwykłymi właściwościami. Wśród ludzi krążyły straszne opowieści o tym, co robiono z mutantami, nieszczęsnymi istotami urodzonymi w pierwszych latach po Wybuchu. Niektóre plemiona podjęły wówczas drastyczne kroki w trosce o utrzymanie czystości linii rodu ludzkiego, a raczej tego, co z niego pozostało.

Tutaj, w Eyrie, z dala od ogniska zarazy panującej w zbombardowanych sektorach, mutacja była prawie nieznaną, lecz on, Fors, miał domieszkę skażonej krwi z Równin i o fakcie tym - jak daleko sięgał pamięcią wstecz

- nigdy nie pozwolono mu zapomnieć.

Dopóki żył ojciec, sprawy nie wyglądały tak źle. Co prawda, inne dzieci prześladowały go i często dochodziło do bójek, lecz obecność ojca i zaufanie jakim go otaczał, sprawiły, że nie odczuwał zbyt boleśnie owych szykan ze strony rówieśników... A wieczorem po zamknięciu bram osady, nadchodziły długie godziny spędzane na nauce pisania i czytania, posługiwania się mapą i zachowania na szlakach, tak w górach, jak i na równinach. Przecież nawet wśród Gwiazdzistych ojciec był najlepszym nauczycielem. Langdon nawet przez chwilę nie wątpił, że pewnego dnia jego jedyny syn zasiądzie razem z nim w Domu Gwiazdy.

Nawet wówczas, gdy ojciec nie wrócił z wyprawy na Niziny, Fors spokojnie oczekiwał przyszłości. Zgodnie z wymogami Prawa, własnoręcznie sporządził broń: leżący teraz obok niego łuk, krótki ostry miecz i szeroki myśliwski nóż. Poznał szlaki i zdobył Lurę - wielkiego, przydatnego w łowach kota - wypełniając tym samym wszystkie warunki konieczne do wyboru. Przez pięć lat z rzędu przybywał do Ognia z coraz mniejszą nadzieją i za każdym razem traktowano go jak powietrze. Teraz już był za stary, by próbować raz jeszcze.

Jutro - nie, już dzisiaj - będzie musiał odłożyć broń i zastosować się do poleceń Rady. Wspaniałomyślnie pozwolą mu żyć i pracować na jednej z ukrytych w grotach farm hydroponicznych. Jako mutant nie mógł przecież liczyć na więcej.

Koniec z nauką, żegnajcie marzenia o latach opędzonych na przebywaniu nizin, zaszczytnej starości nauczyciela i strażnika Wiedzy - Gwiazdzistego badacza terenów, które Wielki Wybuch zamienił we wrogi dla człowieka świat. Nie będzie szukał starych miast, gdzie dawno zapomniana Wiedza może zostać ponownie odkryta i przeniesiona do Eyrie, ani też znaczył na mapie dróg i szlaków, które pomogą wydobyć z mroku światłość. Nie potrafił i nie chciał z tego zrezygnować. Wiedział już, że nie nagnie się do woli Rady.

Z ciemności nadbiegł niski, pytający pomruk. W zamyśleniu odpowiedział

przyzwalająco. Od grupy skał oderwał się smukły cień i bezszelestnie stąpając na ugiętych łapach skradał się ku niemu, szorując po mchu miękkim futrem brzucha. Poczuli tracenie potężnej łapy, grubej niemal jak jego ramię. Wyciągnął rękę, aby podrapać za spiczastymi uszami kota. Lura niecierpliwiła się. Jej rozszerzone nozdrza chłoneły rozliczne, wabiące zapachy nocnego lasu. Ręka na głowie powstrzymywała ją, lecz posłuszeństwo przychodziło z trudem i demonstracyjnie okazywała swe niezadowolenie.

Lura kochała wolność. Zgodnie ze zwyczajem swego gatunku robiła tylko to, na co sama się zdecydowała. Był taki dumny, gdy dwa lata temu najpiękniejszy kociak z ostatniego miotu Kandy upodobał sobie jego towarzystwo. Pewnego dnia sam Jari zwrócił na to uwagę. Rozbudziło to nadzieję Forsa, jednak na próżno. Jedyną korzyścią była właśnie Lura.

Potarł policzkiem o futro wzniesionego ku sobie łba. Z głębi gardzieli ponownie nadeszło ciche pytanie. Wiedziała, że jest nieszczęśliwy.

Nic nie zapowiadało wschodu słońca. Nad łysem szczytem Wielkiej Głowy gromadziły się czarne chmury, powiększając jeszcze ciemność przedświt. Zanosiło się na burzę, więc ludzie w osadzie na pewno pozostali w swych domach. Mgła zamieniła się w mżawkę i Lurę zaczął złościć upór Forsa, który nie wiadomo dlaczego nie chciał schronić się pod dachem.

Lecz gdyby teraz wszedł do któregośkolwiek z budynków w Eyrie, oznaczałoby to przegraną - rezygnację z życia, do jakiego był stworzony, pogodzenie się ze śmiechem i drwiną, z już na zawsze przypiętą etykietą haniebnej porażki, z piętnem mutanta. A do tego za nic w świecie nie mógł dopuścić. Po prostu nie mógł.

Gdybyż tak Langdon mógł wczoraj stanąć przed Radą... Langdon. Postać ojca żywo rysowała się w jego pamięci: wysoka, silna sylwetka, śmiało wzniesiona głowa, jasne, ruchliwe, ciągle szukające oczy nad wąskimi uszami i ostro zarysowana linia szczęki. Włosy miały ciemny, bezpieczny kolor. To swej nieznannej, pochodzącej z Równin matce zawdzięczał Fors zbyt jasny odcień włosów, spychający go na ubocze społeczności.

Torba Langdona z przymocowaną do paska odznaką Gwiazdy, wisiała teraz w sali pamięci Domu Gwiazdy. Znalezione ją obok okaleczonego ciała na miejscu ostatniej bitwy. Walka z Bestiami rzadko kończyła się zwycięstwem ludzi z gór.

Został zabity w trakcie poszukiwań zaginionego miasta. Prawdopodobnie nie było "niebieskie", nadal niedostępne dla ludzi i gdyby rzeczywiście okazało się wolne od promieniowania, można by je było złupić ku większej chwale Eyrie. Setki razy Fors zastanawiał się, czy dotycząca postrzępionego kawałka mapy teoria ojca była prawdziwa. Czy gdzieś na północy, na brzegu dużego jeziora, oczekując na beztróskiego śmiałka, leżało bezpieczne miasto.

- Bezpieczne miasto - powtórzył głośno ostatnie słowa, zaciskając z całą siłą dłoń na futrze Lury. Warknęła ostrzegawczo na taką zuchwałność, lecz Fors zdawał się tego nie słyszeć.

Jak było naprawdę? Zaprażył poznać odpowiedź. Pięć lat temu nie podjąłby pewnie takiej próby. Możliwe, że nie kończące się oczekiwanie

i ciągle rozczarowania w ostatecznym rachunku wyszły mu na dobre, gdyż teraz był gotowy i dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Czuł swoją siłę i potrafił ją wykorzystać. Posiadał Wiedzę i wytrenowany umysł. Chciał działać.

W dole nie zapaliło się jeszcze żadne światło. Kłębiące się chmury przedłużyły mrok nocy, lecz czasu pozostało niewiele. Musiał się spieszyć. Między skałami ukrył łuk, wypełniony strzałami kołczan i miecz. Lura położyła się obok i zastygła w oczekiwaniu, godząc się z jego milczącym poleceniem.

Skradając się wzdłuż krętej, wiodącej do Eyrie drogi, dotarł na tyły Domu Gwiazdy. Łóżka pełniących służbę Gwiazdzistych rozmieszczone były od frontu. Przed sobą miał magazyn. Szczęście uśmiechnęło się wreszcie do Forsa, gdy obmacując drzwi, przekonał się, że ciężka zasuwka nie jest zamknięta i tylko częściowo spoczywa w gnieździe... Nie był tym szczególnie zaskoczony, gdyż nigdy nie słyszał, aby ktokolwiek nieproszony ośmielił się nawiedzić to miejsce.

Pełzając bezszelestnie niczym Lura, pokonał wysoki próg i oto stał, lekko dysząc i rozglądając się po mrocznym wnętrzu. Zwykłemu mieszkańcowi Eyrie pomieszczenie wydałoby się wypełnione nieprzeniknioną czernią, lecz dla Forsa ciemność była czynnikiem sprzyjającym. Widział długi stół i ławy, z łatwością dostrzegł rząd wiszących na odległej ścianie worków stanowiących cel jego wyprawy. Bezbłędnie rozpoznał torbę ojca. Przecież tyle razy pomagał w jej pakowaniu. Ściągnął worek z haka i natychmiast odpiął przymocowany do rzemienia lśniący kawałek metalu.

O ile do rzeczy ojca mógł zgłaszać jakieś pretensje, to do Gwiazdy nie miał żadnego prawa. Usta wykrzywił mu grymas goryczy, gdy przed

zniknięciem w szarości prześwitu, położył odznakę na brzegu drugiego stołu.

Teraz, gdy torba zwisała mu z ramienia, śmiało wszedł do składu i z trzymany tam zapasów wybrał sobie lekki koc, manierkę i torbę ziarna. Wrócił na wzgórze, wy dobył broń ze schowka i z Lura u boku wyruszył w drogę. Po raz pierwszy szedł nie w stronę ciasnych górskich dolin, gdzie dotychczas zawsze polował, lecz ku tajemniczym, zakazanym Równinom. Chłód wywołany raczej podnieceniem, niż podmuchami porannego wiatru wywołał gęsią skórę, lecz pewnym krokiem zbliżał się do ścieżki, odkrytej przez Langdona ponad dziesięć lat temu. Jak dotychczas nie była strzeżona przez żaden posterunek straży zewnętrznej. Ludzie zgromadzeni przy wieczornych ogniskach, często rozmawiali o leżących w dole Równinach, dziwnym świecie, który odczuwał na sobie potęgę Wielkiego Wybuchu i zamienił się w zdradziecką pułapkę dla każdego nie znającego drogi człowieka. Nic dziwnego, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat Gwiazdzystym udało się oznaczyć zaledwie cztery miasta, w tym jedno "niebieskie", którego należało się wystrzegać.

Znali zwyczaję dawnych czasów, lecz Langdon zawsze podkreślał, że nikt nie jest w stanie stwierdzić, jak bardzo przekazywane informacje zostały przekrecone i zniekształcone przez czas. Skąd mogli wiedzieć, czy nadal byli tą samą rasą, co ludzie żyjący przed Wybuchem. Choroba popromienna,

która w dwa lata po wojnie zmniejszyła liczbę mieszkańców Eyrie o ponad połowę, mogła wpłynąć także i na przyszłe pokolenia. Przecież bezkształtne Bestie prawdopodobnie miały również ludzki rodowód, choć tym, którzy je widzieli, trudno było uwierzyć. Trzymały się jednak wyraźnie starych miast najbardziej dotkniętych skutkami wybuchu. Mieszkańcy Eyrie posiadali starodawne zapisy, pozwalające wnioskować, że ich przodkami była mała grupa uczonych i techników, prowadzących w odosobnieniu jakieś tajne badania. W pewnym momencie całkowicie odseparowali się od świata, który zginął, zanim zdążyli nawiązać z nim jakikolwiek kontakt. Wiedzieli jeszcze o zamieszkujących rozległe prerie mieszkańcach Równin. W jakiś sposób i oni przetrwali, a teraz wędrowali w kilku grupach, również nie znając plagi Bestii. Mogli być jeszcze inni.

Nie wiadomo, kto rozpoczął wojnę. Fors widział kiedyś starą książkę, zawierającą strzępki wiadomości odebranych przez rejestratory w ciągu strasznego dnia zagłady. Niestety, był to tylko żaloszny bełkot umierającego świata, tragiczny i bezużyteczny.

W górach wszyscy wiedzieli o ostatniej wojnie. Chociaż nieustannie zabiegali o utrzymanie przy życiu umiejętności i wiedzy przodków, to coraz większy był krąg rzeczy, których nie rozumieli. Mieli stare, pokryte kolorowymi plamami, starannie opisane mapy, lecz oznaczone różowym, zielonym, niebieskim i żółtym kolorem obszary nie oparły się spływającej z nieba nawale ognia i śmierci. Raz na zawsze zostały one starte z powierzchni ziemi, a dzisiaj nieliczni ludzie wychodzili nieśmiało z bezpiecznych zakątków i wędrując przez Nieznane gromadzili okruchy wiedzy, żyjąc nadzieją, że któregoś dnia uda się ułożyć z nich historię.

Fors wiedział, że o jakąś milę od szlaku, którym się posuwał, przebiega odcinek dawnej drogi. Zachowując ostrożność, można było wędrować nią na północ przez cały dzień. Kiedyś często oglądał różne przedmioty, które ojciec i jego towarzysze przynosili z wypraw, sam jednak nigdy nie widział ani Nizin, ani drogi. Przyśpieszył kroku, nie czując ciągle padającego deszczu. Ciekące strugi wdzierały się w każdy zakamarek ciała, marnie chronionego przez przesiąknięty jak gąbka, lepiący się koc... Lura zaczęła szybciej przebierać łapami, by za nim nadażyć, i choć głośno protestowała przy każdym skoku, to nie przejawiała chęci powrotu. Entuzjazm i podniecenie, pozwalające mu zapomnieć o niewygodach i biec dalej, udzieliły się również wrażliwej psychice wielkiego kota. Przedzierali się przez zarośla w napięciu, niespokojnie wodząc wzrokiem i badając każdy podejrzany sygnał.

Gdy dotarł do drogi, poczuł się niemal rozczarowany tym, co zobaczył. Kiedyś musiała to być gładka nawierzchnia, lecz czas i

rozprzestrzeniająca się stopniowo bujna roślinność, w połączeniu z brakiem jakiegokolwiek ruchu, zrobiły swoje. Jak okiem sięgnąć, wierzchnia warstwa była splekana i poradzona przez rozpełzające się w poszukiwaniu wody korzenie. W przeszłości ludzie poruszali się tędy zamknięci w specjalnych maszynach. Fors wiedział o tym, bo oglądał kiedyś książkę z obrazkami, przedstawiającymi takie urządzenia. Niestety, ich produkcja była teraz niemożliwa. Co prawda, mieszkańcom Eyrie po wielu wysiłkach udało się wydobyć sporo danych, dotyczących samochodów, jednak okazało się, że do ich wytworzenia potrzeba mnóstwo nieosiągalnych materiałów i z pomysłu budowy trzeba było zrezygnować. Pozostały stare książki z obrazkami.

Lurze droga nie podobała się. Nieufnie trąciła łapą oderwany kawałek nawierzchni, obwąchała, po czym wróciła na pobocze. Fors jednak śmiało wstąpił na drogę przodków, choć łatwiej byłoby iść przez las. Czuł, jak z każdym krokiem wzbiera w nim poczucie potęgi i siły. Pod skórą butów miał dzieło mądrzejszych i potężniejszych od siebie, a przecież byli jedną rasą. Wspólnota ta dodawała otuchy, zobowiązując równocześnie do odzyskania zaginionej wielkości.

- Ho, Lura!

Słyszając triumfalny okrzyk, kot przystanął, zwracając ku niemu ciemnobrazową głowę, po czym miauknął żałośnie, jakby dając do zrozumienia, że uważa wyprawę w tak nieprzyjemny dzień za jakieś nieporozumienie.

Lura była naprawdę piękna. Samopoczucie Forsa poprawiało się, ilekroć na nią spoglądał. Od chwili, gdy rozstał się ze schodzącą z gór ścieżką, poczuł się naprawdę wolny i po raz pierwszy w życiu nie martwił go kolor włosów, ani też myśl, że jest gorszy od innych członków Klanu. Pamiętał wszystkie nauki ojca, a w kołyszącym się na ramieniu worku ukrył największy jego sekret. Miał własnoręcznie zrobiony łuk, tak mocny, że żaden z jego rówieśników nie był w stanie go napiąć. Miecz był ostry i wyważony tak, że pasował tylko do jego dłoni. Przed nim leżał rozległy świat Równin, a u boku miał wymarzonego towarzysza podróży.

Lura bez reszty pochłonięta była lizaniem mokrego futra, lecz w pewnym momencie Fors uchwycił w jej wzroku błysk emocji, czy może myśli. Nikt w Eyrie nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, w jakim stopniu wielkie koty potrafiły porozumiewać się z ludźmi, których uznawali godnych swego towarzystwa. Kiedyś rolę towarzysza człowieka spełniał pies - Fors czytał o tym - lecz choroba popromienna okazała się tu zabójcza i gatunek ten zginął w Eyrie na zawsze.

To samo promieniowanie zmieniło rasę kotów. Małe zwierzęta domowe, obdarzone ogromną niezależnością, zaczęły wydawać na świat większych, silniejszych potomków o bystrym umyśle. Krzyżując się z dzikimi kotami ze skażonych Równin, wydały na świat nieznaną przedtem mutację. O nogi Forsa ocierało się stworzenie wielkości pumy z czasów przed wybuchem. Miało ciemnokremowe, gęste futro przechodzące na głowie, łapach i ogonie w kolor czekolady - barwy odziedziczone po Siamese, pierwszym kocie przywiezionym kiedyś w góry przez żonę jednego z badaczy. Oczy miały odcień prawdziwego klejnotu, skrząc się głębokim, wpadającym w szafir błękitem. Pod tym z pozoru niegroźnym wyglądem, krył się jednak doskonały myśliwy, uzbrojony w ostre, zakrzywione pazury i mocne kły.

Właśnie odezwał się w niej instynkt łowcy, gdyż przystanęła obok płachetka wilgotnej ziemi, gdzie racice jelenia pozostawiły wyraźny głęboki ślad. Trop był świeży. Badając go, Fors widział okruchy gleby, odrywające się od krawędzi i opadające na dno odcisków. Rzecz była godna zastanowienia. Przydałoby się powiększyć zapasy żywności, a mięso jelenia było wyśmienite. Nie musiał tego mówić Lurze, znała już jego decyzję i natychmiast podjęła trop. Ruszył za nią bezszelestnie krokiem, jakiego nauczył się tak dawno, że w pamięci nie pozostało najmniejsze wspomnienie pobieranych w lesie lekcji. Ślady biegly prostopadle do starej drogi, przecinając postrzępioną ścianę, pod którą piętrzył się stos zarośniętej zielskiej ziemi, ze sterczącymi tu i ówdzie kawałkami cegieł. Ściekająca z gałęzi i liści woda zmoczyła go, przylepiając skórnie do nóg i spływając do butów. W miarę biegu Fors był coraz bardziej zdumiony. Tropy mówiły

wyraźnie, że zwierzę ogarnęło śmiertelne przerażenie, lecz choć wyteżał wzrok, nigdzie nie mógł dostrzec śladów prześladowcy. Nie czuł jednak lęku. Nigdy przecież nie spotkał istoty żywej, człowieka czy zwierzęcia, która oparłaby się jego kutym stałą strzałom ani też nie zawałał się, stając naprzeciw niej z krótkim mieczem w ręku. Między ludźmi z gór a nieustannie wędrującymi mieszkańcami Równin panował rozejm. Gwiazdzystym często zdarzało się zamieszkać na jakiś czas w skórzanych namiotach koczowników i wymieniać wiadomości z tymi wiecznymi pielgrzymami. Nawet jego ojciec wziął sobie spośród nich żonę. Wszyscy natomiast prowadzili bezpardonową walkę z kryjącymi się w ruinach miast Bestiami. Stworzenia te nigdy nie oddalały się jednak od swych ciemnych, cuchnących nor w rozbitych budynkach i spotkania z nimi na otwartej przestrzeni można było się nie obawiać. Dlatego też z beztroską podążał za Lurą.

Trop urwał się nagle na brzegu małego jaru. Dziesięć stóp niżej, wezbrana deszczem woda strumienia pieniała się wokół zielonych, omszałych skał. Rozciągnięta wzdłuż krawędzi parowu Lura przypadła do ziemi, gotując się do skoku. Fors cofnął się za krzak i przyklęknął. Wiedział, że w tym zajęciu lepiej było jej nie przeszkadzać. Gdy dostrzegł nerwowe drżenie koniuszka brązowego ogona, spojrzął na płaski bok kota, oczekując na krótki dreszcz - sygnał do ataku... Zamiast tego, ogon nagle zjeżył się, a barki przygarbiły, jakby ktoś nałożył cugle na napięte już do skoku mięśnie. Do Forsa docierały odczuwalne przez Lurę uczucia zmieszania, wstępu, a wreszcie - strach...

Nieraz udowodnił, że miał najlepsze w Eyrie oczy, lecz wszystko, co zauważył, to poruszenie zarośli w górze strumienia, jakby coś się przez nie przepychało. Dźwięk wody tłumił wszelkie odgłosy i choć wyteżał wzrok, nie dostrzegł niczego więcej. Przyczyna niepokoju zwierzęcia zniknęła.

Lura położyła uszy po sobie, a jej oczy zmieniły się w dwie płonące złością szparki. Pod tą maską jednak Fors uchwycił inne uczucie - czający się, paniczny lęk. Wielki kot przeżył coś niezwykłego, należało więc zachować ostrożność. Podniecony wychylił się poza krawędź parowu. Choć nieznanne stworzenie odeszło, postanowił zbadać ślady, jakie mogło po sobie pozostawić.

Zielone głązy na brzegu były gładkie i śliskie, tak że dwukrotnie musiał chwycić się zarośli, aby nie wpaść do wody. Pełzając, pokonał ostatni odcinek drogi i oto znalazł się na skraju poruszających się przed chwilą zarośli. Przed nim, wypełniając gliniaste zagłębienie, czerwieńla spora kałuża. Ciecz była gęsta, lecz deszcz zaczynał już ją rozmywać. Podniósł do ust ociekający czerwienią palec. Krew. Prawdopodobnie ściganego przez nich jelenia.

Tuż obok widniał trop pozostawiony przez tajemniczego myśliwego. Ślad odcisnięty był głęboko w mokrej glinie, jakby coś balansowało przez chwilę pod ciężarem zdobyczy. Było zbyt widno, aby mógł mieć kłopoty z jego odczytaniem. Znał go przecież dobrze. To, co oglądał, było odbiciem bosej, ludzkiej stopy.

Nie mógł to być nikt z Eyrie, ani z Równin. Stopa była wąska i miała stałą szerokość od pięty do palców, jakby jej posiadacz był płaskostopy. Palce miały cienkie kości i były bardzo długie. W ich przedłużeniu leżały bruzdy - ślady nie paznokci, ale czegoś, co musiało być prawdziwymi pazurami. Fors poczuł, jak jeża mu się włosy. To było niezdrowe - takie słowo przyszło mu na myśl, gdy wpatrywał się w odcisk. Był zadowolony, że nie zobaczył tamtej istoty, choć w głębi duszy wstydział się tego uczucia.

Nadeszła Lura. Łapczywie rzuciła się na krew, chłepcząc ją z głośnym mlaskaniem. Dopiero po chwili zbliżyła się do odkrytego tropu i natychmiast zareagowała z gwałtownością, która zdumiała Forsa. Stulone uszy płasko przyłgnęły do głowy, a spomiędzy wykrzywionych, drgających nerwowo warg, wydobyło się ciche, pełne nienawiści warczenie. Fors błyskawicznie napiął łuk, niespokojnie wypatrując celu. Po raz pierwszy tego dnia ogarnął go chłód. Trząsał się cały, stojąc w strugach deszczu, spięty, gotowy do odparcia ataku. Nic się jednak nie wydarzyło.

Zachowując ostrożność, wdrapali się na poprzednie miejsce. Lura nie

zdradzała ochoty na pościg za nieznanym myśliwym i Fors nie próbował nawet jej do tego namówić. Otaczający ich dziki świat był domem Lury i życie obojga zależało od instynktu wielkiego kota. Jeśli nie miała ochoty nadstawić skóry w pogoni, należało zaakceptować jej wybór. Wrócili na drogę. Teraz jednak Fors wykorzystał cały swój kunszt, aby zatrzyć pozostawione ślady - przezorność podejmowana zazwyczaj tylko w pobliżu zniszczonych miast, gdzie na każdym kroku czaiła się jeszcze śmierć, gotowa pochłoniąć nieostrożne ofiary. Przestało padać, lecz niebo w dalszym ciągu przesłaniała gruba warstwa nisko wiszących chmur.

Około południa ustrzelił tłustego ptaka, wypłoszonego przez Lurę z gęstych zarośli. Przystanęli więc na popas i posilili się, dzieląc sprawiedliwie surowe mięso kuraka.

Zapadł wczesny, szary od kłębiących się chmur zmierzch, gdy osiągnęli wzgórze górujące nad przyległą do drogi, wymarłą osadą.

Rozdział 2

Spotkania z przeszłością

Nawet w czasach przed Wybuchem, gdy tętniło tu życie, miejscowość nie była ani duża, ani ładna. Dla Forsa jednak, który dotychczas widział jedynie zabudowania Eynie, wydawała się czymś zdumiewającym, a nawet trochę strasznym. Wokół siebie miał niepodzielnie panującą dziką roślinność, której korzenie, stale kruszące mury, zamieniały domy w pokryte grubym kożuchem zieleni, bezładne sterty gruzu. Wznoszący się na brzegu przecinającej osadę rzeki wał, stanowił jedyną pozostałość po istniejącym dawniej moście.

Fors nie spieszył się z zejściem. Przysiadł na kamieniu, patrzył i zastanawiał się. Było bowiem coś odpychającego w widocznej w dole dzikiej gmatwaninie. Nad obejmującą ruiny niecką wieczorny wiatr rozsnuwał przykry zapach nawilgłej zgnilizny. Zbyt długo miejscem tym władały wiatry, burze i dzikie zwierzęta.

Na poboczu drogi dostrzegł stertę zardzewiałego metalu. Domyślił się, że były to pozostałości samochodu, maszyny, jakiej ludzie używali kiedyś do transportu. Musiał być już wówczas stary, gdyż przed samym Wybuchem powszechnie używano innego typu, zasilanego silnikiem atomowym. Gwiazdzystymi czasami udawało się napotkać niemal nienaruszone egzemplarze takich pojazdów. Wyminął wrak i trzymając się przetartej drogi zaczął schodzić w stronę osiedla. Lura szła obok z wysoko podniesioną głową. Szeroko rozwarła nozdrza co chwila łowiły niesione wiatrem zapachy. Weszli w kipiące życiem zarośla. Z wysokiej trawy poderwała się do lotu przepiórka. Gdzieś z boku skrzekliwie odezwał się bażant. Na ciemnym tle zieleni połyskiwały czystą bielą królicze ogonki. W plataninie gałęzi kryły się zbrojne w zakrzywione kolce kwiaty, tworząc razem z obejmującym wszystko niezliczonymi pętlami dzikim winem zaporę nie do przebycia. Niespodziewanie przez chmury przedarł się promień zachodzącego słońca, zalewając purpurą mroczny krajobraz. Jakby na dany sygnał, z trawy odezwały się owady. Burza skończyła się.

Wydostali się na otwartą przestrzeń, ze wszystkich stron ograniczoną ruinami budynków. Usłyszeli odgłos ciekącej wody, więc Fors, orientując się według dźwięku, zaczął torować przejście wśród bujnej roślinności i po niedługim czasie stanęli nad wykonanym ludzką ręką zbiornikiem, do którego cienkim strumykiem spływała woda. Wiedział, że na Równinach wodę należało traktować ostrożnie. Jednak czysta, chłodna struga kusila, zwłaszcza, gdy pomyślał o zatęchłej cieczy, cały dzień bulgoczącej w wiszącej u pasa manierce. Lura nie wahała się, chłopcząc beztrudnie i potrząsając od czasu do czasu głową, aby stracić zbierające się na końcach wąsów krople. Widząc to, zanurzył w końcu dłoń i ugasił pragnienie. Źródełko leżało u podnóża dziwnego skupiska skał, które być może ułożono kiedyś, aby udawały jaskinię. Wewnątrz znalazł grubą warstwę naniesionych wiatrem suchych liści. Niedawna burza nie zmoczyła ich, więc mogli się tu schronić. Miejsce

wydawało się bezpieczne. Oczywiście nigdy nie należało spać w starych domach. Wielu ludzi przypłaciło życiem swą nieostrożność. Tutaj jednak ktoś już mieszkał przed nimi - wśród listowia bieleły kości świadczące o działalności czworonożnego łowcy.

Fors oczyścił jaskinię i wyszedł na poszukiwanie drewna na opał. Było mokro, ale w załamaniach skał odkrył sporo suchych gałęzi, dzięki czemu szybko zgromadził kilka naręczy chrustu. Na otwartych Równinach ogień mógł być zarówno przyjacielem, jak i wrogiem. Beztrąsko rozniecone na stepie ognisko mogło rozpętać ocean płomieni, które rozszerzając się na wiele mil, pochłaniały wszystko na swojej drodze. Często zdarzało się, że wrogie plemiona wypadek taki natychmiast uznawały za zdradę. Dlatego też Forsa ogarnęło wahanie, gdy z krzesiwem i hubką w dłoniach pochylił się nad małym stosem drewna. Przecież był jeszcze tajemniczy myśliwy i jeśli zcałł się teraz w labiryncie osady...

Oboje z Lurą byli jednak przemoczeni i zziębnięci, a nocleg w chłodzie był najlepszą okazją, by się przeziębnić. Poza tym, choć mógł co prawda w razie potrzeby żywić się surowym mięsem, to pieczone smakowało mu o wiele lepiej. Ostatni argument przeważył, lecz nawet wtedy gdy pojawił się nikły płomyk, trwał przez chwilę przycajony, gotowy rozrzucić płonące głownie. Uspokoił się na widok podchodzącego do ognia kota. Wiedział, że Lura nie zachowywałaby się tak beztrąsko, gdyby groziło im jakieś niebezpieczeństwo. Miała przecież bez porównania lepszy wzrok i węch.

Później, zamierając w bezruchu przy źródleku, ustrzelił trzy króliki. Dwa z nich otrzymała Lura, trzeciego oprawił i upiekł dla siebie. Zachodzące słońce było czerwone i wszystkie oznaki wróżyły dobrą pogodę na nadchodzący dzień. Polizał palce, splukał je wodą, po czym wytarł pękiem trawy. Następnie, po raz pierwszy w tym dniu, otworzył skradziony przed świtem worek. Znał jego zawartość, poczuł jednak wzruszenie na widok wiązki starych, kruchych papierów, wypełnionych starannie od góry do dom małym, równym pismem ojca. To już tyle lat... Ucieszony, zanucił cicho, gdy dostrzegł strzępek bezcennej według Langdona mapy - miała ona przedstawiać leżące gdzieś na północy miasto, bezpieczne i wystarczająco duże, aby przynieść Eyrie bogaty łup.

Niełatwo było odczytać tajne pismo ojca. Sporządzone zostało na własny użytek i Fors mógł tylko domyślać się znaczenia takich wskazówek jak, "zakręt rzeki na zachód od nieużytków", "na północny wschód od dużego lasu" i całej reszty. Upływający czas starł lub pozmieniał oznaczenia, tak, że posługując się starą mapą, mimo wytężonej uwagi, można było zejść z trasy. Pochylony nad skrawkiem, który przyczynił się do śmierci ojca, zaczął uświadamiać sobie ogrom stojącego przed nim zadania. Nie znał nawet wszystkich szlaków, jakie w ciągu długich lat utorowali Gwiazdziści, co najwyżej słyszał o niektórych. A jeśli się zgubi...

Zacisnął palce na cennym zawiniątku. Zejść ze szlaku. Przepaść na Równinach.

Poczuł dotyk miękkiego futra. Okrągła głowa trąciła go w zębra. Lura uchwyciła nagle ukłucie strachu i na swój sposób starała się temu zaradzić. Fors powoli odetchnął. Wilgotne powietrze nizin pozbawione było ostrego aromatu górskiego oowietrza. Był wolny i był człowiekiem. Powrót do Eyrie oznaczałby przyznanie się do porażki. Cóż, jeśli zgubi się wśród stepu? Czekal na niego rozległy kraj. Mógł przecież iść, aż do chwili, gdy dotrze do słonej wody. leżącej zgodnie z ustnym przekazem tradycji na skraju świata. Cała ta kraina czekała na zbadanie.

Sięgnął w głąb trzymanego na kolanach worka. Oprócz notatek i strzępka mapy, tak jak się spodziewał, znalazł kompas, małe drewniane pudełko ołówków, paczkę bandaża i maść na rany, dwa małe skalpele i topornie sporządzony notatnik - dziennik Gwiazdzistego. Ku swemu wielkiemu rozczarowaniu przekonał się, że jego stronicze wypełniały głównie odległości. Pod wpływem nagłego impulsu, na jednej z czystych kartek umieścił opis swojej dotychczasowej podróży i narysował dziwny odcisk stopy. Gdy skończył, zapakował wszystko ponownie.

Lura rozciągnęła się na posłaniu z liści. Fors położył się przy niej,

przykrywając kocem. Dochodziła północ. Poprawił płonące gałęzie, tak, aby sterczące na zewnątrz końce mogły być pochłonięte przez ogień. Kot zajął się czyszczeniem łap, wgrzając się starannie w przestrzenie między pazurami. Towarzyszące temu miękkie mruczenie działało usypiająco. Czuł, jak zaczynają ciążyć mu powieki. Otoczył Lurę ramieniem i w odpowiedzi został natychmiast polizany. Szorstki dotyk języka był ostatnią rzeczą, jaką udało mu się zapamiętać. Rano obudził ich piskliwy krzyk ptaków. Całe stado wirowało w pobliżu, głośno wyrażając swe niezadowolenie z obecności wędrowców. Fors przetarł oczy i trochę nieprzytomnie spojrział na szary świat wokół.

Przy wejściu do jaskini, nie zwracając najmniejszej uwagi na rozwrzeszczonych natrętów, siedziała Lura. Ziewała i patrzyła na niego z wyraźną niecierpliwością. Podniósł się z leża i chcąc wykapać się w sadzawce, ściągnął wilgotną odzież. Było zimno, więc wkrótce zaczął drżeć, co widząc Lura odsunęła się na bezpieczną odległość. Zniecierpliwione ptaki zbiły się w czarną chmurę i zniknęły wśród skał. Fors ubrał się, sznurując dokładnie pozbawiony rękawów kaftan i starannie zapinając buty i pas.

Doświadczony badacz nie traciłby czasu na oglądanie pozostałości miasta. Już dawno cokolwiek cennego mogło się tu znajdować, zostało złupione lub samo uległo zniszczeniu. Było to jednak pierwsze miasto Forsa, dlatego też nie mógł odejść bez, choćby powierzchownych, oględzin. Obszedł w koło niewielki plac. Tylko jeden budynek ocalał na tyle, że można było wejść do środka. Kamienne ściany zniknęły pod bujnie rosnącym bluszczem i mchem, a okna czerniały pustymi, pozbawionymi szyb otworami. Powoli zbliżał się do porośniętych wysoką trawą schodów, prowadzących ku szerokim drzwiom wejściowym. Pod nogami szeleściły uschłe liście, a po chwili wypłoszone stado koników polnych, które rozprysły się na wszystkie strony. W drzwiach Lura trąciła łapą jakiś przedmiot, który poturłał się w głąb zakurzonego wnętrza. Po kilku krokach Fors przystanął przy zawieszanej w przedsionku tablicy. Mimowolnie palce dotknęły wyżłobienia liter.

- Narodowy Bank w Glentown.

Przeczytał głośno napis, a słowa powróciły echem, odbijając się od stojącego pod ścianą pustej hali rzędu budek.

- Narodowy Bank - powtórzył.

Co to jest bank? Domyślał się niejasno, że był to rodzaj składu.

Wymarłe miasto zapewne nazywało się Glentown.

Lura ponownie dopadła swojej okrągłej zabawki, biegając za nią po splekanej posadzce. W pewnym momencie kula uderzyła w podstawę znajdującej się najbliżej Forsa budki i zatrzymała się. Z na wpół rozbitej czaszki patrzyły oskarżycielsko okrągłe oczodoły. Schylił się i podniósł pusty czerep, po czym położył go na pokrytej grubą warstwą kurzu kamiennej półce. Przypadkowo poruszone, zebrane w stos monety rozsypały się we wszystkich kierunkach, wirując i podskakując z wesołym, metalicznym brzękiem.

Pomieszczenie było tego pełne. Połyskujące krawki zalegały rzędy ciągnących się z tyłu boksów półek. Zaczepnął garść i cisnął na podłogę, ciekaw zachowania Lury. Monety były bezużyteczne i nie miały żadnej wartości. Kawałek dobrej, nierdzewnej stali, stanowił cenny, godny zabrania nabytek. To były tylko śmieci. Panujące wokół ciemności zaczęły go denerwować i choć próbował myśleć o różnych rzeczach, to nie mógł pozbyć się wrażenia, że czuje na sobie czyjś wzrok. Pomyślał o leżącej na półce czaszce, zawołał Lurę i skierował się ku wyjściu.

Na zewnątrz wszystko przesiąknięte było wilgocią. W powietrzu unosił się lekki zapach dawnego rozkładu, zmieszany ze świeżą wonią butwiejącego drewna i roślin. Ze zmarszczonym nosem ruszył w kierunku rzeki, pokonując zalegające ulicę sterty gruzu. Jeśli chciał podróżować prosto do zaznaczonego na mapie ojca celu, musiał w jakiś sposób pokonać rzekę. Sam nie miałby kłopotu z przepłynięciem ciemnobrazowej od unoszącej się zawiesiny, wezbranej po niedawnej burzy wody, jednak Lura nigdy nie dałaby się skłonić do kąpieli. Pozostawienie kota na brzegu również nie wchodziło w rachubę. Fors ruszył wzdłuż wody w kierunku wschodnim. Tratwa wydała mu się

najlepszym rozwiązaniem. Musiałby jednak opuścić ruiny, zanim zdoła znaleźć odpowiednią ilość drewna, poza tym drażniła go strata czasu. Dzień był pogodny; słońce pięło się ku górze, rzucając na wodę świetlne plamki. Odwracając głowę, nadal mógł zobaczyć wzniesienia pogórza, a za nimi spowite błękitną mgiełką góry, które opuścił przed dołą. Choć widok był piękny, obejrzał się tylko raz, całą uwagę skupiając na rzece.

Pół-godziny później dokonał odkrycia, które zaoszczędziło mu długiej, morderczej pracy. Na ostrym zakręcie wysoka, wiosenna woda wypłukała w skarpie wąskie zagłębienie, wypełniając je następnie naniesionym drzewem. Były tu wielkie kłody jak i delikatne, wyblakłe na słońcu gałązki, pękające pod naciskiem palca. Rola Forsa ograniczała się do wydobywania i wyboru odpowiednich kawałków.

Przed południem tratwa była gotowa. Z pewnością prymitywna i nie nadająca się do dłuższych podróży, zapewniała jednak w miarę bezpieczną przeprawę. Lura nie kryła, że zdawanie się na tak niepewny środek podróży uważa za przejaw głupoty, lecz gdy Fors nie chciał pozostać na bezpiecznym brzegu, weszła na pokład, ostrożnie stawiając łapy, zanim przeniosła na nie ciężar ciała. Dokładnie na środku tratwy przysiadła jednak i zamarła, nie skarżąc się dłużej, w pełnym napięciu oczekiwaniu. Nie potrafiła powstrzymać niepewnego fuknięcia na widok Forsa, mocno napierającego na drag i odpychającego platformę na głęboką wodę.

Dziwny pojazd przejawiał tendencję do obracania się wokół własnej osi, należało więc temu przeciwdziałać. W pewnym momencie drag uwiązł w mulistym brzegu, niemal wrzucając Forsa do rzeki. Gdy jednak obolałym ramieniem starł zalewający oczy i parzący usta słony pot i spojrzął przed siebie, przekonał się, że znoszący ich w dół rzeki prąd równocześnie popychał tratwę w stronę drugiego brzegu. Na ten widok ze wzmógłszą energią zacisnął dłonie na wypolerowanej przez wiatr i słońce żerdzi.

Odbijające się od wody promienie słoneczne ogrzewały dodatkowo, jakby nie dosyć było potoków żaru lejącego się z nieba. Zrobiło się gorąco i poczuli silne pragnienie. Lura zaczęła cicho miauczeć. W miarę upływającego czasu oswoiła się jednak z nowym sposobem podróżowania na tyle, że mogła z zaciekawieniem oglądać ryby atakujące unoszące się na powierzchni owady. W pewnej chwili minęli skupisko połamanych, butwiejących desek. Musiała to być pozostałość dawnej łodzi.

Dwukrotnie przemknęli pomiędzy wystającymi z wody szczątkami filarów nie istniejącego mostu. Przed Wybuchem teren ten był gęsto zaludniony. Fors usiłował wyobrazić sobie świat tętniący życiem miast, z drogami pełnymi samochodów i kołyszącymi się na wodzie szybkimi łodziami. Ponieważ prąd unosił ich w pożądanym kierunku, nie należało mu zbytnio na szybkim dotarciu do przeciwległego brzegu. Gdy jednak fragment pośpiesznie kleconej tratwy oderwał się i rozpoczął samodzielny żywot, pojął, iż taka beztroska grozi poważnym niebezpieczeństwem. Mocniej nacisnął na drag, aby wyrwać się z objęć nurtu i osiągnąć upragniony brzeg. Jak na złość płynęli właśnie wzdłuż wysokiej, stromej skarpy, uniemożliwiającej podjęcie próby zatrzymania się. Zaniepokojony Fors wypatrywał zatoczki lub piaszczystej mielizny, zapewniającej bezpieczne lądowanie.

Ucieszył się, gdy po jakimś czasie dostrzegł utworzone przez obsunięty grunt płytkie wcięcie brzegu. Z oderwanego płata ziemi sterczały ukośnie dwa drzewa, przegradzając częściowo koryto. Po opłaconym pęczęzami na dłoniach i bólem pleców wysiłku, udało mu się skierować tratwę na gałęzie. Pod wpływem uderzenia platforma zakołysała się, podpory jednak wytrzymały i wszystko znieruchomiało. Lura nie czekała. Jednym potężnym susem znalazła się na solidnym podłożu grubego pnia. Fors schwycił torbę i natychmiast udał się w jej ślady. Pośpiech był jak najbardziej wskazany, gdyż tratwa rozpadła się na kilka części, które silny prąd porwał i bezładnie wirujące, uniósł w dal.

Po krótkiej, lecz męczącej, wspinaczce w rozmięklej na deszczu, tłustej glinie brzegu, ponownie znaleźli się na otwartym stepie. W wysokiej trawie rozrzucone były rozległe, ciemne plamy zakurzonych zarośli. Był to gąszcz młodych drzewek, powoli zarastających bruzdy

dawno nie oranych pól. Na tych ziemiach dzika przyroda nie zwyciężyła jeszcze całkowicie, gdyż stulecia upraw, ów odwieczny cykl siewów i zbiorów, pozostawiły swe głębokie piętno, stając na drodze sił natury.

Lura przypomniała o sobie krótkim mruknięciem, wyraźnie dając do zrozumienia, że od ostatniego posiłku minęło bardzo dużo czasu i najwyższa pora pomyśleć o jedzeniu. Nie czekając na pozwolenie, ruszyła w poprzek rysującego się niewyraźną linią starego pola. Poruszyła się z wrodzoną gracją, a z napięcia drgających pod futrem mięśni ciała można było wyczytać cel podchodów. Spod łap umykały jej kuropatwy, wokół roiło się od królików. Gardziła jednak tak skromną zdobyczą i skradała się dalej, z Forsem pozostającym o pół pola w tyle, w kierunku wzgórka zwieńczonego gęstą kępą drzew.

W połowie stoku przystanęła, koniuszek ogona zaczął drżeć z podniecenia a z pomiędzy zębów raz po raz wysuwał się czubek różowego języka. Po chwili przypadła do ziemi i ukryta w wysokiej trawie bezszelestnie, ze zdumiewającą lekkością, pełzała ku czerniejącym na tle nieba, rozłożystem drzewom. Fors odskoczył w bok i ukrył się za najbliższym pnem. Były to łowy Lury i nie należało jej przeszkadzać. Popatrzył na falujące wokół trawy. Przeważały różne gatunki zdziczałych zbóż, jeszcze nie dojrzałych z formującymi się na szczytach łodyg niewielkimi kłosami. Po błękitnym niebie leniwie sunęły białe obłoczki i tylko leżąca u jego stóp gałąź, ułamana przez wczorajszą wichurę, świadczyła o niedawno zakończonej burzy.

Z zadumy podobnej do pólśnu wyrwał go chrapliwy ryk, a tuż po nim rozległo się głośnie kwilenie - bojowy okrzyk Lury. Z łukiem w dłoni. Fors zaczął biec w górę zbocza, kierując się w stronę zgiełku. Nawyk myśliwego nakazywał jednak ostrożność, starał się więc pozostać niewidoczny, o ile pozwalało na to ukształtowanie terenu. Dzięki temu udało mu się umknąć wkroczenia w sam środek zaciętej walki.

Tym razem zdobycz była naprawdę duża. Widział sylwetkę kota, pochyloną nad rozciągniętym na ziemi czerwono-brązowym ciałem jakiegoś zwierzęcia. Z boku niezgrabnymi susami pędziło ku nim ogromne stworzenie. Zauważył górę światła na błyszczącym futrze, gdy Lura odskoczyła, w ostatniej chwili unikając wścieklej szarży. Dzika krowa! A Lura zabiła jej cielaka.

Gdy tylko to pojał, natychmiast wystrzelił. Strzała wbiła się głęboko w bok krowy, wywołując przeciągły ryk. Zwierzę przystanęło, wodząc dokoła mętnym wzrokiem i potrząsając zbrojnym w potężne rogi łbem. Po chwili ruszyło chwiejnym krokiem w stronę cielaka. Z szeroko rozwartych nozdrzy buchnęła szkarłatna piana. Krowa padła na kolana, po czym powoli przewróciła się na bok i znieruchomiała. Z gęstej kępy wysokiej trawy wyłonił się okrągły łeb Lury, która szybko oceniwszy sytuację, powróciła do swej ofiary. Fors porzucił swe ukrycie wśród drzew i zbliżył się do leżącego zwierzęcia. Najchętniej powtórzyłby pomruk Lury. Strzała uderzyła dokładnie tam, gdzie chciał ją pośląć. Żal było marnować tyle mięsa. Można by nim było wyżywić trzy rodziny w Eyrie w przeciągu tygodnia. Tracił krowę butem i z ociąganiem zabrał się za dzielenie cielska.

Mógł oczywiście próbować wysuszyć zdobycz, lecz nie był pewien, czy mu się to uda, a poza tym i tak nie potrafiłby zabrać wszystkiego ze sobą. Zadowolili się więc przygotowaniem zapasów na kilka najbliższych dni, podczas gdy Lura po sutym posiłku ucięła sobie drzemkę, budząc się od czasu do czasu, aby odpędzić obsiadające ją dokuczliwe muchy. Rozłożyli się noclegiem o dwa pola dalej, w załomie starej ściany. Miejsce było bezpieczne, gdyż otaczające ich zwałiska kamieni w razie potrzeby dawały schronienie i zapewniały skuteczną obronę. Mimo to nie spali dobrze. Pozostawione w tyle świeże mięso przyciągało nowych włóczędów. Dwa razy budziły ich wrzaski dzikich krewniaków Lury, a o brzasku rozległo się dziwne szczekanie, którego obeznany z lasem Fors nie potrafił rozpoznać, natomiast Lura, słysząc je, prychnęła z wściekłością i zjeżyła sierść na grzbiecie.

Był wczesny ranek, gdy Fors ruszył w drogę, przecinając rozległe pola wzdłuż linii wyznaczonej przez kompas Langdona. Tym razem postanowił nie tracić czasu na zacieranie śladów i zachowanie szczególnej ostrożności, gdyż sądził, że na tak rozległych, płaskich terenach nie

kryje się żadne niebezpieczeństwo. Skąd brały się wszystkie te opowieści o groźnych Równinach? Oczywiście, należało trzymać się z dala od "niebieskich" plam, gdzie promieniowanie niosło śmierć nawet po tylu latach. Postrach siały również Bestie - przecież to właśnie one zabiły ojca, lecz odkąd tylko Gwiazdziści wyruszyli na swe wyprawy, wiadomo było, że te koszmarnie istoty trzymały się starych miast i w otwartym terenie można było się ich nie obawiać. Wyglądało na to, że ciągnące się dokoła pola były tak bezpieczne dla człowieka, jak otaczające Eyrie lasy.

Pokonał lekkie wzniesienie i oczom jego ukazał się zapierający dech w piersiach widok. Przed sobą miał drogę. Była to jednak droga niezwykła, oszałamiająca wprost swym ogromem. Spękane pasmo betonu było kilka razy szersze od każdej z dróg, jakie dotychczas miał okazję oglądać. Mówiąc ściślej, były to dwie biegnące obok siebie wstęgi betonu, z rozdzielającym je wąskim płachetkiem ziemi pośrodku; dwie bliźniacze drogi, łączące przeciwległe horyzonty.

Jakieś dwadzieścia jardów przed nim szosa była zapchana kłębowiskiem rdzewiejącego metalu. Od pobocza do pobocza ciągnął się zator z rozbitych maszyn. Fors podchodził powoli, jakby zastanawiając się nad każdym krokiem, gdyż w ogromnych stosach żelastwa kryła się jakaś groźba. Nie potrafiłby tego jasno sformułować. Chociaż doskonale wiedział, że miejsce to zastygło w bezruchu już kilkadziesiąt lat temu, to jednak nie mógł się pozbyć mętnego uczucia strachu, paraliżującego i przytłaczającego swą nieokreśloną siłą. Spod nóg pierzchały mu czerwone świerszcze. Wśród leżących na jezdni okruchów betonu przemknęła mysz.

Zaczął wymijać rozległe złomowisko. W chwili śmiertelnego uderzenia, maszyny poruszały się rzędem. Atak był niespodziewany i tak potężny, że pojazdy powpadały na siebie, a siła bezwładu zgmiotła je i spiętrzyła w wysokie, poskręcane nawisy. Niektóre stały samotnie na uboczu, jak gdyby umierającym kierowcom udało się zahamować, zanim stracili świadomość. Wśród zgniecionego żelastwa próbował uchwycić jakieś kształty i porównać je z ogladanymi kiedyś w starych książkach fotografiami. Tak, to z pewnością musiał być "czołg" - ruchoma forteca Przodków. Jego lufa w dalszym ciągu wyzywająco mierzyła w niebo. Dwa, cztery, pięć - przed sobą miał jeszcze więcej i szybko zrezygnował z rachunków.

Kolumna wraków zalegała zapomniane pole bitwy na przestrzeni mili. Fors przedzierał się wzdłuż, przez porastające pobocze, sięgające piersi zarośla. Odczuwał dziwną niechęć przed zbliżeniem się do martwych maszyn. Jakiś głos wewnątrz nie pozwalał również dotknąć rozsypanych dokoła rdzawych kawałków metalu. Gdzieś widać było samochody napędzane silnikami atomowymi. Na pierwszy rzut oka wydawały się sprawne, w rzeczywistości jednak były martwe. Przerażliwie martwe, jak wszystko wokół Forsa. Poczł nagle przerażającą pewność zagłady, którą groziło przebywanie w pobliżu sterty rdzawych szczątków. Świadomość niebezpieczeństwa była tym straszniejsza, że nic jej nie uzasadniało. Nigdzie nie było kraterów, jakie powinny pozostać w przypadku użycia bomb. Fors wiedział o tym z opowiadań. Przed sobą miał tylko maszyny i ludzi, jak gdyby unicestwienie spłynęło z wiatrem lub mgłą.

Armaty i ludzie. Być może ciągnęli, aby odeprzeć Najeźdźców. Zbiór przechowywanych w Eyrie, przechwyconych z nasłuchu radiowego wiadomości, kilkakrotnie wspominał o spadających z nieba Najeźdźcach - strasznym wrogu poruszającym się ze "zdumiewającą prędkością". To, co się tu zdarzyło, musiało mieć jakiś związek z agresorem. Dlaczego jednak zwycięzcy nie podporządkowali sobie tej ziemi? Odpowiedź na to pytanie prawdopodobnie nigdy nie będzie znana.

Fors dotarł do końca stojącej w śmiertelnym pogotowiu kolumny. W dalszym ciągu trzymał się jednak pobocza. Do chwili, gdy łagodne wzniesienie terenu przesłoniło stare pobojuwisko. Dopiero wtedy ośmielił się ponownie wstąpić na drogę Przodków.

Ciemnoskóry łowca

Pół mili dalej szosa kryła się w cieniu lasu. Widok ten ucieszył Forsa. Otwarte pola były obce dla człowieka wychowanego w górach. Jego domem było gęste poszycie lasu.

Usiłował przypomnieć sobie wielką mapę wiszącą na ścianie w Domu Gwiazdy. Za każdym razem, gdy z wyprawy powracał jakiś badacz, pojawiał się na niej nowy znak.

Północna trasa, którą się teraz posuwał, przecinała wąski skrawek terytorium, znajdującego się pod luźną kontrolą zamieszkujących Równiny Koczowników. Ci ostatni mieli konie. Bezużyteczne w górach, lecz niezbędne w tym kraju wielkich odległości. Gdyby miał tak teraz oswojonego konia...

Owiało go chłodne powietrze lasu i podobnie jak Lura poczuł się jak w domu. Poruszali się szybko, najmniejszym dźwiękiem nie zdradzając swej obecności. Lekki podmuch wiatru przyniósł nieoczekiwane wyczuwalny zapach. Dym.

Fors rozumiał się z Lurą bez słów. Przez długą chwilę stała nieruchomo, wciągając w rozwarpte nozdrza powietrze, potem obróciła się i popęzła w kierunku dwóch brzoźek. Wiatr zmienił kierunek i smużka zapachu urwała się, lecz teraz pojawiła się jeszcze inna woń. Zbliżali się do wody i to stojącej, gdyż w innym razie musieliby słyszeć plusk rzeki.

W gęstej ścianie listowia ciemniała spora przerwa. Lura przypadła do skalistego podłoża, tylko nieznacznie różniącego się barwą od jej kremowego futra i wpełzła w zarośla. Naśladowując kota, Fors ukrył się za najbliższym kamieniem. Nie zważając na wbijające się w łokcie i kolana ostre krawędzie grubego żwiru, szybko czołgał się naprzód. Zatrzymali się na skraju występu skalnego, sięgającego ponad powierzchnię śródleśnego jeziora. Wąskim korytarzem wypływał z niego strumień. W pobliskim obniżeniu terenu rozszerzał się, opływając dwie wysepki, z których bliższa łączyła się z lądem łańcuchem sterczących z wody kamieni. Na brzegu, przy płonącym ogniu, krzątała się jakaś postać.

Nie ulegało wątpliwości, że obcy nie pochodził z gór. Jego potężne, obnażone do pasa muskularne ciało, powlekała brązowa skóra, znacznie ciemniejsza od wszystkiego, co dotychczas Fors widział w Eyrie. Okrągłą głowę pokrywały czarne, mocno skręcone włosy. Twarz miała wyraźnie zaznaczone rysy; szczególnie widoczne były płaskie kości policzkowe, otoczone grubymi wargami usta, i duże, zapatrzone w dal, oczy. Cały przyrodziewek nieznajomego ograniczał się do czegoś w rodzaju spódnicy, podtrzymywanej przez szeroki pas, z którego zwisała ozdobiona długimi frędzlami pochwa myśliwskiego noża. Sam nóż, długi na osiemnaście cali, połyskiwał niebiesko. Nieznajomy pochłonięty był czyszczeniem świeżo złowionej ryby.

W zasięgu ręki miał wbite w ziemię trzy włócznie o krótkich drzewcach. Na wierzchołku jednej z nich powiewał gruby koc z czerwonej wełny. Z rozpalonego na płaskim kamieniu ognia unosił się dym, trudno jednak było wywnioskować, czy obcy zatrzymał się tylko na czas posiłku, czy też obozował na wysepce.

W trakcie pracy rybak pomagał sobie piosenką. Przysłuchując się niskiej, monotonnej melodii, Fors poczuł, że ulega jej dziwnemu urokowi, a po grzbiecie przechodzą go dreszcze. Nie był to chyba Koczownik, a tym bardziej Bestia. Ludzie, którzy przeżyli spotkanie z nią, malowali całkiem inny obraz, do którego zupełnie nie pasowała inteligentna, miła twarz i oddawanie się, z wyraźnym upodobaniem domowym, gospodarskim zajęciom.

Ciemnoskóry przybysz musiał pochodzić z innego plemienia. Fors oparł podbródek na złożonych ramionach, próbując z zachowania i wyposażenia obcego wyczytać, czym ów się trudnił na stałe.

Brak ubrania oznaczał, że był przyzwyczajony do cieplejszego klimatu, gdyż tutaj taki strój można było nosić tylko do nadejścia jesiennych deszczy. Obok wbitej w ziemię włóczni Fors z niepokojem dostrzegł leżący w trawie łuk i kołczan... Łuk był znacznie krótszy niż oręż Forsa i wyglądał na zrobiony nie z drewna, a z jakiejś ciemnej,

odbijającej światło substancji.

Przybysz musiał pochodzić z kraju, gdzie jego rasa widocznie panowała niepodzielnie i nie musiała się niczego bać, gdyż obozował w odsłoniętym miejscu i śpiewał podczas sporządzania posiłku, jakby nie zdawał sobie sprawy, że przyciąga uwagę. A jednak wybrał wyspę, gdzie łatwiej mógł odeprzeć ewentualny atak.

Skończył czyścić rybę, nabił ją na zaostrzoną gałąź i umieścił nad ogniem, po czym ponownie zarzucił zaopatrzoną w przynętę linkę. Fors przełknął ślinę. Człowiek na wyspie górował o dobre cztery, pięć cali nad najwyższym spośród mieszkańców Eyrie, przy czym strzecha sterczących włosów nie stanowiła więcej niż dwa cale tej różnicy. Gdy tak stał, nadal nucąc, dłońmi sprawnie wybierając linkę, był uosobieniem siły i potęgi, zdolnej nastraszyć nawet Bestię.

Wokół rozszedł się zapach pieczonej ryby. Lura mruknęła cicho i Fors zawahał się. Czy powinien pozdrowić ciemnoskórego łowcę, uczynić gest pokoju, spróbować zaprzyjaźnić się, czy też...

Rozstrzygnięcie nadeszło samo. Wiszącą nad jeziorem pełną spokoju ciszę rozdarł krótki okrzyk. Rybak skoczył tak szybko, że Fors mimowolnie otworzył usta. Włócznie, łuk, koc i upieczona ryba zniknęły razem z właścicielem. Jeszcze przez chwilę drżały krzaki, a potem wszystko się uspokoiło. Na opustoszałej kamienistej plaży dogasało ognisko.

Wiatr przyniósł drugi krzyk, tym razem zmieszany z odgłosem tętniących

22

kopyt i na brzegu pojawiło się stado koni. Były to przeważnie klacze, każda z małym źrebięciem, biegnącym u jego boku. Pilnowało ich dwóch jeźdźców, nisko pochylonych w siodłach, gdyż tylko w ten sposób mogli uniknąć zwieszających się w dół gałęzi drzew. Wgonili klacze w wodę i czekali, aż ugaszą pragnienie.

Fors niemal zapomniał o nieznanym konie. Tyle razy widział je na fotografiach. Te jednak były żywe. Odwieczną tęsknotą jego rasy było zdobycie choćby jednego konia. Myśl o tym wywołała napięcie mięśni, jakby już siedział na gładkim grzbiecie.

Jeden z jeźdźców zeskoczył na ziemię i wycierał nogi swego wierzchowca wyrwaną z brzegu kępą trawy. Niewątpliwie był to Koczownik. Jego sznurowany na piersi kaftan bez rękawów był niemal taki sam, jak ubiór Forsa. Natomiast wyglądzone do połysku przez niezliczone godziny jazdy spodnie, zrobione były ze skóry. Sięgające ramion włosy podtrzymywane przez szeroką opaskę z wymalowanymi godłami rodu i plemienia świadczyły o tym, że urodził się wolny. Stanowiąca w rękach jeźdźca straszliwą broń, długa włócznia zwisła z uchwytu przy siodle. Ponadto do pasa miał przytroczone zakrzywiony miecz, będący symbolem jego Ludu.

Po raz drugi tego dnia Fors zaczął zastanawiać się, czy powinien podjąć rokowania. Jednak także tym razem odpowiedź nadeszła bardzo szybko. Spomiędzy drzew wyłoniła się druga para jeźdźców, znacznie starszych i bardziej dostojnych. Jeden z nich był wodzem Koczowników, o czym świadczyła lśniaca na podtrzymującej włosy opasce metalowa odznaka. Natomiast drugi...

Ciało Forsa drgnęło, jakby rażone strzałą. Lura, chwytając jego konsternację wydała jeden ze swych bezdźwięcznych pomruków. Tym drugim był Jarl. Lecz przecież Jari był zarazem Wodzem Gwiazdzistych i tym samym nie miał prawa wędrować przez Równiny. Na czas pełnienia funkcji Wodza, a więc przynajmniej na dwa lata, musiał zrezygnować z wypraw badawczych. Jego obowiązkiem było pozostawać w Eyrie i wyznaczać zadania innym Gwiazdzistym. A jednak był tutaj, jechał u boku wodza Koczowników, jak jakiś początkujący badacz. Co przywiodło go na Równiny, wbrew prawom i zwyczajom?

Fors zadrzał. Odpowiedź mogła być tylko jedna. Nigdy przedtem nie naruszone świętości Domu Gwiazdy. To jego zbrodnia ściągnęła Jarla z gór. A jeśli go schwytają, jakaż może być kara za tak zuchwałą kradzież? Nie miał pojęcia, lecz wyobraźnia podsuwała mu ponure i przerażające wizje. Na razie musiał pozostawać na miejscu i modlić się, aby go nie odkryto.

Na szczęście większość koni ugasiła już pragnienie i zwierzęta zaczęły odchodzić od jeziora. Fors odprowadzał je tęsknym wzrokiem. Gdyby miał wierzchowca, byłby daleko, zanim Jarl dowiedziałby się o jego obecności. Zbyt dobrze znał umiejętności Wodza, aby wątpić w to, że potrafi w ciągu dnia przebyć jego drogę.

Gdy jeden z pasterzy dosiadł rumaka, drugi poganiał ostatnie klacze. Jarl i wódz nadal jednak siedzieli zajęci rozmową, od czasu do czasu spoglądając chłodno w stronę jeziora. Fors w milczeniu znosił bolesne ukąszenia towarzyszących stadu much. Jednak Lura warczała cicho, wyraźnie okazując chęć zmiany otoczenia. Chłopak zwlekał z odejściem, aż do chwili, gdy wiatr zmienił kierunek i zapach kota dotarł do stojącego w dole stada.

W ciągu sekundy zwierzęta ogarnęła panika. Przerażone klacze, niespokojne o los źrebiąt, rżały przenikliwie. Przez chwilę kręciły się bezładnie na brzegu, tratując nerwowo ziemię, po czym runęły między jeźdźców, chcąc jak najszybciej opuścić niebezpieczne miejsce. Popłoch zupełnie zaskoczył pastuchów. Jednego z nich stado porwało ze sobą i teraz wytężał wszystkie siły, aby odzyskać władzę nad swym wierzchowcem. Drugi bezradnie podążał śladem rozszalałych zwierząt. Ściskając w rękę lancę, wódz Koczowników pomknął za nimi. Na miejscu pozostał tylko Jarl. Przez długą chwilę przez szparki zwężonych oczu obserwował przeciwny brzeg. Fors przykleił się do skały i surowym gestem nakazał Lurze postąpić tak samo. Na szczęście od Jarla oddzielało ich jezioro, dzięki czemu Wódz Gwiazdzistych na razie nie wypatrzył swych ofiar. Trudno jednak było przewidzieć, jak dobrym wzrokiem był obdarzony.

Wstrzymując oddech, kot i chłopak odpełzli w tył. Jarl nadal stał, w napięciu wpatrując się w zarośla. Po chwili stracili go z oczu, a zaraz potem rozległ się tętent kopyt odjeżdżającego konia. Fors biegł swym długim ówczonym przez lata leśnych wędrowek krokiem. Kierował się na północ, aby jak najdalej od obozu Koczowników, który musiał leżeć gdzieś na drugim brzegu. Potrzebował konia, lecz pragnienie to nie było na tyle silne, aby ryzykować jakieś działanie pod nosem Jarla. Fors darzył tego człowieka szczerym szacunkiem i podziwiał jego umiejętności.

Biegnąc zastanawiał się, co zrobił myśliwy z wyspy i czy on również oddalał się od obozu. Z zazdrością pomyślał o złowionej przez tamtego rybie. Poczul głód, więc z zabranej racji wyciągnął garść prażonego ziarna i kilka pasków suszonego mięsa. Nie przerywając marszu posilał się, oddając resztki Lurze, która pochłonęła je jednym ruchem potężnych szczęk. Zerwane z mijanych krzaków, na wpół dojrzałe jagody, posłużyły za coś w rodzaju sosu, lecz wewnątrz nadal pozostawało uczucie próżności, powiększające się w miarę jak wydłużały się cienie popołudnia.

Kierowali się wzdłuż wypływającego z jeziora strumienia, wkrótce jednak przeredzające się drzewa i coraz liczniejsze, porosłe trawą i krzakami polanki, pozwoliły domyślać się bliskiego skraju lasu. Fors przystanął i zaczął myśleć. Las był jego domem, znał wszystkie kryjące się w nim niebezpieczeństwa, wiedział jak zatrzeć swoje ślady i zdobyć żywność. Z drugiej strony, w terenie otwartym, wśród uprawnych niegdyś pól, można było lepiej wykorzystać czas i przebyć dłuższy dystans przed zapadnięciem całkowitych ciemności. Polujący na Równinach ludzie poruszali się konno, więc łatwo było spostrzec jakakolwiek pogoń. Wreszcie, step pokrywały gęsto rozrzucone kępy drzew i zarośli, dające w razie potrzeby dobre schronienie. Postanowił opuścić las.

Ubarwione na brązowo stworzenie o bystrych, otoczonych czarną sierścią oczach, przyglądało mu się krytycznie ze sterty kamieni. Zniknęło jednak natychmiast, gdy tylko z wysokiej trawy wyłonił się łeb Lury. Była to jedyna żywa istota, jaką udało mu się spotkać, zanim dotarli do butwiejących resztek starej farmy. Omijając przeżarte grzybem betki, cudem tylko uniknęli upadku do na wpół odsłoniętej piwnicy. Uskakując w ostatniej chwili z umykającego mu spod nóg płata darni, Fors krzyknął, a w odpowiedzi usłyszał odgłos, od którego zrobiło mu się gorąco, a dłoń powędrowała w kierunku miecza. Obrócił się dokoła z bronią w rękę. Z gęstych zarośli wyłonił

się, umazany ziemią i śluzem, różowy ryj, z błyszczącymi poniżej, groźnie wyglądającymi kłami. Fors odrzucił worek i łuk, po czym zgięty, zamarł w oczekiwaniu na najstraszniejszy ze wszystkich ataków - szarżę dzikiej świni.

Tak jak się spodziewał, dzik uderzył z niepohamowaną wściekłością, mierząc kłami w nogi. Zadał szybkie pchnięcie, lecz świnia uchyliła się, tak, że choć na głowie i karku pojawiła się ociekająca krwią czerwona szrama, zwierzę nie odniosło większego uszczerbku. Odyniec chrząknął głośno. Odpowiedziały mu liczne głosy. Fors poczuł, że zasycha mu w gardle. Miał przed sobą całą watahę dzików.

Za jego plecami znajdowała się sterta tworzących kiedyś ścianę małego budynku zmurszałych belek. Były śliskie i pochylały się niebezpiecznie w stronę piwnicy. Gdyby na nie wskoczył, mógłby wyładować w ciemnym dole.

Z zarośli doleciał kwik złości i bólu. Odyniec potrząsnął zbrojnym w szable łbem i zalał się pianą. Osadzone w upstrzonym czarno-białymi łatami pysku oczy były czerwone ze złości. Od strony watahy usłyszeli jeszcze jeden kwik. Tym razem jednak towarzyszyło mu głośne warczenie. Fors z ulgą wypuścił powietrze. Lura trzymała w szachu resztę stada. Pozostawał jeszcze stary przewodnik. Był przebiegły, a jego skórę znaczyły liczne blizny i łysiny, świadczące o zwycięstwach w dotychczasowych walkach. Zawsze wygrywał, był więc pewien siebie i oto jeszcze raz ruszył.

Fors uskoczył w lewo, a gdy tylko niebezpieczeństwo minęło, ciął szerokim łukiem. Miecz trafił w wyszczerzony szatańsko pysk dzika, odrabując ucho i gasząc płonące czerwienią oko. Zwierzę wstrząsnęło łbem, rozbryzgując wokół kropejki krwi. Towarzyszyło temu wywołane bólem i złością sapanie. Pod wpływem bólu dzik wyzbył się dotychczasowej przebiegłości. Wiedział teraz tylko jedno - za wszelką cenę dopaść podskakującej przed nim postaci i wyrwać z niej życie. Gdy Fors spostrzegł, że potężny kark napina się, zrobił krok w tył, szukając pozwalającego na swobodny manewr twardego podłoża. Ruch ten omal nie kosztował go życia, gdyż pięta uwięzła między deskami, tkwiąc tam mocno, niczym w imadle. Dzik skoczył po raz trzeci w kierunku szarpiącego się chłopca. W ostatniej chwili spróbował jeszcze raz oswobodzić stopę, jednak siła rozpędu pozbawiła go równowagi, tak że runął do przodu, niemal wprost na grzbiet rozwścieczonego odyńca. Nogą targnął przeszywający, palący ból, zaś nozdrza wypełnił mu cuchnący odór. Pchnął z furją i poczuł, jak stal uderza w kość, po czym pograża się głęboko, aż po gardę. Tryskająca z rany krew splamiła Forsa. Śliskie od posoki dłonie nie były w stanie trzymać dłużej rękojeści miecza i przy kolejnym wierzgnięciu spadły na zlepione, z rzadka porastające boki świni kłaki. Chwiejnym krokiem zwierzę dowlokło się do słonecznej polanki i ciężko upadło na bok. Spomiędzy potężnych łopatek sterczała ku niebu główńia miecza. Wstrząs, wywołany zetknięciem z ziemią, spowodował dotkliwy ból. Fors skrzęcił się z bólu z wykrzywioną cierpieniem twarzą, usiłując rozzerwać materiał spodni wokół paskudnie wyglądającej, obficie krwawiącej rany, przebiegającej nieco powyżej kolana lewej nogi. Z zarośli wyłoniła się Lura. Utrzymane zazwyczaj w pedantycznej czystości futro znaczyły liczne plamy. Nie przejmowała się tym jednak, wyraźnie okazując zadowolenie. Podeszła do dzika i z cichym warknięciem traciła go zbrojną w pazury łapą.

Chłopak wydobył wreszcie stopę z obejmujących ją zmurszałych desek starego stołu. Z trudem doczołgał się do podróznego worka i wydobył jego zawartość. Potrzebował wody, jednak z odszukaniem źródła mógł spokojnie zdać się na Lurę. Najgorzej będzie tam dojść. Możliwe, że będzie musiał pozostać na miejscu przez dzień lub dwa.

Lura szybko odnalazła niewielkie źródelko na tyłach farmy. Dotarł do niego po morderczym, opłaconym straszliwym bólem wysiłku. Rozpalił ognisko z suchych gałęzi, po czym zawiesił nad nim płaski garnuszek czystej wody. Był przygotowany na najgorsze. Kły dzika zawsze były brudne i groziły zakażeniem.

Zaciskając zęby zaczął ciąć spodnie, aż do chwili, gdy odsłonił otaczającą wciąż krwawiącą ranę, nagą skórę. Do wrzącej wody wrzucił niewielką grudkę maści z worka Langdona. Tajemnicę tego balsamu znał

jedynie lekarz plemienia i Wódz Gwiazdzistych. Kryła się w nim mądrość dawnych dni, a moc jej była tak wielka, że wielu ludzi uratowała życie. Dzięki niej rany nie ropiały i goiły się szybko. Fors poczekał aż woda ostygnie na tyle, że nie będzie parzyć. Chwycił wówczas gorące naczynie i ponad połowę jego zawartości wylał na postrzępione rozdarcie skóry i mięśni. Palce mu drżały, gdy po tym zabiegu zanurzył je w pozostałym płynie i trzymał ponad minutę, zanim rozerwał paczkę bandaża. Miękkim końcem materiału delikatnie przemył okolice rany. Następnie posmarował ją odrobiną maści, przykrył tamponem i starannie zawiązał. Krwawienie niemal ustąpiło, lecz rozdarcie promieniowało pulsującym ogniem od biodra aż po kostkę. Nie zważając na przesłaniającą oczy mgłę, wykonał kolejno wszystkie wpajane mu od dziecka czynności. Wiedział, że tylko w ten sposób zapewnia sobie jakąś szansę przeżycia.

Wygasił jeszcze ogień i wyczerpany zastygł w bezruchu. Nadeszła Lura i położyła się obok, dotykając miękką łapą jego ramienia. Mruczała uspokajająco, przeciągając od czasu do czasu szorstkim językiem po nagiej skórze chłopca. Ból w nodze zelżał, a może po prostu Fors przyzwyczał się do niego? Popatrzył w niebo. Róż i złoto układały się w szerokie, wolno zmieniające się pasma. Nadciągał zmrok. Dotarło doń, że musi znaleźć schronienie na noc. Spróbował poruszyć się. Noga zesztyniała do tego stopnia, że nawet gdy wreszcie wstał, musiał chwytając się krzaków, aby w ogóle ruszyć z miejsca.

Lura schodziła w dół stoku, więc pokuśtykał za nią, szczęśliwy, że nie musi przedzierać się przez zarośla. Kierowała się w stronę farmy. Nie zamierzał jednak protestować, gdyż o ile w ogóle jakaś kryjówka istniała, to tylko ona mogła ją znaleźć i nie należało jej w tym przeszkadzać.

Doprowadziła go do najlepszego miejsca noclegu, jakie widział od czasu opuszczenia Eyrie. Był to mały, pozbawiony okien budynek z kamiennych ścianach. Miał tylko jedne drzwi, a od góry osłaniała go ocalała jakimś cudem część dachu. Nie miał pojęcia, do czego mógł kiedyś służyć. Teraz ważny był jedynie fakt, że stanowił łatwą do obrony twierdzę.

Wśród zabitych świń zaczęli krażyć mali padlinożercy. Fors wiedział, że z zapadnięciem ciemności zapach krwi ściągnie znacznie groźniejszych drapieżników - pamiętał dobrze co działo się wokół krowy i cielaka. Dlatego z leżących w pobliżu kamieni zbudował przed drzwiami zaporę i postanowił rozpalić ogień. Wysokie ściany ukryją blask przed nieproszonymi gośćmi.

Zjadł kolację. Tym razem nadzwyczaj skromną. Jedynym daniem była skąpo odmierzona porcja suszonego ziarna. Widząc to, Lura postanowiła sama zatroszczyć się o swój żołądek. Przesadziła barierę, przez chwilę rozglądała się wokół, po czym szybko zniknęła w gęstniejącym mroku. Fors pozostał przy ogniu. Wyciągnięty na boku, dokładał powoli drzew i wpatrywał się w ciemność. Wśród rozłożystych gałęzi starych drzew owocowych pojawiły się tańczące iskierki robaczek świętojańskich. Nie przerywając obserwacji, łyknął wody z manierki. Ból nogi przeszedł teraz w niezmiennie, przenikające całe ciało, rozsadzające skronie pulsowanie:

bum-bum-bum.

Nagle uświadomił sobie, że jednostajny rytm nie miał nic wspólnego z bólem i gorączką. Nocne powietrze naprawdę wypełniał niski, niosący się z daleka, regularnie powtarzany sygnał. Nie przypominał żadnego ze znanych Forsowi odgłosów przyrody. Wsłuchiwał się z napięciem w nadchodzące dźwięki. Z każdą chwilą narastało w nim przekonanie, że odnajduje w nich podobieństwo do dziwnej, zawodzącej pieśni rybaka. Był już pewien, że ktoś wystukuje fragmenty melodii na bębnie.

Poderwał się na równe nogi. Łuk i miecz leżały w zasięgu ręki. Noc, dla Forsa zawsze jaśniejsza niż dla innych, była spokojna, a jej pustkę wypełniał jedynie tajemniczy sygnał. Dudnienie urwało się nagle, jakby w pół taktu i już nie powtórzyło się. Przeczucie mówiło mu, że go więcej nie usłyszy. Cóż jednak mogło znaczyć?

Tu, na Równinach, dźwięk rozchodził się bez przeszkód. Nawet jeśli słuchacz nie miał zbyt czułego słuchu, z łatwością mógł odebrać wystukiwane na bębnie sygnały z odległości wielu mil. Kurczowo

zaciśnął dłonie, nie czując nawet, jak paznokcie wbijają się w ciało. Powiew wiatru przyniósł z południa ledwie słyszalny odgłos. Tym razem dźwięk był tak słaby, że przez moment zastanawiał się, czy nie padł ofiarą złudzenia. Odrzucał jednak tę możliwość. Było oczywiste, że nieznany nadawca otrzymał odpowiedź. Wstrzymując oddech, Fors liczył mijające sekundy. Pięć, dziesięć, piętnaście i znowu cisza. Jeszcze raz spróbował uporządkować informacje, zdobyte przez obserwację rybaka. Wnioski były te same, co przedtem. Nie pochodził z Równin, a to mogło znaczyć, że był zwiadowcą, badaczem wysłanym z południa. Kto jeszcze przebywał w tych stronach?

Rozdział 4 Mustang

Zaczęło padać jeszcze przed świtem. Spokojny, równy deszcz, zapowiadający wielogodzinną ulewę. Noga Forsa zeszywniała do tego stopnia, że tylko z wielkim trudem udało mu się przeczołgać w osłonięty resztką dachu róg domku. Lura przycisnęła się do jego boku, rozgrzewając go własnym ciepłem, lecz choć już nie marzył, nie potrafił zasnąć, zapaść w nie dający odpoczynku, wypełniony koszmarami sen, jaki dręczył go przez większą część dzisiejszej nocy. Natrętnie powracała myśl o czekającej go w dzień wędrownicy. Forsowny marsz z pewnością spowoduje otwarcie rany, czuł też, że ma gorączkę. Oprócz tego będzie musiał zdobyć żywność i poszukać lepszego schronienia. I to bębnienie... Był słaby, chciał więc jak najszybciej opuścić sąsiedztwo nieznanego dobosza.

Gdy tylko zrobiło się widno, na tyle, że można było rozróżnić litery, wydobyl skrawek mapy z zamiarem określenia aktualnego położenia. Pomiędzy niektórymi punktami widniały niewielkie, czarne cyfry. Oznaczały one odległości między miastami i osiedlami. Z obliczeń Forsa wynikało, że od miasta dzieliły go trzy dni marszu, o ile oczywiście jego obliczenia były poprawne. Trzy dni dla silnego, wypoczętego wędrowca, lecz nie dla słabego, utykającego kaleki. Oczywiście, gdyby miał konia...

Wspomnienie Jarla wśród Koczowników ostudziło jego zapał. Jeśli uda się do ich obozu i spróbuje handlu, Wódz Gwiazdzistych dowie się o tym. Ukraść zaś wierzchowca z dobrze strzeżonego stada nawet dla kogoś w pełni sił było rzeczą niemal niewykonalną. Jednak, choć powtarzał ciągle te argumenty, nie potrafił wyzbyć się marzenia o koniu.

Lura wybrała się na łowy. Nie pozostawało mu nic innego, jak czekać, aż wróci ze zdobyczą. Spróbował się podnieść. Gdy wreszcie stanął, musiał zaciśnąć zęby, aby znieść wywołany ruchem ból lewego boku. Potrzebował kuli lub laski, jeśli zamierzał gdziekolwiek dojść. Rozejrzał się dokoła. Spomiędzy czarnych belek wyrastało niewielkie drzewko. Było prawie proste, ściał je więc nożem i odrąbał boczne gałęzie. Wspierając się na tak sporządzonym kosturze, zaczął powolny spacer. Czym dłużej chodził, tym bardziej ból i sztywność ustępowały, a gdy pojawiła się Lura z brązowo upierzonym, dzikim indykiem, zwisającym z pyska, samopoczucie Forsa wyraźnie poprawiło się. Szybkość z jaką poruszali się z pewnością nie była wielka. Spomiędzy zaciśniętych zębów chłopca wyrывał się cichy syk, gdy przypadkiem zbyt mocno opierał się na zranionej nodze. Szedł po czymś, co niegdyś musiało być ścieżką, łączącą farmę z pobliską drogą. Wspierając się ciężko na łasce, wyszukiwał przejścia między zarastającymi traktami krzewami.

Deszcz zamienił w gęste błoto każdy pozbawiony roślinności skrawek ziemi, więc Fors musiał dodatkowo wyteżać uwagę, aby nie pośliznąć się i nie upaść. Lura mruczała nieustannie, skarżąc się na pogodę i tempo podróży. Nie wyrывała jednak do przodu, co z pewnością zrobiłaby, gdyby był w pełni sił.

Ścieżka doprowadziła ich do drogi, którą poszli, gdyż prowadziła w dobrym kierunku. Betonową nawierzchnię pokrywała naniesiona miejscami

ziemia, dając podłoże dla korzeni wątłych drzewek. Pomimo tego, łatwiej mu było poruszać się tędy, niż po nawilgłym gruncie. Lura puściła się przodem, myszkując wśród porastających pobocze krzaków i wysokiej trawy. Od czasu do czasu przystawała, wietrząc nieznanne zapachy, po czym wstrząsała się, energicznie rozpryskując wokół kropelki gromadzącej się wilgoci.

W pewnej chwili wybiegła z zarośli i, ocierając się o Forsa, zaczęła wyraźnie popychać go w kierunku biegnącego opodal rowu. W jej ostrzeżeniu wyczuł nagłacy pośpiech, toteż ze wszystkich sił zaczął kuśtykać w stronę kryjówki. Przypadł do czerwonej, tłustej gliny odkosu. Gdy tak leżał, z dłońmi płasko przyciśniętymi do podłoża, uchwycił odległy tętent, na długo, zanim można było usłyszeć dudniący odgłos kopyt. Wkrótce potem pojawiło się stado, kłusujące po starej drodze. W pierwszym momencie Fors zaczął rozglądać się w poszukiwaniu pasterzy, lecz szybko zauważył, że żaden z koni nie miał wymalowanych białą farbą rozpowszechnionych wśród Koczowników znaków własności. Zwierzęta musiały być dzikie. Było kilka klaczy ze źrebiętami, parskający, pokryty licznymi bliznami ogier oraz czwórka biegających luzem roczniaków.

Jedna z klaczy najwyraźniej nie miała potomstwa. Jej brudna, zmierzwiona sierść miała odcień ciemnej czerwieni, ogon i grzywa były czarne. Co rusz odbiegała na bok, żeby przystanąć i skubnąć trawy, czym w końcu rozzłościła przewodnika, który mocno uderzył ją w kark. Zarżała i wierzgając kopytami pogalopowała przed siebie, odrywając się od reszty stada. Żal ogarnał Forsa na ten widok. Gdyby miał zdrowe nogi? to spróbowałby ją schwytąć i nie byłby bez szans. Teraz jednak nie było sensu o tym myśleć.

Stado skryło się za najbliższym wzniesieniem terenu. Fors odpoczywał przez chwilę, zanim wdrapał się na drogę, gdzie już czekała na niego Lura. Przebierając niecierpliwie przednimi łapami wpatrywała się w ślad za niewidocznymi wierzchowcami. Dla niej nie było różnicy między którymś ze źrebiąt, a upolowanym niedawno cielęciem. Było to przecież mięso i nadawało się do jedzenia. Miała w sobie głęboko zakodowany instynkt podążania za taką masą żywności. Fors nie protestował.

Pochłaniały go myśli o samotnej klaczy. Przed upływem godziny ponownie natknęli się na stado. Droga raptownie opadała w nieckowatą dolinę. Jej dno porastała wysoka, soczysta trawa i właśnie tam pasły się zwierzęta. Nieco wyżej pozostawał tylko trzymający straż ogier. ^-) Uwaga Forsa zwrócona była na coś innego. Niemal na wprost siebie miał resztki budynku. Ogień strawił jego wnętrze, pozostawiając jedynie spękane mury. Przyjrzał się bardzo dokładnie i dopiero wówczas zajął się końmi. W pobliżu ruin pasła się z dala od stada klacz. Chłopiec zwilżył wargi koniuszką języka. Miał szansę. Niewielki cień szansy.

Dużo zależało od pomocy Lury, a na niej nigdy dotychczas się nie zawiódł. Zbliżył się do wielkiego kota i spróbował stworzyć w wyobraźni obraz tego, co powinno być zrobione. Powoli przebiegał myślami każdy, nawet najdrobniejszy szczegół. Powtórzył wszystko dwukrotnie, a wtedy Lura przysiadła i wyciągnęła się na trawie. Fors starł z czoła zmieszany z deszczem pot. Nadszedł czas działania. Czołgając się, dotarł do labiryntu spękanych ścian. Nie mógłby tego zrobić, gdyby wiatr im nie sprzyjał. Na szczęście, tym razem los był łaskawszy. Dostał się na leżący nad największym otworem w ścianie występ. Jak wszyscy ludzie gór, wokół talii miał nawiniętą cienką, mocną linkę. Teraz rozwinął ją, a w jego dłoni znalazła się szeroka pętla. Dobrze, że deszcz jej nie naruszył. Już. Zagwizdał, naśladowując czysty głos jednego z ptaków Eyrie. Nie widział nic, lecz czuł, że Lura jest na stanowisku, gotowa do akcji. Jeśli tylko wiatr nie zmieni kierunku...

Nagle klacz wstrząsnęła łbem, parsknęła i popatrzyła podejrzliwie na kępę zarośli. W tej samej chwili ogier stanął dęba i z głośnym rżeniem rzucił się na odsiecz. Miał jednak do pokonania całą długość doliny, a po drodze zatrzymał się jeszcze, aby skierować resztę haremu w bezpieczne miejsce. Klacz miała ochotę przyłączyć się do nich, lecz między nią, a wolnością, czaiło się nieznanne niebezpieczeństwo. Wspięła się na tylne nogi, po czym podbiegła w

stronę ruin i ukrytego Forsa. Dwa razy próbowała dotrzeć do stada, za każdym razem coś ją jednak powstrzymywało.

Fors rozwinął linkę. Teraz mógł już tylko czekać, ufając w pojętność i sprawność Lury. Sekundy niepewności wlokły się straszliwie długo. Wreszcie klacz błyskając w przerażeniu białkami oczu, wpadła przez wyrwę w obręb murów. Fors cisnął pętlę, natychmiast okręcając linkę wokół wystającej ze ściany zardzewiałej kratownicy. Jej pręty okazały się dostatecznie mocne, aby wytrzymać skoki oszalałego ze strachu zwierzęcia. Fors drgnął, gdy usłyszał przenikliwy kwik galopującego na pomoc, rozzłoszczonego ogiera. Nie znał się na koniach, niemniej domyślił się, że grozi mu niebezpieczeństwo. Na szczęście przewodnik stada nie dobiegł do ruin. Spośród gałęzi mijanej grupy krzaków śmignęła ku niemu Lura. Wylądowała wprost na głowie rumaka, orząc jego skórę zbrojnymi w ostre pazury łapami. Zaatakowany koń wspiął się na zadnie nogi, z opętańczym rżeniem gryząc i wierzgając na osłep. Lura jednak była całkiem nieuchwytna. Poruszając się z prędkością błyskawicy, ciągle uprzedzała zamiary przeciwnika. Wydawać by się mogło, że pod jasnym lśniącym futrem kryją się mocne, stalowe sprężyny. Jeszcze dwukrotnie zrobiła użytek ze swoich pazurów, zanim ogier dał za wygraną i popędził za stadem. Klacz rżała żałośnie. Przystanał wtedy, spoglądając wstecz, lecz na widok nieruchomej sylwetki groźnego kota zrezygnował ostatecznie i wkrótce zniknął, pozostawiając za sobą krwawy ślad.

Oslabły Fors oparł się o stertę gruzu. Miał konia, choć co prawda własność ta sprowadzała się do zaciśniętej na jego szyi mocnej, zdolnej wytrzymać najdziksze porywy, pętli. Nie był to niestety ułożony do jazdy wierzchowiec i teraz zaczął zastanawiać się, w jaki sposób, mając chorą nogę, ujeździć oszalałe ze strachu zwierzę. Zamocował linkę i popatrzył ponuro na otarcia skóry na dłoniach. Na razie postanowił nie podchodzić bliżej, pozostawiając klaczy trochę czasu na oswojenie się z niewolą. Czy jednak kiedykolwiek wyzbędzie się lęku przed Lurą? Był to kolejny problem, jaki w najbliższym okresie należało rozwiązać. A rozwiązanie musiało się znaleźć. Nie mógł przecież wędrować na jednej nodze, a prosić o pomoc Koczowników, znaczyło to samo, co oddać się w ręce Jarla. Zawsze wierzył, że potrafi poradzić sobie na Równinach. Teraz nadszedł czas, aby to udowodnić.

Po jakimś czasie koń przestał targać napiętym arkanem: stał nieruchomo ze spuszczoną głową, a po jego lśniacej od potu skórze przebiegały nerwowe dreszcze. Nie ruszając się z miejsca. Fors zaczął mówić cichym głosem, takim samym, jakim przywoływał Lurę. Po dłuższej chwili podniósł się powoli i zrobił kilka kroków naprzód. Zwierzę uniosło głowę i parsknęło, lecz mówił cały czas, starając się, aby głos brzmiał równo i monotonicznie. Wreszcie był już tak blisko, że mógł dotknąć spoczonej sierści. Pogładził bok klaczy wolnym ruchem; omal nie podskoczył. Na ciemnym tle niewyraźnie majaczyły zatarte plamy farby. Miał przed sobą jednego z ujeżdżonych koni Koczowników. Fors z trudem przełknął ślinę. Trudno mu było uwierzyć w takie szczęście. Osmielony swym odkryciem położył dłoń na nozdrzach wierzchowca, który czując dotyk zdrzął, a zaraz potem parsknął niemal pytająco.

Pogładził koński kark i w odpowiedzi został lekko tracony łbem. Chłopak roześmiał się, po czym już zupełnie rozluźniony pociągnął za huśtający się między oczami, postrzępiony kosmyk grzywy.

- Więc już sobie przypomniałaś, staruszek? Dobry konik, dobry.

Pozostała jeszcze sprawa Lury. Nie mógł jednak dłużej zwlekać.

Rozwinął linkę i lekko pociągnął. Klacz posłusznie ruszyła za nim, ostrożnie wymijając piętrzące się dokoła sterty gruzu.

Dlaczego nie zareagowała na unoszący się z ubrania zapach kota? Chyba deszcz skutecznie go wypłukał, w każdym razie spokojnie pozwałała się prowadzić.

Przywiązał konia do małego drzewka i jeszcze raz zagwizdał swój ptasi sygnał. Odpowiedź nadeszła z drugiego końca doliny. Widocznie Lura podążała za stadem. Przystanał w oczekiwaniu, co chwila przyjaźnie zagadując do wierzchowca i wiechciami trawy wycierając jego boki. Odwrócił się, gdy spostrzegł wywołany przerażeniem dreszcz.

Kilka kroków dalej siedziała Lura. Trwała w bezruchu i tylko leżący

między przednimi łapami ogon wykonywał powolne, leniwe ruchy. Kotka ziewnęła szeroko, ukazując spiczasty język i różowe podniebienie. Przeciągnęła się i zmrużyła oczy, jakby chciała powiedzieć, że klacz, której jej towarzyszył łowów poświęca tyle uwagi, zupełnie ją nie interesuje.

Pomimo pokojowego przyjęcia, wierzchowca ogarnął popłoch. Klacz uskoczyła w tył, na całą długość linki, błyskając białkami szeroko rozwartych oczu. Lura w dalszym ciągu zachowywała spokój. Podniosła się i powoli podeszła do konia. Struchlałe zwierzę stanęło dęba, po czym wydało przenikliwy kwik rozpaczy. Zaniepokojony Fors spróbował ją odwołać, lecz wielki kot nie zważając na głos chłopca krążył wokół zdobyczy, oglądając ją krytycznie ze wszystkich stron. Po chwili klacz opadła na cztery nogi i wstrząsnęła łbem, starając się nie patrzeć na Lurę. Wydawała się zdeorientowana tym, że spodziewany atak nie nastąpił. W każdym razie, gdy po skończonej lustracji Lura odwróciła się obojętnie, koń uspokoił się i przestał drżeć. W ciągu godziny z kawałka liny Fors sporządził uzdę, a złożony koc posłużył mu za siodło. Stanął na podwyższeniu z kilku cegieł i przełożył zdrową nogę przez grzbiet wierzchowca. Poprzedni właściciel musiał włożyć sporo pracy w jego ujeżdżenie, gdyż kark miał tak równy, że nawet niezdarzy

1 osłabiony Fors potrafił utrzymać się w siodle. Skierował klacz ponownie w stronę drogi, po jakimś czasie dotarł nią do doliny i oto raz jeszcze przemierzał rozległe pola.

Pomimo dokuczliwego bólu zranionej nogi, serce chłopca przepełniało uniesienie i radość. Dokonał przecież niemało. Wymknął się bezpiecznie z Eyrie po włamaniu do Domu Gwiazdy. Ośmielił się iść przez Równiny, gdzie spędził noc w środku wymarłego miasta. Samodzielnie przeprowił się przez rzekę. Podpatrzył Koczowników na brzegu leśnego jeziora, a wreszcie stawiał czoła dzikowi, przed którym zdarzało się uciec nawet najlepszym myśliwym. Teraz zaś miał konia, w rękę niezawodną broń, a przed sobą szeroką drogę. Uznali go niegodnym Gwiazdy, Rada odrzuciła jego kandydaturę. Równe zęby zaślniły w ponurym uśmiechu, podobnym do grymasu polującej Lury. Tak, pokaże im jeszcze. Przekonają się, że syn Langdona, Białowłosej Mutant dorównuje najlepszym spośród nich. Udowodni to całemu Eyrie. Lura pozostała nieco w tyle, gdyż klacz wyraźnie niepokoiła się, gdy wielki kot zbliżał się do niej. Wyrwany z zadumy Fors rozglądał się po okolicy.

Wśród zarośli rozrzucone były stosy gruzu, gdzieś widać było ocalały szkielet budynku. Nie podkute kopyta wierzchowca w pewnej chwili zaczęły wydobywać inny dźwięk. Jechali chodnikiem, na którym prostymi liniami znaczyły się rdzawe ślady. Szczątki opustoszałych domostw zaczęły gęstnieć. Zapewne zbliżali się do osady, a może nawet miasteczka.

W otoczeniu było coś niepokojącego, choć opanowane przez roślinność stosy gruzu tchnęły wymarłą pustką. Ponownie doświadczał złego samopoczucia, nie wiążącego się z konkretną chorobą ciała czy ducha, lecz podobnego do tego, co odczuwał, gdy mijał rozbitą konwój. Wytarł rękę w końską grzywę, jakby próbował pozbyć się nieprzyjemnej plamy. Gdy jednak chciał przyjrzeć się dłoni, nie mógł jej dostrzec. Pomimo padającego deszczu, z ziemi unosiły się gęste, podobne do mgły wyziewy.

Wkrótce pojawiła się też prawdziwa mgła. Z góry zaczęły spływać brudnobiałe kłęby spowijające zalegające wokół stosy butwiejącego drewna i gruzu. Zasniona gęstniała w oczach i już po chwili mlecznobiały całun spowijał całą okolicę, nie ustępując w swej nieprzeniknioności mgłom z górskich kotlin... Otoczenie przybrało groźny wygląd. Dotknął palcem okolicznej rany. Wywołany ból był tak mocny, że nie potrafił powstrzymać głośnego okrzyku. Zmniejszająca się widoczność zaczęła go niepokoić, postanowił więc przerwać podróż. Potrzebował teraz bezpiecznego miejsca na nocleg, gdzie mogłyby rozpaść ogień i zmienić opatrunek, a przede wszystkim schronić się przed deszczem.

Ruiny nie wyglądały zachęcająco, jednak gdzieś w głębi mogły kryć to, czego szukał. Ściągnął wodze, zmuszając wierzchowca do powolnego

kroku. Wyszło to im na dobre, gdyż po chwili natknął się na szeroko otwartą wyrwę w chodniku - niekształtną, czarną dziurę, obrzeżoną wyszczerzonymi zwałami skruszonego betonu. Wyminęli je szerokim łukiem, tak daleko, jak tylko pozwoliły ciągnące się opodal postrzępione mury. Fors zaczął żałować, że opuścił kamienny dom na wzgórzu. Ból nogi dokuczał coraz bardziej i chłopak pomyślał, że lepiej byłoby zatrzymać się tam dzień lub dwa, aby nabrać sił. Wtedy jednak nie miałby konia. Gwizdnął miękko, z radością patrząc, jak w odpowiedzi zwierzę strzyże uszami. Nie, ten wierzchowiec wart był nawet rozdzierającego ciała bólu.

Jeszcze dwa razy nawierzchnię przerwały duże zagłębienia. Ostatnie z nich rozmiarami przypominało lej po bombie. Gdy Fors mijał je powoli, drogę przecięło mu pasmo błotnistej, lecz mocno udeptanej ziemi, którego koniec nikał w czarnej czeluści. Widok ten przywodził na myśl dobrze utrzymaną ścieżkę. Lura obwachała ją, po czym warknęła niepewnie, a sierść na jej grzbiecie zjeżyła się. Cokolwiek tędy przechodziło, zostało uznane za wroga. Fors nie miał najmniejszej ochoty spotkać się ze stworzeniem, które Lura. zdolna pokonać dziką krowę, watahę dzików czy nieokiełznanego ogiera, oznajmiała w ten sposób. Popuścił cugli, nagłać klacz do szybkiego kroku.

W pewnej odległości za ziejącą w ziemi wyrwą natknęli się na niewielkie wzgórze. Jego wierzchołek zajmował zbudowany z białego kamienia dom z wyraźnie widocznym jednosпадowym dachem. Zbocza pagórka były odkryte, nie licząc kilku kępek niskich zarośli, dzięki czemu z okien budynku musiał roztaczać się dobry widok na najbliższą okolicę. Fors szybko podjął decyzję.

Rozczarował się nieco, stwierdziwszy na miejscu, że dach przykrywał tylko część pomieszczeń, natomiast środek był otwarty, tworząc nieduży amfiteatr z kilkunastoma rzędami szerokich siedzeń, opadających w kierunku kwadratowego podwyższenia i biegnącymi wzdłuż przejść kolumnami. Tym niemniej, pod dachem znajdowało się kilka małych, leżących za sceną pomieszczeń. W jednym z nich. Fors postanowił rozbić obóz. Uwiązał klacz do najbliższej kolumny, po czym nakarmił ją zerwaną ze stoku trawą i prażonym ziarnem. Mógł co prawda ją spętać i zostawić na łące, jednak wspomnienie złowieszczej ścieżki nakazywało ostrożność.

W nierównościach spękanego podłoża gromadziła się deszczówka, tworząc liczne kałuże. Do jednej z nich przypadła Lura i łapczywie gasiła pragnienie. Przy sąsiednim bajorku przystanąła klacz, łykając wodę z głośnym mlaskaniem grubych warg. Pomiedzy siedzeniami i kolumnami leżało sporo ułamanych przez wiatr gałęzi, dzięki czemu Fors szybko rozniecił ogień. Nie obawiał się, że ktoś to spostrzeże, gdyż ściany skutecznie zasłaniały blask. Zagotował wodę w poobijanym garnuszku i przystąpił do tortury zmiany opatrunku. Gdy zdjął bandaż, przekonał się, że maść działa. Choć brzegi rany były zaognione i obrzękłe, to ciało było czyste, bez śladu infekcji - zaczynał się proces gojenia. Lura była z pewnością głodna, lecz nie usiłowała nawet wyruszyć na łowy. Od chwili, w której minęli ostatni krater, stała się osowiała i trzymała się blisko Forsa. Teraz leżała cicho, wpatrując się zamyślonym wzrokiem w płomienie. Jeżeli Lura nie chciała polować, musiała mieć ku temu poważne powody. Chłopak żałował tylko, że nie potrafił powiedzieć więcej o istocie budzącej strach i nienawiść. Zastanawiał się intensywnie i nagle udało mu się nawiązać przelotny kontakt z umysłem zwierzęcia. Fala lęku i uczucie bezradności uderzyły ze wzmoczoną siłą, obejmując paraliżującymi kleszczami mięśnie i wolę. Po tym seansie ciekawość Forsa ustąpiła miejsca przezorności i choć tajemnicza istota pozostała nieznaną, chłopak nie miał najmniejszej ochoty na spotkanie.

Spać poszli głodni, gdyż Fors zrezygnował z kolacji, oddając resztki ziarna klaczy, w nadziei, że zdobędzie w ten sposób jej przywiązanie. Niewielki ogień miał płonąć całą noc, rozpraszając mrok i zabezpieczając przed nieoczekiwanymi odwiedzinami. Leżał w napięciu. Od czasu do czasu podnosił głowę i wyteżał słuch w oczekiwaniu na odległe dudnienie. Był przekonany, że tej nocy bębny odezwą się ponownie. Tym razem jednak noc milczała. Przestało padać i niemal natychmiast w trawach rozdzwoniły się owady. Nadciągnął lekki

wiatr, napełniając pobliskie krzewy cichym szelestem. Ten odwieczny, smutny śpiew listowia denerwował Forsa. Lura nie spała również: wyczuł to zanim jeszcze usłyszał odgłos jej kroków. Kierowała się w stronę drzwi, pełznął więc za nią, starając się oszczędzać zranioną nogę. Kot zatrzymał się na skraju podjazdu i nieruchomo spoglądał w dół, w stronę spowitych czernią ruin. Po chwili był już tam Fors i niemal natychmiast dostrzegł przyczynę niepokoju zwierzęcia. Na północ od nich, w kompletnych ciemnościach pochmurnej nocy migotała czerwona iskierka ognia.

Więc był tu jeszcze ktoś. Koczownicy trzymali się przeważnie z dala od miasta - tak żywa była pamięć czasów, gdy promieniowanie siało śmierć. A Bestie? Czy posiadały umiejętność rozniecania ognia? Nikt nie wiedział, jaką inteligencją obdarzone są te istoty, ani jaki jest ich poziom zwyrodniałej cywilizacji.

Pragnienie, aby chwycić klacz, wskoczyć jej na grzbiet i pomknąć kamienistym zboczem w stronę odległego ogniska było bardzo silne. Migoczący blask kusił obietnicą towarzystwa w tej krainie czającej się śmierci.

Nim jednak zdażył podjąć jakąkolwiek decyzję usłyszał niskie zawrosczenie chóru warczących, szczełających i wyjąjących głosów. Natężenie dźwięku narastało. Pojawiały się coraz wyższe tony, by w końcu przekształcić się w oszalały, potępieńczy jazgot. Czuł, jak pod ręką jeży się sierść na karku Lury. Oddychała ciężko, warcząc co chwila, lecz nie ruszała się z miejsca. Krzyki nadal dobiegały od strony ogniska. Ktokolwiek je rozpalił, musiał zginać.

Fors mimowolnie zadrżał. W niczym nie mógł pomóc osaczonemu nieszczęśliwcowi. Zanim przebyłby ruiny, byłoby już po wszystkim. Jeszcze raz spojrział w dół i poczuł jak serce zamiera mu w piersi - przed sobą miał tylko ciemność. Migotliwy, przyjazny płomień zniknął.

Rozdział 5

Miasto nad jeziorem

Fors zwlókł się z barłogu i mrużąc oczy wyszedł na poranne słońce. Spał kiepsko, a mimo to czuł się dobrze - najlepszy znak, że rana goiła się. Gdy zrobił parę kroków, przekonał się, że rzeczywiście ma się lepiej. Bez zbyteńnego wysiłku udało mu się wyprowadzić klacz na rozciągniętą wzdłuż stoku łąkę. Lura musiała obudzić się wcześniej, gdyż na podłodze obok resztek wygasłego ogniska leżał brązowo upierzony indyk. Upiekł go i zjadł, cały czas myśląc o tym, że będzie musiał osiodłać konia i pojechać przez zrujnowane miasto w poszukiwaniu śladów widzianego w nocy ogniska.

Nie chciał tam jechać. Nie chciał, ponieważ... nie miał ochoty pakować pospiesznie dobytku - powód jaki szybko podsunął wzburzony umysł. Wróciła Lura i siedząc w szerokiej smudze światła starannie czyściła futro. Poderwała się jednak natychmiast na widok Forsa, dosiadającego konia i kierującego się w stronę skupiska strzaskanych domów.

W końcu natrafili na plamę wypalanej trawy. Ogień strawił spory obszar. Gdzieś tam spomiędzy okopconych kamieni wychylały się ocalałe jakimś cudem żółte, białe i niebieskie kwiaty oraz bujnie rozrosłe nad labiryntem zasypanych piwnic chwasty, o mięsistych, czerwono ubarwionych liściach. Kot i wierzchowiec ostrożnie stawiali każdy krok w spustoszonej ogniem terenie.

Zbliżając się do najbardziej odległego skraju pogorzelniska natknęli się na miejsce nocnej walki. Spod ich nóg niechętnie poderwało się stado czarnych ptaków, które pochłonięte były ucztą wśród resztek pozostawianych przez silniejszych padlinożerców. Fors zeskoczył w środek kręgu wydeptanej trawy, czując jednocześnie narastające obrzydzenie. Na splamionej krwią ziemi bieląły dwie kupki starannie oczyszczonej kości. Zdumiały go czaszki - nigdy przedtem takich nie widział - wydłużone i wąskie, zaopatrzone w silnie pożółkłe zęby. Z pewnością nie należały do jego rasy. Rozglądał się wokół i w pewnym

momencie dostrzegł błysk metalu. Zbliżywszy się podniósł z ziemi złamaną włócznię. Przyjrzał się dokładnie pękniętemu w pobliżu grotu drzewcu. Teraz nie miał już wątpliwości. Znał tę broń, należała do widzianego na wyspie rybaka.

Fors zataczał coraz szersze kręgi wokół pola walki. Jeszcze raz zbliżył się do dziwnych szkieletów, pomijając jednak wcześniej znalezioną włócznię, nie natrafił na żaden ślad łowcy. Kości budziły wyraźną odrazę kota, możliwe, że przyczynił się do tego unoszący się nad nimi odór. Myszkująca tu i tam z nosem przy ziemi Lura, podbiegła nagle do sterty kamieni i wspiawszy się na zadnie łapy, zaczęła je obwachiwać.

Wszystko było jasne. Łowca nie dał się zaskoczyć atakiem z ciemności. Starczyło mu czasu, aby wdrapać się na górę, gdzie atakujące go istoty nie mogły go od razu dopaść i skąd mógł bronić się tak skutecznie, że dwóch napastników zostało rannych lub padło trupem, stając się natychmiast żerem zbrojnych w straszne kły współplemieńców. W końcu udało mu się chyba uciec, gdyż nigdzie nie mógł dostrzec jego kości.

Aby się dostatecznie upewnić, zaczął rozgniatać nogami niskie zarośla. W pewnej chwili potracił stopą niewielki, okrągły przedmiot. Podniósł go, a wtedy okazało się, że trzyma w ręku mały, wykonany z ciemnego drewna bębenek o wypolerowanych ścianach, obciągnięty wyprawioną skórą o niezwyklej gładkości. Bęben sygnalizacyjny! Odruchowo uderzył, wydobywając z instrumentu niski wibrujący dźwięk, który odbijając się od pobliskich ruin, powracał zwielokrotnionym echem. Zabrał bęben ze sobą. Nie wiedział dlaczego to robi, fascynował go jednak nieznan w górach sposób przesyłania wiadomości. Następane dwa dni minęły spokojnie. Wszystko wskazywało na to, że Koczownicy nigdy nie zapuszczali się w te strony, choć był to dla możliwych prawdziwy raj, obfitujący we wszelką zwierzynę. Fors, nie chcąc stracić żadnej ze swych cennych strzał, wysyłał na łowy Lurę, która nareszcie była w swoim żywiole, całymi dniami polując w stepie. Mięsa mieli w bród, dla urozmaicenia jedli jagody i ziarno z dojrzewających kłosów dzikich zbóż.

Natknęli się jeszcze na dwa miasteczka, wyminęli je jednak z daleka, gdy tylko pojawiły się pierwsze ruiny. Ponure, przesiąknięte wilgocią miejsca, działały przygnębiająco i wtedy nadchodziło pytanie, co by było gdyby na miejscu czarnoskórego znalazł się on sam. Czy zaskoczony na otwartej przestrzeni, kulejący kaleka potrafiłby dotrzeć w bezpieczne miejsce? Teraz noga sprawiała mniej bólu. Codziennie szedł przez jakiś czas, aby rozruszać mięśnie i wzmocnić delikatną jeszcze bliznę. Czuł, że już wkrótce będzie poruszał się całkiem swobodnie.

Rankiem czwartego dnia dotarli do rozległych wydm. Poza pasmem ukształtowanych przez wiatr formacji rozciągało się owiane legendą jezioro - bezkresna, szaroniebieska tafla wody. Zdumiony pomyślał, że tak właśnie musi wyglądać leżące na końcu świata morze. Na brzegu zalegały wysokie stopy naniesionego przez fale, zbielełego na słońcu drewna. Ostatnio musiała przejść tędy burza, gdyż na piasku widać było poskręcane, na wpół gnijące ciała ryb.

Zsiadł z konia, chwycił za uzdę i ruszył ku wodzie. Piasek był miękki, tak, że zapadł się głęboko, wyciągając stopy ze znacznym wysiłkiem. W miarę zbliżania się do brzegu musiał zatykać nos, tak nieznośny stawał się fetor rozkładających się ryb i wodorostów. Oglądająca ryby Lura pozostała kilka kroków w tyle.

Więc jezioro istniało naprawdę, a gdzieś na jego brzegu leżało odkryte przez ojca miasto. Rozglądając się dookoła zastanawiał się, w którą stronę powinien teraz iść. Ukrył się przed wiatrem za pobliską wydumą i przysiadł

38

na piasku, by spojrzeć na mapę. Po wyminięciu ostatniego miasteczka skierowali się na zachód, więc teraz należało skrócić na południe. Trzymając się brzegu powinien wkrótce dotrzeć do celu. Przepychanie się przez piaski było bardzo męczące, toteż zniechęcony postanowił cofnąć się nieco w głąb ładu, na twardszy grunt. Ucieszył

się, gdy po wyminięciu najbliższego pagórka natrafił na przysypane pasmo betonowej drogi. Biegła wzdłuż skraju wydm, mógł się więc jej trzymać. Jeszcze raz okazało się, że mapa mówi prawdę. Po przejściu niespełna mili dostrzegł wyłaniające się z oddali ruiny. Od razu jednak widać było, że nie są to resztki małej miejscy. Było to oczywiste nawet dla tak niedoświadczonego badacza, jak Fors. W promieniach porannego słońca daleko w przedzie wznosiły się ku niebu wysokie, strzaskane miejscami wieże. Miał przed sobą jedno z wielkich miast, z charakterystycznymi, sięgającymi chmur domami. Wiedział, że nie jest ono "niebieskie", gdyż w innym przypadku w nocy widziałby na niebie ślady piętna. To miasto należało do niego całe. Langdon miał rację - był to niewyczerpany magazyn, czekający na zdobycie ku większej chwale Eyrie. Fors opuścił wodze pozwalając klaczy na wolny kłus, a sam próbował odgrzebać w pamięci wpajane mu niegdyś zasady. Przede wszystkim należało szukać bibliotek i sklepów, zwłaszcza tych z wyrobami żelaznymi i papierniczymi. Pod żadnym pozorem nie wolno było natomiast dotykać żywności, choćby nawet znajdowała się w szczelnie zamkniętych pojemnikach. Dokonywane kiedyś próby zbyt często bowiem kończyły się śmiertelnym zatruciem. Najcenniejsze były leki, musiały być jednak sprawdzone przez kogoś doświadczonego, gdyż niewłaściwie użyte groziły niebezpieczeństwem dla zdrowia i życia. W trakcie rekonesansu najlepiej było brać niewielkie próbki znalezionych dóbr: książek, materiałów piśmiennych, map. Koń pozwolił mu zapakować znacznie więcej przedmiotów. Pojawiły się ślady ognia. Fors wjechał na odkryty odcinek drogi, gdzie nierówna nawierzchnia zasłana była grubą warstwą popiołu. Wieżowce na razie sprawiały wrażenie tylko nieznacznie uszkodzonych. Czy stałyby jeszcze, gdyby spadły bomby? Możliwe, że miasto wymarło na skutek szalejących po wojnie epidemii. Możliwe, że umierało razem z dogasającym życiem mieszkańców, a nie w nagłym paroksyzmie eksplozji.

Droga zmieniła się teraz w wąską ścieżkę, kluczącą między wysokimi szkieletami budynków, których wyższe piętra spadły na dół, tworząc stosy gruzu, miejscami całkowicie blokujące przejście. Było tu pełno samochodów - przecież Przodkowie korzystali z nich na co dzień. Były też kości. Znaleziona w starym banku czaszka wstrząsnęła nim, teraz wokół siebie widział setki szkieletów i ta ogromna ilość sprawiła, że szybko przestał zwracać na nie uwagę, nawet wtedy, gdy końskie kopyta kruszyły cienkie żebra, lub potraçały biały czerep. Nie ulegało wątpliwości, że ludność zginęła w wyniku zarazy, działania gazu lub nawet choroby popromiennej. Na szczęście - słońce, wiatr i zwierzęta oczyściły to miejsce śmierci ze zgnilizny, pozostawiając tylko nieszkodliwe kości.

Jak dotąd Fors nie próbował badać nor, które kiedyś były leżącymi na niższych piętrach wieżowców mieszkaniem. Opanowało go tylko jedno fundamente - jak najszybciej dotrzeć do centrum miasta, do fundamentów wysokich wież, ku którym podążał przez cały ranek. Szybko jednak przekonał się, że nie będzie to takie proste. Dalszą drogę przegradzała trudna do przebycia zaporą.

Przed nim czerniał przecinający miasto na dwie części, szeroki wąwóz, a dnem wiła się licznymi zakolami rwąca rzeka. Przerzucono nad nią kilka mostów, gdy jednak zbliżył się do pierwszego z nich, okazało się, że przejście jest zamknięte przez masę wypiętrzonego w fantastyczną ścianę zardzewiałego żelastwa. Setki maszyn prowadzonych przez oszalałych ze strachu ludzi powpadało na siebie, łącząc się powyginanymi częściami w wysoką barierę. Na pierwszy rzut oka most był nie do przebycia. Możliwe, że Fors zdołałby jakoś się przecisnąć, koń jednak z pewnością nie dałby rady. Najrozsądniejszym rozwiązaniem wydało mu się zejście na dno doliny i przeprawa przez rzekę, ponieważ sąsiednie mosty również pełne były przeżartego rdzą żelastwa. Znalezli odgałęzienie głównej szosy, opadające ku wodzie. Także tutaj pełno było maszyn - prawdopodobnie ludzie po zablokowaniu mostu wpadli na taki sam pomysł. Wzdłuż trasy marszu biegły dwie rdzawoczer-wone linie. Fors rozpoznał w nich znane ze starych książek tory kolejowe. Ruszył wzdłuż torów, lecz po przejściu mili natknął się na blokujące je maszyny. Był to pociąg, ściślej mówiąc dwa

pociągi. Zrozumiał to, gdy w kłębowisku stali dostrzegł dwie zmiążdżone zderzeniem lokomotywy. Ci, którzy zdecydowali się uciekać pociągiem mieli tyle samo szczęścia, co osoby uwięzione w znieruchomiałych pojazdach tam w górze. Nie potrafił wyobrazić sobie widoku miasta w dniu paniki. Czasem dzieci w Eyrie roz-grzebywały mrowisko, a wtedy owady ogarniało wrzenie i rozlewały się wokół czarna fala. Miasto również musiało wrzeć, wyrzucając na zewnątrz mrowie przerażonych ludzi. Większość z nich zginęła, lecz przecież niektórzy musieli przedostać się w bezpieczne miejsce. Jakże były ich dalsze losy, jaki koniec? Jakże szansę miała garstka ogarniętych paniką uchodźców, rozrzuconych w bezmiernym stepie z nieustanną świadomością czającej się w pobliżu niewidzialnej śmierci? Forsem wstrząsnęły dreszcze, gdy mijał rozbite wagony wykolejonych pociągów. W końcu udało mu się znaleźć wąskie przejście przez zator. Po drugiej stronie ciągnęła się już rzeka, a na jej powierzchni unosiły się ciężkie barki, łącząc przeciwległe brzegi czymś na kształt pływającego mostu. Pozostawiając za plecami wstrząsającą scenerię. Fors wraz ze zwierzętami ostrożnie wkroczył na rozchwiane podłoże. W środku przeszła natknęli się na sporą wyrwę, przez którą z głośnym bulgotem przelewał się nurt. Nagłona wbijanymi w żebra piętami klacz, przesadziła szybko przeszkodę, Lura minęła ją z naturalną zwinnością.

Na drugim brzegu wawozu weszli w płataninę ciemnych ulic, obramowanych rzędami pozbawionych okien budynków. Po jakimś czasie napotkali drogę wznoszącą się ostrym łukiem w górę. Trzymając się jej dotarli w pobliże wieżowców. Nad ich głowami krążyły z głośnym krzykiem ptaki, zza rozbitych drzwi wyjrzało na chwilę jakieś brązowo ubarwione zwierzę. Podjechał do ściany w miejscu, gdzie chyba cudem ocalała tafla szkła. Wiatry i deszcze osadziły na niej tak grubą warstwę brudu, że nie mógł dostrzec, co kryło się we wnętrzu. Zsiadł z konia i dotknął dłońmi gładkiej powierzchni. Tajemnica wytwarzania tak doskonałego szkła nie dotrwała do dziś - podobnie jak wiele innych sekretów Przodków.

To, co dostrzegł przez wyczyszczony fragment szyby, omal nie skłoniło go do ucieczki, choć miał w pamięci opowieści Gwiazdzistych. Postacie stojące w mrocznej sali to nie Przodkowie, tylko ich podobizny, używane do demonstrowania strojów. Z nosem przylepionym do szkła sycił się widokiem trzech wysokich kobiet, spowitych w draperie gnijących tkanin. Wiedział, że kolorowe materiały nie przetrwałyby jego dotyku. Rozsypywały się w pył w zetknięciu z ręką badacza. Wzdłuż budynku ciągnęły się dalsze wystawy. Przez pozbawione szyb okna widział puste pomieszczenia. Bez trudu mógł się dostać do środka, lecz nie był jeszcze to tego gotowy, a poza tym prawdopodobnie nic ciekawego tam nie było.

Budynek z lewej strony wieńczyła wysoka wieża, sięgająca wyżej niż pozostałe. Z jej szczytu musiał rozciągać się rozległy widok na miasto i okolice. Wiedział, że Przodkowie poruszali się w takich budynkach przy użyciu specjalnych pojazdów, teraz z pewnością nieczynnych. Wewnątrz mogło nie być w ogóle schodów, a nawet gdyby były, nie potrafi ich pokonać z chorą nogą. Może przed opuszczeniem miasta... Byłoby wspaniale sporządzić szkic widzianego z góry miasta i dołączyć go jako ilustrację do formalnego raportu.

Musiał przyznać, iż w dalszym ciągu wiązał swe przyszłe losy z Eyrie. Marzył o triumfalnym powrocie, o tym, jak pewnego dnia stanie przed Radą Starszych i udowodni, że oto on, pogardzany mutant, osiągnął to, do czego inni przygotowywali się przez całe życie. Na myśl o tym zalała go fala ciepła. Nieznane, wielkie, odkryte przez ojca miasto, zbadane i naniesione na mapę, gotowe do systematycznych poszukiwań - człowiek, który przyniesie takie wieści może w Eyrie prosić o wszystko, czego zechce.

Fors siedł powoli, prowadząc konia za uzdę. Lura biegła przed nim badając otoczenie, nie wykazywała jednak ochoty na dalsze wypadki. Odgłos potracanych kamieni, krzyki ptaków, stuk kopyt - wszystko to dźwięczało wśród pustych budowli niesamowitym echem. Po raz pierwszy w życiu Fors zatęsknił za towarzystwem drugiego człowieka. Pomyślał, że dobrze byłoby z kimś porozmawiać w miejscu, gdzie tak długo

panowała śmiertelna cisza.

Słońce stało wysoko, zalewając wszystko ostrym blaskiem. W pewnej chwili oczy Forsa poraziły promienie odbijające się od przedmiotów, zgromadzonych na wystawie mijanego sklepu. Zaintrygowany podszedł bliżej i cicho gwizdnał. Na półce poukładane rzędami, leżały pierścienie. Niektóre z nich miały lśniące, przezroczyste kamienie - domyślał się, że były to brylanty. Starł kurz i wygarnął nagromadzone śmieci. Większość błyskotek była za mała, aby zmieścić się na którymkolwiek palcu, jednak wybrał cztery największe, chcąc zabrać je do Eyny i zabłysnąć przed rówieśnikami. Między innymi był tam szeroki pierścień z dużym ciemnoczerwonym oczkiem. Okazało się, że pasuje jak ulał na trzeci palec dłoni Forsa. Obejrzał klejnot ze wszystkich stron, ciesząc się głębokim, szkarłatnym blaskiem. Oto przedmiot sporządzony przez dawnego zmarłego mistrza będzie teraz służył jemu - uznał to za dobry znak i postanowił nosić pierścień na szczęście. Uspokoiwszy się, trzeźwo pomyślał, że bardziej niż lśniących kamieni potrzebuje teraz żywności. Koń musi jeść, a dookoła mieli tylko rozległą betonową pustynię. Jeśli chciał znaleźć miejsce na obóz, musiał kierować się w stronę przedmieść. Od razu wykluczył drogę przez dolinę pełną żelastwa. Lepiej już było iść w drugą stronę. Dzięki temu pozna rozległość miasta, musi tylko zdążyć przed zapadnięciem ciemności.

Nie zatrzymywał się już przy żadnym ze sklepów, robiąc tylko w pamięci uwagi co do miejsc, które warto ponownie odwiedzić. Pokonywanie pełnych gruzu ulic wymagało sporo wysiłku, co w połączeniu z ciepłem odbijających się od budynków promieni słońca sprawiło, że na twarzy pojawiły się krople potu, a ubranie zaczęło lepić się do ciała. Czuł narastający głód, powrócił też ból nogi, dosiadł więc ponownie konia. Lura zaczęła protestować, domagając się opuszczenia kamiennej dżungli. Tęskniła zapewne za stepem, gdzie mogłaby przynajmniej zapolować.

Po trzygodzinnym marszu wyszli na skraj pięknego lasu, niewielkim pasem zieleni przebiegającego wypralone bezlitosnym słońcem jałowe ruiny. Był to dawny park, który w miarę upływających lat przekształcił się w prawdziwą puszczy. Lura mruknęła radośnie, a klacz zarżała i pomknęła przez zarośla. Szaleńcza jazda skończyła się, gdy wypadli na wąską, wydeptaną przez zwierzęta ścieżkę. Fors siadł z wierzchowca i puścił go luzem. Na końcu biegnącej w dół łagodnego zbocza dróżki leżało jezioro. Na brzegu stała klacz i opuściwszy nisko głowę, piła łąpczywie. Duża, czerwono-złota ryba niespiesznie odpływała w spokojniejsze miejsce. Fors przysiadł na płaskim kamieniu, ściągnął buty, po czym zanurzył obolałe stopy w chłodnej wodzie. Od stawu ciągnął lekki wietrzyk. Poruszał liście drzew i przyjemnie osuszało mokre ciało. Chłopak rozejrzał się. Po drugiej stronie jeziora biegły w górę szerokie schody. Niegdyś białe stopnie, popękane i porośnięte mchem, wiodły do sporego budynku. Rozleniwiony postanowił obejrzeć go później. Tak dobrze siedziało się w cienistym chłodzie. Klacz wróciła z wodopoju i teraz objadała się bujną trawą na pobliskiej łące. Spod jej kopyt z głośnym kwakaniem poderwała się kaczka. Dopadła wody, energicznie przebierając łapami popłynęła w stronę schodów.

Wieczór był drugi. Zmrok kładł się powoli miękką zasłoną na ukryte wśród drzew jezioro. Dopóki było jeszcze widno, Fors poszedł obejrzeć wysoki, otoczony kolumnami budynek w szczycie schodów. Wszedł do środka, a wówczas okazało się, że szczęście nadal mu sprzyja. Znajdował się w muzeum - miejscu zajmującym wysoką lokatę na sporządzonej przez Gwiazdzystych liście odkryć. Wędrował przez wielkie sale, pozostawiając za sobą odcisnięte w pyle ślady butów. Patrząc pod nogi przekonał się, że dotychczas miejsce to odwiedzały małe zwierzęta - wokół pełno było ich tropów. Wytarł kurz ze stojącej najbliżej gabloty i spróbował odcyfrować poplamione i wyblakłe znaki. Przyglądały mu się dziwaczne kamienne głowy, a z wiszących na ścianach, oprawnych w spróchniałe ramy, mrocznych i postrzępionych płócien ponuro patrzyły straszne twarze.

Zapadający mrok wypędził go na dziedziniec. Jutro będzie dość czasu, aby ocenić wartość znaleziska. Jutro? Dlaczego tylko jutro?

Dysponował przecież nieograniczonym czasem na odkrycie i oszacowanie wszystkich skarbów miasta. Przecież jeszcze nawet nie rozpoczął badań. Było ciepło. Rozniecił niewielki ogień. Las budził się do życia. Rozpoznał szczebanie lisa, ponure nawoływania nocnych ptaków. Wyobraźnia podsuwała mu obrazy ulic wypełnianych się zamyślonymi, głodnymi duchami, nieustannie szukającymi tego, co minęło bezpowrotnie. Natomiast tutaj, gdzie człowiek nigdy nie mieszkał, było spokojnie i chwilami miał wrażenie, że znajduje się w jednej z dolin w rodzinnych górach. Dotknął worka Gwiazdzistego. Czy Langdon rzeczywiście był w mieście? Czy zginął dopiero w drodze powrotnej? Fors chciał, żeby tak było, żeby ojcu dana była radość odkrycia, aby mógł się przekonać, że mapa mówiła prawdę.

Stawiając bezszelestnie łapy na omszałych stopniach, z cienia wyszła Lura. Wkrótce potem na popękany marmurze zadzwoniły kopyta. Nadbiegła klacz, choć przecież nikt jej nie wołał. Można by pomyśleć - Fors podniósł się i wyprostowany nieruchomo wpatrywał się w gęstniejące ciemności - że obcy świat napawał zwierzęta strachem, a one broniły się przed nim, szukając towarzystwa człowieka. Wsłuchał się w siebie, lecz nie wyczuwał niepokoju, jaki pojawił się w tamtych ruinach - las wydawał się być zupełnie bezpieczny.

Na wszelki wypadek wszedł między drzewa i pośpiesznie zaczął zbierać chrust. Chciał zgromadzić jak najwięcej opału przed zapadnięciem całkowitych ciemności. Musi mieć tyle drewna, aby go starczyło na odparcie ewentualnego ataku. Nie przerywając pracy spojrzął na zwierzęta. Lura siedziała nieporuszona u szczytu schodów, koń również nie zdradzał ochoty do powrotu na łąkę.

Uznał wreszcie, że ma dosyć. Rozprostował grzbiet i oparł lekko drżące ze zmęczenia dłonie o wysoki stos połamanych gałęzi. W dalszym ciągu coś jednak popychało go do działania. Spróbował napiąć łuk, położył go pod ręką, po czym wy dobył z pochwy miecz. Gdzieś z góry nadciągnął wiatr, był niemal gorący. Znad wody zniknęły rozkrzyczane ptaki.

Potężny, fioletowy błysk przeciął niebo na południu, a w chwilę potem przetoczył się głuchy grzmot. Błyskawica wywołana była różnicą temperatur, mogła również zwiastować burzę, co wzięwszy pod uwagę wyczuwalną elektryzację powietrza, było całkiem prawdopodobne. Fors nie oszukiwał się - coś więcej niż burza czaiło się w mroku nocy. Czuł się podobnie, jak kiedyś w Eyne, gdy zaczynało się zimowe przedstawienie, a on z niecierpliwością czekał na podniesienie kurtyny. Taki był to rodzaj podniecającego oczekiwania. Zaczął szybko oddychać - do głosu doszła wyobraźnia, ten przeklęty nadmiar wyobraźni.

Langdon zawsze twierdził, że wyobraźnia jest niezbędnym narzędziem w pracy Gwiazdzistego. Jednak gdy ktoś miał jej zbyt dużo, wówczas odzywały się tkwiące gdzieś głęboko lęki i za każdym razem musiał pokonywać dodatkowego wroga.

Myśl o Langdonie nie odpędziła dziwnego uczucia. Coś czaiło się na zewnątrz kręgu światła, jakaś ciemna, bezkształtna siła wpatrywała się w maleńkiego Forsa, tkwiącego przy iskieierce ogniska, czekając cierpliwie na dogodny moment.

Ze złością dorzucił do ognia. Zachowywał się jak szaleniec. W ruinach miasta musi być rozsiane szaleństwo. Czekają całymi latami, a gdy pojawi się jakiś człowiek, przenika do jego myśli i zatrąwa je... Była to trucizna skuteczniejsza od wszystkiego, czego użyli Przodkowie w trakcie zgubnych dla ludzkości wojen. Musi oswobodzić świadomość z przytłaczającego uścisku, musi się spieszyć.

Lur przyglądała mu się poprzez płomienie. W blasku ognia jej niebieskie oczy nabierały odcienia czystego topazu. Mruknęła cicho, uspokajająco. Fors odprężył się trochę, czuł jak napięcie opada. Z worka Langdona wy dobył notatnik i wyteżając aż do bólu uwagę, zaczął starannym pismem przedstawiać obserwacje z ostatniego dnia podróży. Jeśli zapiski te miały kiedykolwiek trafić do Jarla, powinny mieć wygląd regulaminowych raportów. Poza zasięgiem ognia kłębiła się czerń nocy.

Rozdział 6

Pułapka

Zapowiadał się parny dzień. Fors obudził się z dokuczliwym bólem głowy i niejasnymi wspomnieniami dręczących go nocą koszmarów. Ból nogi nasilił się. Ogarnął go strach przed infekcją. Po rozwiązaniu opatrunku przekonał się jednak, że gojenie postępuje prawidłowo. Choć nęciła go kąpiel w jeziorze, zadowolili się myciem na płyciźnie, odkładając pływanie do momentu, gdy rana zabliźni się całkowicie. Wnętrze muzeum wypełniało nieruchome powietrze, przeniknięte słabym zapachem stęchlizny. Ściany długich, chłodnych korytarzy wypełniały rzędy ślepych masek. Z najbliższej gabloty wydobył jeden z leżących tam mieczy. Na pierwszy rzut oka oręż wydawał się mocny, tylko nieznacznie uszkodzony przez rdzę. Niestety, rozpadł się na drobne kawałki, gdy tylko spróbował go zgiać. Taki sam los spotkał następne eksponaty - przy lada dotknięciu kruszyły się z cichym, metalicznym chrzęstem.

Ostatecznie zabrał ze sobą bardzo niewiele - większość przedmiotów była zbyt delikatna lub zbyt duża i nie nadawała się do przenoszenia. Z szafy opancerzonej zakurzoną kartką, zawierającą jakieś informacje o „Egipcie” wybrał kilka niewielkich statuetek, a z sąsiedniej półki zdjął ciężki pierścień ozdobiony wizerunkiem żuka. Jako ostatni powędrował do worka posażek czarnej pantery. Chłopak od pierwszej chwili zapałał uczuciem do małego kawałka gładkiego, chłodnego kamienia i teraz nie mógł wprost znieść myśli o pozostawieniu go na miejscu. Postanowił nie zaglądać do bocznych skrzydeł - czekało przecież na niego całe miasto.

Muzeum było bezpiecznym schronieniem. Nie było tu walących się na głowę ścian, dach był cały, a pod nim ciągnęły się rzędy dobrze zamkniętych pomieszczeń. Nie namyślając się długo, zaczął składać na stos swój dobytek. To będzie jego baza wypadowa. Choć klacz nie chciała odejść od jeziora, to nieustannym szarpaniem za wodze udało mu się w końcu doprowadzić ją do skraju ruin. Poruszał się powoli, gdyż pragnął zobaczyć, co kryje się za sterczącymi ze strzaskanych ram ostrymi odłamkami szkła. Kiedyś były to sklepy. Ile cennego towaru mogło się kryć w ich wnętrzu? Ze zniechęceniem spoglądał na towary zalegające wystawy, zniszczone przez czas i owady tkaniny.

Czwarty z kolei sklep był znacznie ciekawszy. Szklana szafa kryła w swym wnętrzu skarb cenniejszy od wszystkiego, co mogło oferować muzeum. Zabezpieczone przed kurzem i niszczycielskim działaniem czasu leżały w niej sterty papieru. Czyste arkusze piętrzyły się w kilku pudełkach, a między nimi dostrzegł kilka barwnych opakowań. Przyjrzał się im dokładniej i poczuł, jak serce uderza w przyspieszonym rytmie. Przecież to były ołówki.

Oczywiście połówki kartki papieru były kruche i łatwo łamały się. Nie stanowiło to jednak problemu, przecież w Eyrie byli ludzie, którzy potrafili poddać je specjalnej obróbce w celu otrzymania papieru nadającego się do użytku. Taka zdobycz! I jeszcze te ołówki. Ludzie nauczyli się co prawda posługiwać substancjami zastępczymi, prawdziwy ołówek był jednak najlepszy. Z niecierpliwością zaczął rozdzierać karton, wysypując na ladę dziesiątki cienkich pałeczek. W pewnej chwili omal nie krzyknął z radości. Natrafił przypadkiem na paczkę wielobarwnych kredek. Nie mogąc powstrzymać się wydobył nóż i zaostriął dwie z nich. Musi zaraz coś namalować. Żał mu było papieru, przyklęknął więc na podłodze i z namaszczeniem przeciągnął ołówkami po zakurzonej desce, kreśląc wspaniałe, kolorowe linie - zieloną i czerwoną. Musi zabrać to wszystko ze sobą. Myszkując na zapleczu sklepu znalazł metalową skrzynkę. Wydawała się wystarczająco mocna, postanowił więc zapakować w nią ile tylko zdoła z odkrytych skarbów. Ogarnęło go podniecenie, fantazja podsuwała coraz to nowe obrazy. Skoro jeden sklep zawierał tyle bogactw, to ile kryło ich całe miasto?

Ludzie w Eyrie będą całymi latami badać i wywozić odkryte przedmioty,

zanim miasto odsłoni wszystkie swoje tajemnice. Dotychczas nieskażone miasta, do których udało im się dotrzeć, zostały wcześniej przeczesane przez inne plemiona, bądź też roiły się od Bestii i były niebezpieczne.

Fors ruszył dalej. Pod nogami chrzęściły mu odłamki szkła, co chwila wymijał stosy gruzu. Wiele wejść do sklepów było całkowicie zasypanych i dopiero kilka kroków dalej napotkał łatwo dostępne wnętrza. Był to jeszcze jeden sklep jubilerski. Wewnątrz panował straszny bałagan, jakby ktoś już wcześniej splądrował to miejsce. Gabloty były rozbite, a szkło, metal i kamienie przemieszane ze sobą leżały na podłodze. Chłopak przystanął w drzwiach. Trzeba by długo pracować, by posortować zalegającą posadzkę warstwę. Nie było to w tej chwili niezbędne, obrócił się więc i chciał odejść, gdy nagle spostrzegł ciągnący się wzdłuż ściany ślad. W wąskim paśmie zeschniętego błota wyraźnie widać było głęboko odcisnięty obrys stopy. Rozpoznał go od razu - coś podobnego widział już przedtem, przy kałuży świeżej krwi jelenia. Ktokolwiek choć raz zobaczył te wydłużone szpony, wyrastające z cienkich palców, nie mógł ich potem nie rozpoznać. Tam, w zaroślach, trop był świeży, natomiast ten powstał dawno, może kilka miesięcy, a może kilka lat temu. Pod naciskiem palca czarna skorupa rozpadła się, odsłaniając zeschnięte na wiór głębsze pokłady. Nagle pojawił się niepokój. Wybiegł ze sklepu i przypadł plecami do najbliższej ściany. Jego oczy instynktownie przeszukiwały teren po obu stronach ulicy. W rozbitych oknach budynku naprzeciwko gnieździła się gromadka ptaków. W kolonii trwała gorączkowa krzątanina, co chwila słychać było trzepot skrzydeł zrywających się do lotu lub powracających stworzeń. O jakieś dziesięć stóp od siebie Fors zauważył dużego szarego szczura, który siedząc na stercie cegieł czyścił futro i przyglądał mu się z wyrazem inteligentnego zainteresowania małych oczu. Choć szczur był naprawdę duży, nie mógł jednak pozostawić takich śladów.

Przywołał buszującą z przodu Lurę. Z kotem u boku poczuł się trochę pewniej, choć nadal był świadom, że za najbliższą ścianą, w przecinającej jezdnię wyrwie, w kolejnym sklepie, może czaić się śmierć.

W ciągu godziny przebył więcej niż milę. Cały czas trzymał się głównej ulicy i wchodził tylko do budynków, które wydały się Lurze bezpieczne. Na grzbiecie wierzchowca piętrzył się stos przeróżnych pakunków. Patrząc na me. Fors powoli oswajał się z myślą, że zdoła zabrać ze sobą tylko nieznaczną część tego, co do tej pory zgromadził. Część znalezisk będzie musiał ukryć w muzeum. Zresztą, przedstawiając Radzie tylko najcenniejsze okazy, podniesie zapewne rangę swego sukcesu. Teraz, gdy miasto jest już odkryte, ludzie z Eyne "rozpracują" je szybciej i dokładniej niż on sam, a o wyborze najpotrzebniejszych i najbardziej przydatnych przedmiotów będą decydowali eksperci. Zatem im szybciej powróci do Eyrie, tym więcej będzie można zrobić przed nadejściem jesiennych deszczy.

Zrobiło się jeszcze cieplej. Spomiędzy kamieni wyfrunęły z głośnym brzęczeniem duże, czarne muchy. Szybko opadły klacz, bolesnymi ukąszeniami doprowadzając ją do szału, tak że miał poważne kłopoty z opanowaniem zwierzęcia. Postanowił wrócić nad jezioro i tam, w cieniu drzew, posortować dzisiejszą zdobycz. Gdy mijał widziany z rana sklep papierniczy, nie mógł się powstrzymać, aby nie wstąpić i nie popatrzeć na bogactwo, z którym musi się na razie rozstać. Od okna do podłogi biegła jasna smuga słonecznego blasku, uwydatniając namalowane niedawno znaki. Coś tu nie pasowało. Był pewien, że nie używał żółtej ani niebieskiej kredki, a teraz żółto-niebieska linia przecinała wyzywająco czerwono-zielony znak Forsa. Ktoś pootwieriał przygotowane do zabrania pudełka ołówków, a gdy je przeliczył, okazało się, że dwa opakowania zniknęły.

W pokrywającym podłogę pyłe dostrzegł, krzyżujące się z jego własnymi, nieco zamazane ślady stóp. Zbadał całe pomieszczenie i w kącie przy drzwiach znalazł wypłutą niedawno pestkę wiśni. Gwizdem przywołał Lurę. Obwachała pestkę, po czym znieruchomiała w oczekiwaniu na polecenia. Nie okazywała przy tym złości czy strachu, jak w przypadku wcześniej napotkanego tropu. Ostatecznie mógł tu

przecież dotrzeć jakiś włóczący się samotnie Koczownik. Jeśli w istocie tak było, to tym bardziej należało się śpieszyć. Musi dotrzeć do Eyrie i powrócić z posiłkami, zanim inne plemię nie zgłosi swoich roszczeń do znajdujących się tu bogactw. Już kilka razy mieszkańców gór spotykało takie rozczarowanie, teraz historia nie powinna się powtórzyć.

Nie miał czasu do stracenia Ukryje w muzeum niemal cały łup, aby odciążyć wierzchowca. Dzięki temu będzie się poruszać szybciej. Wyszedł ze sklepu ze ściągniętymi brwiami i w milczeniu szarpnął cugle.

Weszli w las, cały czas kierując się w stronę muzeum. Gdy zbliżyli się do jeziora, klacz zaczęła parskać i Fors ponownie musiał użyć siły, by doprowadzić ją w górę schodów, a potem do wybranej kryjówki. Pakunki złożył w pokoju, który teraz traktował jak własny, rozkułbaczył konia i wypuścił go na łąkę. Lura stanęła na straży, tak, że spokojnie mógł zabrać się za porządki.

Rozłożył zdobyte w ciągu dnia przedmioty na podłodze i wówczas okazało się, że ma przed sobą trudne zadanie. Nie wiedział na co się zdecydować. Jeśli weźmie to, wówczas nie będzie mógł zabrać tamtego, a nie wiadomo, czy właśnie ta rzecz nie zrobiłaby wstrząsającego wrażenia na ekspertach w Eyrie. Kilkakrotnie układał posegregowane stosy tylko po to, aby za chwilę całkowicie zmienić ich układ. W końcu jednak sporządził paczkę, co do której miał nadzieję, że najlepiej oddaje różnorodność i bogactwo odkrycia, a równocześnie dobrze świadczy o jego umiejętności trafnego wyboru. Reszta poczeka bezpiecznie w zakamarkach krętych korytarzy.

Westchnął i zabrał się do porządkowania pozostawionych przedmiotów. Było tego dużo. Aby wszystko zabrać, musiałby chyba wzorem Koczowników, przewożących dobytek, przygotować karawanę z kilku wierzchowców. Z worka wytoczył się bębenek, podniósł więc go i przeciągnął lekko palcami po napiętej skórze, chcąc ponownie usłyszeć dziwny, pulsujący dźwięk. Uderzył silniej paznokciem, budząc niosący się echem po całym budynku drżący ton. To właśnie ten bęben musiał słyszeć owej nocy po walce z dzikiem. Uderzył ponownie, a po chwili spróbował wystukać rytm jednej z pieśni myśliwskich Eyrie. Głośna melodia robiła znacznie większe wrażenie, niż słodka muzyka fletów i trzy- lub czterostrunnych harf, jakimi posługiwał się lud w górach. Gdy przeraźliwe dudnienie zamarło w oddali, do pokoju wbiegła Lura. Oczy jej jarzyły się tajemniczo, a w każdym ruchu przebiegał nagły pośpiech. Musi z nią iść natychmiast! Fors odłożył bęben i sięgnął po łuk. Lura stała przy drzwiach z drżącym niecierpliwie koniuszkiem ogona.

Pokonała schody dwoma susami. Chłopak podążył za nią, zupełnie zapominając o oszczędzaniu zranionej nogi. Biegając zobaczył stojącą spokojnie na płyciźnie klacz. Śmigając wśród drzew i zarośli kot kierował się w głąb lasu. Fors wyraźnie zostawał w tyle, gdyż pokonywanie zielonych przeszkód zajmowało mu więcej czasu.

Zanim stracił z oczu jezioro, uszu jego dobiegł słaby, jękliwy krzyk, niemal westchnienie, pełne bólu i cierpienia. Krzyk przeszedł w ochrypłe krakanie, układające się w wyrazy niezrozumiałej mowy. Nie ulegało wątpliwości, że wypowiedały je ludzkie usta, bo przecież Lura nie poprowadziłaby go na spotkanie Bestii.

Bełkot dziwnych wyrazów został przerwany kolejnym jękiem. Miał wrażenie, że dźwięk dobywa się spod ziemi. Jak oparzony odskoczył od skraju rozległej plamy zeschniętej krwi i liści. Lura przypadła do ziemi i zaczęła czołgać się powoli, badając ostrożnie łapą podłoże przed każdym następnym krokiem.

W pierwszym momencie Fors pomyślał, że ma przed sobą jeszcze jedną szczelinę, jakich pełno w mieście, w każdym razie była tu jakaś dziura. W pobliżu przeciwległego brzegu czerniała spora wyrwa. Ruszył w jej kierunku, stawiając stopy na leżących na zewnątrz zdradzieckiej łysiny korzeniach drzew i przytrzymując się każdej dającej pewne oparcie gałęzi. Gdy był już blisko otworu, poczuł obrzydliwy smród. Pamiętając o zranionej nodze, przyklęknął ostrożnie i zerknął w mroczną czelusć. To, co zobaczył, sprawiło, że żołądek podszedł mu do gardła, a w oczach pojawiły się ciemne plamy. Jama, którą miał przed

soba, była straszliwą pułapką, dobrze pomyślaną, mistrzowsko wykonaną, zamaskowaną śmiertelną pułapką. Były już schwytane ofiary. Mały jelonek nie żył już od wielu dni, natomiast gdy tylko wzrok chłopaka przystosował się do wypełniających dół ciemności, przekonał się, że ciało drugiej ofiary porusza się słabo, a z przebitego ramienia nadal sączy się krew.

W piasek dna pułapki ktoś powbił zaostrome pale. Ostre końce mierzyły w niebo niosąc każdemu, kto by na to wpadł, pełną męczarni śmierć. Człowiek, który teraz leżał w dole, minął się z nią o kilka cali. Próbował uwolnić się o własnych siłach, o czym świadczyła rozdarta rana, lecz najwyraźniej było to zadanie przekraczające jego możliwości. Fors zmierzył wzrokiem odległość pomiędzy palami, a następnie wybrał rosnące w pobliżu duże drzewo. Wiedział, że nie będzie łatwo. Szybko wydobyl resztę owiniętej wokół siebie liny i zawiązał na jej końcu pętlę. Cały czas towarzyszyło mu spojrzenie szklistych oczu uwięzionego. Nie wiedział, czy do człowieka dociera cokolwiek z otoczenia, czy pojmuje plan akcji ratowniczej. Nie było sposobu, aby się o tym przekonać. Przywiązał koniec linki do strzały i posłał ją w stronę gałęzi, sięgającej niemal środka pułapki.

Błyskawicznie omotał wolny koniec wokół pnia, sam natomiast chwycił za drugi i rozpoczął mozolną wędrówkę w dół, używając łokci jako hamulca w chwili, gdy mijał splamione ciemną posoką pale. Wkrótce był już przy rannym i opędzał się przed chmarą natarczywych czarnych much. Dostrzegł opinający ciało nieszczęśnika pas i przekonawszy się, że jest wystarczająco mocny, przywiązał doń linkę.

Wyjście z dołu okazało się jeszcze trudniejsze, gdyż jego zbocza zostały specjalnie wyprofilowane, tak, aby uniemożliwić podobną operację. Po dłuższych poszukiwaniach udało mu się jednak natrafić na niewielkie osypisko. Oparł na nim stopę i to wystarczyło. Po chwili intensywnej wspinaczki osiągnął skraj wykopu. Było oczywiście, że ktokolwiek go sporządził, dawno nie odwiedzał tego miejsca. Fors pozostawił na straży Lurę, a sam przysiadł pod drzewem, aby się zastanowić i uspokoić rozkołataną serce.

Wzdrygnął się na myśl o tym, co musi zrobić, ale przecież nie miał wyboru. Istniała tylko ta jedna szansa ocalenia cierpiącego człowieka. Nie namyślając się dłużej, odwiązał linkę i owinał jej koniec wokół nadgarstków. Nadeszła Lura, schwyciła w zęby huśtający się koniec sznura, a na dany przez Forsa znak szarpnęła ze wszystkich sił. Nagły ruch wyrwał z ust uwięzionego przeraźliwy okrzyk, jednak chłopak zdawał się nie słyszeć i ani na moment nie zwalniając napięcia postronka, krok po kroku odsuwał się wraz z kotem od pułapki.

W czarnej dziurze poszycia pojawiła się zwieszona głowa, a zaraz potem zakrwawione ramię obcego. Gdy w górze znalazło się całe ciało, Fors ponownie przywiązał linkę i podszedł jak tylko mógł najbliższej skraju wyrwał, aby odciągnąć zwiótczałe ciało z nad piekielnej czeluści pułapki. Zanim oswobodził nieprzytomnego nieszczęśnika, czoło zrosił mu pot, a ręce pokryły się lepka, gęsta krwią. Uwolniony był potężnym mężczyzną, ważącym o dobre czterdzieści funtów więcej niż Fors i nie było mowy, aby chłopak ze swoją chorą nogą zdołał go nieść. Przyjrząwszy mu się dokładniej w blasku słońca, rozpoznał ze zdumieniem ciemnoskórego łowcę z wyspy. Tym razem jednak ogromne ciało było sflaczałe, a ciemnobrazowa twarz nabrała zielonkawego odcienia. Zbadał powierzchownie ranę i odetchnął z ulgą. Przekonawszy się, że krwawienie ustało - najlepszy znak, że żadna z tętnic nie została uszkodzona. Musi przenieść chorego do muzeum, gdzie w ciszy i spokoju opatrzy ranę.

Z zarośli dobiegł trzask łamanych gałęzi Fors poderwał się z łukiem w dłoni, w napięciu wpatrując się w ścianę zieleni. Uspokoił się na widok popędzającej przed sobą klacz Lury. Zapach krwi trwożył wierzchowca, który głośno parszając, wyraźnie usiłował wymknąć się do tyłu. Kot, jakby rozumiejąc, że nie mają czasu na narowy, zbliżył się do kłoczy z cichym warczeniem. Na krótką chwilę zwierzęta zamarły w bezruchu, po czym koń zaczął drzeć, a jego boki pokryły się plamami potu. Stał jednak w miejscu, tak że chłopakowi udało się jakoś umieścić rannego na grzbiecie. Niezwłocznie ruszyli z powrotem,

posuwając się powolnym, ostrożnym krokiem, aby jak najmniej urazić rozdarte ramię.

Fors odprężył się na dobre dopiero wtedy, gdy ponownie znaleźli się w chłodnym wnętrzu muzeum. Układając ciało na kocu pochylił się nad łowcą i napotkał przytomne spojrzenie szeroko otwartych, ciemnobrazowych oczu. Uśmiechnął się przyjaźnie i zagadał uspokajająco, bardziej licząc na intonację głosu, niż zrozumienie mowy Eyrie przez Czarnoskórego. Rozpalił ogień, co chwila zerkając w stronę leżącego. Łowca był młody. Choć wysoki wzrost i szerokie, mocno umięśnione barki mogły sugerować co innego, w rzeczywistości człowiek ten był rówieśnikiem Forsa, starszym co najwyżej o parę lat. Leżał spokojnie, cierpliwie obserwując sporządzanie lekarstwa.

Nadszedł czas, aby zbadać ranę.

Pal przeszył skórę ramienia, wyrwijąc dużą dziurę, omijając na szczęście tętnice i nie naruszając kości. Jeśli tylko nie przyplacze się jakieś zakażenie, obcy powinien przeżyć.

Niewprawne obmacywanie rozdartego ciała musiało wywołać straszliwy ból. Ranny znosił to jednak spokojnie, bez najmniejszego słowa skargi i dopiero, gdy oględziny dobiegły końca, na jego dolnej wardze pojawiły się jasnoczerwone kropelki krwi. Zdrową ręką kilkakrotnie wskazał na wiszący u pasa woreczek. Fors rozwiązał go, a wówczas Ciemnoskóry drżącymi palcami wydobyl zeń małe zawiniątko i wskazując naczynie gotującej się wody, położył mu je na dłoni. Chłopak zajrzał do środka - w szmatce zawinięta była niewielka ilość gruboziarnistego, brązowego proszku. Wsypał część ziaren do wrzátku i zamieszał, co widząc ranny skinał głową i uśmiechnął się słabo, odsłaniając w grymasie białe zęby, po czym uderzając się palcem wskazującym w pierś powiedział:

- Arskane.

- Fors - i wskazując na kota dodał - Lura.

Arskane ponownie skinał głową i powiedział coś głębokim, niemal dudniącym głosem. Fors zmarszczył czoło. Niektóre z tych słów przypominały mowę jego ludu, były tylko inaczej akcentowane i wymawiane jakby z opuszczeniem niektórych sylab. Spróbował z kolei sam.

- Jestem Fors z Klanu Pomy. Pochodzę z Dymiących Gór - usiłował gestami wyjaśnić znaczenie swoich słów.

Arskane westchnął. Twarz miał ściągnięta zmęczeniem. Walczył jeszcze przez chwilę z opadającymi powiekami, po czym dał za wygraną.

Najwyraźniej nie był już zdolny do rozmowy. Z brodą wspartą na dłoni chłopak zapatrzył się w ogień. Wszystko się strasznie skomplikowało. Nie może przecież odjechać, pozostawiając bezsilnego Arskane'a na pastwę losu. Z drugiej strony ranny może wracać do zdrowia przez wiele dni. Trzeba będzie to sobie dokładnie przemyśleć.

Znad ognia uniósł się dziwny zapach. Aromat był przyjemny, choć z taką wonią Fors się jeszcze nie zetknął. Woda nabrała brązowej barwy, a gdy wywar ściemniał jeszcze bardziej, zdjął naczynie z ognia. Opary wrzającego płynu musiały dotrzeć do Arskane'a, który poruszył się i skierował głowę w stronę garnuszka. Na widok dymiącej zawartości uśmiechnął się i pokazał gestami, że wypije gdy tylko ciecz trochę ostygnie.

Było to zatem lekarstwo jego plemienia. Mieszał zawzięcie, a gdy zniknęły kłęby pary, ostrożnie zanurzył w nim koniec palca, po czym, wsparłszy głowę chorego na swym ramieniu, zbliżył naczynie do krwawiących warg. Arskane || wypił łapczywie ponad połowę zawartości, zanim odchylił głowę i westchnieniem zakomunikował, że ma dosyć. Gestem ręki zaprosił Forsa, aby spróbował, lecz jeden niewielki łyk gorzkiego płynu skutecznie zaspokoił ciekawość chłopca. Resztę popołudnia spędził na gorączkowej pracy. Wyruszył z Lurą na łowy, kierując się w stronę jeziora. W nadbrzeżnych zaroślach udało mu się zaskoczyć jelenia, a później ustrzelił z łuku kilka podrywających się z wysokich traw przepiórek. Wybrał najlepsze kawałki mięsa i razem z ptactwem przeniósł je do obozu. Później kursował między obozem a lasem, znosząc niezliczone naręcza drewna na opał, na koniec zaś nazrywał jagód w pobliskiej gęstwienie krzaków. Gdy o zmierzchu położył się przy ognisku i rozprostował chorą nogę,

poczuł zmęczenie tak silne, że zrywał się na myśl o jakimkolwiek ruchu. Równocześnie był z siebie zadowolony, gdyż teraz mieli opału i żywności na kilka dni. Po chwili, przypomniawszy sobie o czymś, podniósł się od ognia i chwyciwszy klacz za uzdę, wprowadził zwierzę w głąb jednego z korytarzy muzeum. Wolał pozostawić ją na noc w zamknięciu, spokojny, że nic złego jej nie spotka.

Arskane ocknął się ponownie z chorobliwej, gorączkowej drzemki i teraz przyglądał się Forsowi przygotowującemu ptaki do pieczenia. Wkrótce rozszedł się smakowity zapach, a gdy mięso było gotowe, chłopak podał rannemu kilka wbitych na rożen ptaków. Ciemnoskóry zjadł niewiele, resztę pozostawiając nietkniętą. Forsa zaczęła gnębić myśl, że pale pułapki mogły być zatrute. Nie miał nic, czym mógłby truciznę zwalczyć. Podgrzał trochę lekarstwo i zmusił Arskane do wypicia. Jeśli lek był skuteczny, olbrzym potrzebował całej jego mocy.

Z nastaniem ciemności pacjent Forsa zasnął ponownie, a on sam, skulony przysunął się w pobliże ognia. Drżał z chłodu pomimo ciepłego wieczoru. Jego myśli nieustannie krążyły wokół odkrytej w dzień pułapki. Wszystko wskazywało na to, że nie odwiedzano jej w ostatnim czasie. Przecież martwy jelonek leżał tam od wielu dni, a wśród zalegających dno gałęzi bieleły kości jeszcze jednego, starannie oczyszczonego przez ptaki i owady szkieletu. To prawda, lecz z drugiej strony ktoś, lub coś, poświęciło mnóstwo czasu i pracy na jej sporządzenie. Zaś sam pomysł świadczył o przebiegłości i okrucieństwie nieznanego konstruktora. Nigdy nie słyszał, aby Koczownicy posługiwali się tak podstępny sposób łowienia. Ludzie w Eyrie również go nie znali. Co do Arskane'a, to gdyby go znał, nie znalazłby się w dole. A zatem ktoś jeszcze przebywał w mieście. Ktoś, kto nie pochodził ani z Równin, ani z gór, ani nawet ze szczepu Arskane'a. Tylko jeden rodzaj istot bezkarnie zamieszkiwał miasta - Bestie.

Poczuł, jak zasycha mu w ustach, a dłonie wilgotnieją. Wsparł je na kolanach, aby ukryć drżenie rąk. Langdon zmarł od ich strzał i noży, również wielu innych Gwiazdzistych nie wróciło ze spotkania z nimi. Ramię J aria przecinała potężna czerwona blizna - ślad po utarczce z jednym z ich zwiadowców. Bestie były przerażające. Było w nich coś, co napawało wstrętem i niepokojem - były nieludzkie. Fors był mutantem, to fakt, ale cały czas pozostawał człowiekiem, podczas gdy w tamtych istotach nie pozostało cienia ludzkości. Nagle pojął, że to z powodu Bestii ludzie boją się mutantów. Zrozumiał, że nienawiść taka ma swój głęboko uzasadniony sens.

Fors jeszcze nigdy nie widział Bestii. Jeśli wierzyć legendom, to były one plagą nocy - wstrętnymi stworami, czyhajacymi na ludzkie życie. Wprawdzie byli Gwiazdziści, którym udało się je ujrzeć i przeżyć, lecz oni nie opowiadali o tym, co widzieli. A jeśli pułapka, do której wpadł Arskane, rzeczywiście została sporządzona przez Bestie? Wówczas znaczyłoby to, że stworzenia te były gdzieś w pobliżu. Możliwe, że czaiły się wśród dających tysiącnie możliwości ukrycia ruin. Wszystko czym dysponował, to instynkt i umiejętności Lury oraz jego własna energia i zręczność. Spojrzał w mrok i zadrżał. Uszy i oczy, łuk i miecz, kły i pazury - jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że to ciagle za mało.

Rozdział 7 Ciuciubabka ze śmiercią

Przez cztery dni Arskane leżał w chłodnym korytarzu muzeum. W tym czasie Fors polował, lub wypuszczał się z Lurą na wyprawy badawcze, nigdy nie oddalając się zbyt daleko od białego budynku. Wieczorami zaś, siedząc przy płonącym ognisku, chłopcy poznawali sekrety swojej mowy i opowiadali o przeszłości.

- Nasi Przodkowie potrafili latać - głęboki głos Arskane'a przetoczył się przez salę. - Po ostatniej Bitwie wrócili z nieba na ojczystą

ziemię i zastali ją obróconą w perzynę. Wsiedli wówczas ponownie do swych maszyn, skierowali je na południe i odlecieli, a gdy nie mogli już dłużej unosić się w przestworzach, wylądowali w wąskiej, pustynnej dolinie. Po jakimś czasie wzięli sobie za żony kobiety zamieszkujące tę krainę i w ten sposób zapoczątkowali nasze plemię. Życie na skraju pustyni jest bardzo ciężkie, nasi ludzie nauczyli się jednak gospodarować na nieużytkach, tak że w końcu mieliśmy dużo dobrej ziemi. Dwakroć po dwanaście księżyców minęło od momentu, gdy ziemia zdrząła tak mocno, że żaden człowiek nie mógł utrzymać się na nogach. Wtedy wszystko się odmieniło. Z gór nadleciał ogień i złe wyziewy. Długobrody Talu i Trójpalczy Mack zmarli, kaszląc straszliwie w trującej mgłę, która spłynęła na wioskę. O świcie zaś, gdy tylko rozpały się światła brzasku, świat zdrzął jeszcze raz, a wówczas góry rozwarły swe wnętrzości i rzygnęły płonąca skałą, która spływając w dół, pochłoneła najlepsze, z takim trudem zdobyte pola i pastwiska. Zebraliśmy wtedy, ile tylko zdołaliśmy naszego dobytku i uciekliśmy, cały czas trzymając się razem, pędząc nasze owce i unosząc ze sobą tylko tyle, ile mogło się zmieścić na wozach oraz naszych plecach.

Ruszyliśmy na północ, lecz szybko przekonaliśmy się, że ziemia pękła również w innych miejscach, tworząc na wschodzie ogromną wyrwę, do której zaczęło wlewać się morze. Musieliśmy więc szukać schronienia przed wzbierającymi wodami, tak jak wcześniej chcieliśmy uniknąć ognia. W rozpacz wydawało nam się, że nigdzie nie znajdziemy już miejsca, o którym będziemy mogli powiedzieć, że jest naprawdę naszym domem. Było tak do chwili, gdy dotarliśmy w te strony, gdzie żyło niegdyś tak wielu Przodków. Wówczas we wszystkie strony rozesłano wojowników - jestem jednym z nich - których zadaniem było znaleźć i oznaczyć nadające się do uprawy grunty oraz miejsce, gdzie moglibyśmy odbudować naszą Dolinę Ptaków. To piękny kraj - ręka Arskane'a powędrowała na południe - wiele widziałem i powinienem być czym prędzej wracać do swoich z radosną nowiną, lecz coś gnało mnie wciąż dalej, w poszukiwaniu nowych cudów. Widziałem z ukrycia przemarsz Koczowników. Są całkiem inni niż nasi ludzie. Kochają wędrówki i czują się dobrze tylko w skórzanych namiotach, które mogą rozstawić, gdziekolwiek się im spodoba i składać, gdy okolica zacznie ich nudzić. Twego ludu nie znałem zupełnie. Unikamy wysoko położonych miejsc od czasu, gdy nasze góry zesłały na nas śmierć i zniszczenie. Te wymarłe miasta są bardzo przydatne. Jak dobrze wiesz, można w nich znaleźć skarby. Można też spotkać rzeczy mniej przyjemne - dotknął spowijającego ramię bandaża. - Nie sędzę, aby miasta się spodobały naszym ludziom. Jednak gdy tylko będę w stanie iść, muszę wrócić do swoich i złożyć im meldunek. Być może sprawi on, iż osiedlimy się w jednej z dolin, gdzie ziemia jest czarna i żyzna. Wtedy zaoramy pola i obsiejemy je. a na zbocza wzgórz wybiegną nasze owce. Dolina Ptaków znów zapanuje korzenie w tym pięknym, bogatym kraju - westchnął.

- Nazwał się wojownikiem - powoli powiedział Fors. - Z kim walczysz? Czy w twoich stronach są również Bestie? Arskane uśmiechnął się ponuro.

- W dniach Wielkiego Wybuchu Przodkowie stracili władzę nad pewną magiczną siłą. Nasi mędrcy nie znają jej tajemnicy, opierają się tylko na opowieściach przekazywanych z ojca na syna. Siła ta działała w niezwykle przerażający sposób. W pustyni pojawiły się wrogie człowiekowi stworzenia. W większości były to pokryte grubą łuską stwory, których sam widok wystarczał, aby się śmiertelnie przerazić. Czary sprawiły, że stały się przebiegłe i tak szybkie, że zagroziły całemu plemieniu. Chcąc przetrwać, wypowiedzieliśmy im wojnę. Okrutną, bezlitosną wojnę na śmierć i życie. Uzyskaliśmy w końcu przewagę i znacznie je przetrzebiliśmy. Możliwe, że roztopiona skała pochłoneła resztę niedobitków. W każdym razie nie widzieliśmy ich od chwili, gdy opuściliśmy nasze siedziby.

- Promieniowanie - Fors bawił się rękojęcią swego krótkiego miecza. - Wywołane promieniowaniem mutacje, czasami, choć bardzo rzadko, bywają jednak korzystne. Lura i jej gatunek powstały dzięki takim właśnie czarom.

Ciemnoskóry przybysz z południa spojrział w kierunku rozciągniętego

opodal kota.

- To były dobre czary. Szkoda, że nasi ludzie nie mają takich pomocników. Byliby wtedy znacznie bezpieczniejsi w czasie wędrówek. Nieraz przecież musieliśmy stawiać czoła zarówno zwierzętom, jak i ludziom. Równiny nie przyjęły nas zbyt gościnnie. Ciągłe musimy się mieć na baczności. Pewnej nocy obozowałem w wymarłej wsi i zostałem napadnięty przez hordę koszmarnych stworzeń. Gdyby nie udało mi się wymknąć przed nimi na pobliską stertę gruzu, rozszarpałyby mnie na strzępy.

- Wiem - Fors wydobyl z torby bębenek i podał go Arskane'owi. Ten wyraźnie się ucieszył.

- Teraz mogę rozmawiać z Wodzem Zwiadowców. - Zaczął wystukiwać skomplikowany rytm, lecz niemal w tym samym momencie poczuł zaciskającą się na nadgarstkach dłoń Forsa.

- Nie.

Palce Arskane'a oderwały się od napiętej skóry.

- Oprócz swoich ludzi możesz przywołać jeszcze kogoś. Nie wiemy przecież, kto wykopał tę pułapkę.

Wykrzywiona gniewem ciemna twarz wygładzała się, w miarę jak chłopak kontynuował swój wywód.

- Jestem przekonany, że jest to dzieło Bestii i jeśli kryją się gdzieś na terenie miasta, twój bęben może sprowadzić je tutaj.

- Pułapka jest stara.

- To prawda. Jednak do tej pory nie stwierdzono, aby Bestie żyły w większych grupach. Pojedyncze sztuki mogą z powodzeniem się ukryć w najbliższej okolicy. Znajdujemy się w wielkim mieście i nawet wszystkich ludzi z Eyrie nie starczyłoby na dokładne przetrzaśnięcie ruin.

- Przekonałeś mnie - Arskane odłożył bęben. - Będę próbował porozumieć się z plemieniem dopiero wówczas, gdy opuścimy te zapełnione cieniami ruiny. Już jutro będę mógł ruszyć w drogę. Najlepiej, jeśli wyjedziemy z miasta o świcie. Te stare miejsca przepojone są złem. Na otwartej przestrzeni czuję się o wiele lepiej. Ze zdobytych w mieście skarbów Fors sporządził niewielki pakunek. Resztę przedmiotów ukrył w jednym z pomieszczeń po drugiej stronie korytarza. Ponieważ nogę miał już zupełnie sprawną, będzie mógł iść w miarę szybko, podczas gdy Arskane przez dzień lub dwa podróżować będzie na końskim grzbiecie. Ostatni raz popatrzył na okazały pagórek bezcennych przedmiotów, po czym we wgłębieniu pod wyrwaną deską podłogi rozesłał kawał tkaniny i pieczołowicie ułożył na niej łup. Związał koniec szmaty, przysypał wszystko gruzem i na koniec zakrył deską. Trochę mu było żal, pomyślał jednak o spoczywających w głębi worka figurkach, kredkach, mapie oraz dzienniku podróży - zrobiło mu się raźniej.

Całe popołudnie Arskane wędrował korytarzami, chcąc rozruszać nogi. Równocześnie z zaciekawieniem oglądał muzealne zbiory, z których wybrał sobie szeroką, kutą w złocie bransoletę i znalezioną w sali ze sprzętem wojennym potężną maczugę. Co prawda, Fors wydobyl z dołu oszczepy i łuk Ciemnoskórego, jednak drzewca okazały się połamane, a łuk był bezużyteczny do chwili całkowitego wygojenia rany.

Następnego dnia o świcie, nim jeszcze słońce zdążyło rozgrzać parne powietrze, zjedli ostatni posiłek, po czym zdeptali ogień i opuścili swe dotychczasowe schronienie. Arskane nie chciał słyszeć o jeździe wierzchem, tak że Fors prawie siłą musiał umieścić go w siodle.

Poruszali się zaznaczonym na mapie szlakiem, pokonując w odwrotnej kolejności drogę, która przywiodła ich do miasta. Podróżowali bez przystanków, szybkim krokiem przemierzając zaśmiecone ulice. Przed sobą mieli skupisko wysokich budynków, tych samych, które widział Fors w pierwszym dniu pobytu. Chłopak wiedział, że jeśli będą mieli szczęście i nic się nie wydarzy, to przed nocą wydostaną się z kręgu ruin.

Arskane osłaniając oczy od słonecznego blasku, podziwiał mijane wieżowce.

- Przypomina to wykonane ludzką ręką góry. Nie rozumiem, dlaczego Przodkowie tak bardzo lubili żyć w ścisłości? Czy obawiali się własnej magii i trzymali się razem, aby w przypadku utraty władzy nad nią nie

pozwolić się zniszczyć? Cóż, w każdym razie wymarli i tak. Biedni Przodkowie. Nasze życie jest lepsze.

- Czyżby? - Fors kopnął najbliższy kamień. - Pomyśl, jaką mieli wiedzę; przecież do dzisiaj grzebiemy się po omacku, odnajdując czasem jakiś okruch tego, co dla nich było najoczywistsze pod słońcem.

- Nie potrafili jednak wykorzystać swoich umiejętności dla własnego dobra - Arskane wskazał ruiny. - To miasto wyłoniło się z ich mózgów, by później, również za ich sprawą, obrócić się w perzynę. Budowali tylko po to, by burzyć. Myślę, że dobrze jest tworzyć, a nie niszczyć.

Ledwie przebrzmiało echo tych słów, gdy Fors szybko odwrócił głowę. Wydało mu się, że słyszy słabe postukiwanie. Spojrzał wyżej, coś śmignęło w rozbitej ramie okna. Czy mu się przywidziało, czy też naprawdę widział wstrętnego, przykrytego liniejącym futrem szczura? Spomiędzy kamieni dobiegały chroboczące dźwięki, jakby coś podążało ich śladem.

Oczy Lury zamieniły się w wąskie szparki. Z uszami płasko przylegającymi do czaszki stała, nieruchomo wsparta przednimi łapami o rozbitą kolumnę. Koniuszek ogona drgał nerwowo, gdy intensywnie wpatrywała się w stronę dopiero co przebytej drogi.

Arskane dostrzegł ich niepokój.

- Co się...

W pierwszym momencie Fors pomyślał, że krzyk, który przerwał pytanie, został wydany przez jakiegoś ptaka. Natychmiast jednak dostrzegł, że klacz podrywa głowę i rzy przejmująco jeszcze raz. Arskane zorientował się w sytuacji i jak zdmuchnięty zeskoczył na ziemię, w samą porę, by razem z koniem uniknąć upadku na rozrzucone wokół ostre kamienie. Zwierzę znieruchomiało i wtedy obaj dostrzegli, że w krwawiącej na szyi ranie tkwi, unosząca się w rytm słabnącego oddechu, długa czarna strzała.

- Do środka! - Arskane chwycił go za rękaw i mocnym szarpnięciem wciągnął w głąb czerniejącej w ścianie wieżowca wyrwy. Biegając, usłyszeli mrozący krew w żyłach wojenny okrzyk Lury, jednak już po chwili kot razem z nimi kierował się do środka budynku.

Przystanęli w szczycie prowadzącej do mrocznego podziemia rampy. Patrząc w dół, Fors zauważył kilka leżących najbliżej parteru poziomów. Tymczasem uwagę Arskane'a przykuło zupełnie coś innego. Bez słowa wskazał na podłogę. Pasma zaschniętego, pokrytego kurzem błota, tworzyło ścieżkę, na której pełno było głęboko odcisniętych, wąskich śladów zbrojnych w pazury stóp. Na ich widok Lura pisnęła przeraźliwie i cofnęła się w przeciwległy koniec sali. Stało się jasne, że zamiast uniknąć zagrożenia, trafili prosto do gniazda wroga. Jakby na potwierdzenie tej prawdy, z zewnątrz dobiegł nieludzki okrzyk triumfu.

Ścieżka prowadziła w dół. Przed nimi stała jeszcze jedna droga ucieczki - w górę. Jakby odczytując myśli Forsa, Lura i Arskane rzucili się w lewy biegnący na poziomie parapetu korytarz. Ciągnął się wzdłuż niego szereg masywnych ciężkich drzwi. Niezależnie od tego, jak mocno za nie ciągnęli, pozostały zamknięte. Dopiero na samym końcu natknęli się na uchylone skrzydło, a gdy rozwarli je szerzej, oczom ich ukazał się pogrążony w całkowitych ciemnościach szyb. Zbliżając się do krawędzi otworu, Fors dostrzegł coś na tyle interesującego, że postanowił to sprawdzić.

- Złap za mój pas - polecił Arskane'owi. - Jest tutaj coś po lewej. Czując mocny uchwyt ciemnoskórego, ośmielił się wychylić daleko w mrok szybu. Miał rację. Ze ściany wystawała metalowa drabinka o wąskich stopniach, a gdy spojrział w górę, dojrzał niewyraźnie majaczący prostokąt słabego światła. Mieli więc szansę. Czy jednak Lura i Arskane poradzą sobie ze wspinaczką?

Słuchając Forsa, olbrzym kilkakrotnie ugiął i rozprostował ramiona, jakby sprawdzając ich siłę.

- Jak wysoko jest ten otwór? - zapytał.

- Chyba dwa piętra nad nami.

Zapanowało pełne wahania milczenie. Wykorzystując je, Lura zbliżyła się do skraju szybu i zmierzwiwszy wzrokiem odległość do drabiny,

skoczyła, zanim ktokolwiek zdołał ją powstrzymać. Usłyszeli, jak pazury zadzwoniły na metalowych stopniach. W chwilę później dźwięk ten został pochłonięty przez odgłos znacznie potężniejszy. Z dołu dotarli szurający tupot szybko poruszających się stóp. To mieszkańcy mrocznych czeluści wyruszyli na łowy. Arskane jeszcze raz sprawdził mocujące maczugę do pasa rzemień, po czym uśmiechnął się niepewnie. - Powiniennem sobie poradzić. To w końcu tylko dwa piętra, a poza tym, przyjacielu, i tak musimy spróbować.

Podobnie jak kot, zmierzył dystans i zniknął w czarnym otworze. Fors z niespokojnie bijącym sercem zamarł w oczekiwaniu. Nie chciał patrzeć na mozolne wchodzenie Ciemnoskórego. Na szczęście to, czego podświadomie obawiał się najbardziej - zakończony głuchym odgłosem upadek bezwładnego ciała - nie nastąpiło. Uspokojony, wydobył z kołczanu strzałę i oparł ją o cięciwę łuku.

Nie czekał długo. Na odległym zakręcie ukazała się szarawa, rozmyta w półmroku plama. Taki cel mu wystarczył. Warknęła cięciwa, wypuszczając okutą żelazem bojową strzałę, która przyszpiliła intruza do ściany. Rozległ się przeraźliwy pisk usiłującej uwolnić się istoty. Zanim to jednak nastąpiło, chłopak przerzucił łuk przez ramię i śladem poprzedników skoczył ku zbawczej drabinie. Od dłuższej chwili dręczyła go obawa, że pod ciężarem Lury i Arskane stopnie pogięły się i powypadały, odcinając mu drogę ucieczki. Tymczasem drabina okazała się w jak najlepszym porządku, a jego stopy zawsze napotykały pewne oparcie. Mimo to wrywał do góry jak szalony, a uszy wypełniał mu bez reszty głośny poświst ciężkiego oddechu. Wreszcie przerzucił ciało przez krawędź górnego otworu, gdzie napotkał oczekujących z niepokojem Arskane'a i Lurę.

Ponownie znajdowali się w korytarzu, opatrzonym rzędem drzwi. Tym razem jednak niektóre z nich były otwarte. Arskane zniknął za najbliższymi, podczas gdy Fors pozostał na podłodze, z głową w głębi szybu, nasłuchując odgłosów z niższych pięter. Jęki zranionej przezeń istoty ucichły, natomiast nasilił się szurgot wielu nóg, rozległy się również pomruki, które mogły być czymś w rodzaju mowy. Jak na razie, prześladowcy nie odkryli, w jaki sposób ich ofiarom udało się umknąć. Fors poderwał się na nogi i napał na zamykające szyb drzwi. Z osadzonego w ścianie gniazda wystawały one teraz zaledwie na kilka cali. Pod wpływem nacisku przesunęły się nieznacznie z cichym zgrzytem. Chłopak zebrał wszystkie siły i zyskał jeszcze stopę. Towarzyszący temu łoskot musiał ich zdradzić. Z dołu nadleciał okrzyk, a zaraz po nim szybem pomknęło kilka strzał, które nie robiąc nikomu krzywdy, odbiły się od ścian i spadły z powrotem pod nogi właścicieli. W tym momencie pojawił się Arskane, ciągnąc za sobą pokąsaną stertę zniszczonych mebli.

Po chwili ciszy z otworu rozległy się dziwne odgłosy, nikt jednak nie dał nabrać się na ten podstęp i nie wychylił głowy poza skraj szybu. Fors nie przerwał walki z opornymi drzwiami. Arskane popatrzył krytycznie i przyłączył się ze swym zdrowym ramieniem. Ze wzmogoną siłą zaatakowali oporną płytę metalu. Obaj ociekali potem, który szczypał w oczy i licznymi kroplami ściekał z policzków.

Hałas w dole nasilił się. W powietrzu furknęły następne strzały, a jedna z nich, wystrzelona ze szczególną wprawą, prześlizgnęła się między nogami Forsa. Arskane puścił drzwi i powrócił do zgromadzonego drewna. Podciagnawszy je bliżej otworu, mocnym pchnięciem strącił cały stos w głąb studni. Odpowiedział im pełen bólu okrzyk, a zaraz potem odległy łoskot. Arskane z zadowoleniem przeciągnął brudną dłonią wzdłuż spoczonej szczęki.

- Na Rogatego Jaszczura, jeden z nich nie będzie się więcej pchał w górę. Drzwi przesłaniały już połowę otworu. Nagle rozległ się krótki trzask, a wraz z nim zanikł cały opór, tak że obaj prawie runęli, nieoczekiwanie pozbawieni oparcia. Fors krzyknął triumfalnie, radość ta była jednak przedwczesna, gdyż po przebyciu następnej stopy płyta zaklinowała się ponownie, pozostawiając dosyć miejsca, aby ktoś mógł się przez nią przecisnąć.

Arskane wyprostował się i przez długą chwilę badał drzwi, po czym ułożoną na płask dłonią ze wszystkich sił uderzył w wybrane miejsce. Przegroda ustąpiła ponownie, dzięki czemu zyskali dalszych kilka

cali. Równocześnie z dom dobiegły ożywione głosy prześladowców, którzy niezrażeni losem towarzysza najwyraźniej nie zamierzali zrezygnować ze swej zdobyczy.

Z ciemności wyłoniło się coś podłużnego i spadło na podłogę w pobliżu dłoni Forsa. Była to przerażająco chuda, pokryta szarą, pomarszczoną skórą ręka. Gdy zakrzywione pazury szorowały posadzkę w poszukiwaniu oparcia, przypominała raczej szczurzą łapę niż rękę człowieka. Od chwili opuszczenia Eyrie Fors cały czas chodził w nabijanych gwoździami butach przystosowanych do górskich tras. Teraz wznosił uzbrojoną stopę i szybko ją opuścił, celując w środek potwornej dłoni. Od strony niedomkniętych drzwi odpowiedział mu ścinający krew w żyłach ryk. Przerażeni, rzucili się z furją w ich kierunku. Pchali zawzięcie łamiąc paznokcie i na nierównościach metalowej płyty zdzierając skórę. Żelazna sztaba ustąpiła wreszcie i z suchym trzaskiem zamknęła przejście.

Przez długą chwilę stali wsparci o ścianę korytarza, dysząc ciężko i próbując opanować drżenie kolan oraz poobijanych, krwawiących dłoni. Zza drzwi dobiegał głośny łomot, nie musieli się nim już teraz przejmować.

- Nie otworzą ich - wysapał w końcu Arskane. - Nie sposób mocniej je popchnąć, stojąc na drabinie. Jeśli tylko nie znajdą innej drogi, przez jakiś czas będziemy bezpieczni.

Lura przebiegła wzdłuż korytarza, co chwila znikając za drzwiami kolejnych pokojów. Z jej zachowania widać było, że piętro jest bezpieczne. Mogli więc pozwolić sobie na odpoczynek, choć w głębi duszy czaiło się pytanie, czy przypadkiem nie posuwają się w głąb pułapki jeszcze okrutniejszej, niż ta do której wpadł Arskane. Idąc za przykładem Ciemnoskórego, Fors zbliżył się do wysokiego, od dawna pozbawionego szyb okna. Mieściło się ono w zewnętrznej ścianie budynku, skąd roztaczał się rozległy widok na pobliskie ulice. W dole czerniało dziwnie wykręcone ciało klaczy. Spoczywające na jej grzbiecie pakunki zostały zerwane i gdzieś ukryte, gdyż wokół nie dostrzegli najmniejszego ich śladu.

- Więc oni są mięsożerni.

Słyszając to Fors zaniemówił. Niewykluczone, że dla ścigających ich Bestii byli tylko i wyłącznie mięsem. Podobnie jak leżąca na dole klacz. Fors idniósł wzrok i z twarzy olbrzyma odczytał tę samą myśl. Równocześnie jednak jego ręka pewnie spoczywała na zabranej z muzeum maczudze, a cała Stać tchnęła siłą i spokojem.

- Zanim nas włożą do garnka, muszą najpierw nas złapać, a łowy te będą drogo kosztować. Czy to są Bestie, o których tyle opowiadałeś, kolego?

- Myślę, że tak. Z ich okrucieństwem i przebiegłością muszą chyba nas pokonać.

- Musimy zatem również użyć chytrych. Na razie, skoro nie możemy zejść na dół, przekonajmy się, co leży nad nami.

Fors popatrzył na krające wśród ruin gołębie. Musiało ich być dużo w mieście, gdyż podłoga wokół pokryta była warstwą ptasich odchodów.

- Szkoda, że nie mamy skrzydeł.

- To prawda, choć muszę ci powiedzieć, że pochodzę z rasy, która niegdyś latała - Arskane odpowiedział z ledwie wyczuwalną nutą humoru, barwiącego jego słowa.

- Musimy znaleźć stąd takie wyjście, aby ta hałastra z dołu nie mogła iść naszym śladem. Rozejrzyjmy się.

Skręcili w sąsiedni korytarz, zagładając do mijanych po drodze pomieszczeń. Wszędzie leżały butwiejące resztki mebli i ludzkie kości. W następnym hallu natknęli się na jeszcze kilka szybów, na szczęście szczelnie zamkniętych. Hali kończył się niewielkimi drzwiami. Arskane otworzył je i wówczas okazało się, że mają wiodące zarówno w dół, jak i w górę schody. Lura natychmiast wysforowała się do przodu, niknąc bezszelestnie w zalegającej niżej pomroce. Nie pozostało im nic innego, jak tylko czekać na powrót zwierzęcia. Przysiedli więc pod ścianą i zamarli w bezruchu.

Twarz Arskane nabrała szarego odcienia, widocznego nawet w zalegającym pomieszczeniu półmroku. Wspinaczka po drabinie i późniejsze zmagania z drzwiami odcisnęły na nim swe piętno.

Ciemnoskóry chrząknął i ostrożnie oparł zranione ramię o ścianę. Fors zaczął nasłuchiwać. Miał nadzieję, że teraz, gdy obaj umilkli, uda mu się usłyszeć Lurę. Po chwili zaczęły docierać do niego jakieś odgłosy. Skupił się jeszcze bardziej i rozpoznał tupot kocich łap, poruszających od czasu do czasu rozsypane na schodach śmieci. Wszystko wskazywało na to, że Bestie nie korzystały ze schodów. Mimo to, Lura nieoczekiwanie przystanęła. Chłopak zamknął oczy, próbując wyciszyć własne myśli i jak nigdy dotąd skoncentrował się na odbiorze wrażeń wielkiego kota. Nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo, tym niemniej była wyraźnie zmieszana. Drogę zagroziła jej bariera, której w żaden sposób nie potrafiła pokonać. Gdy tylko znad schodów wychyliła się jej głowa, Fors wiedział już z pewnością, że tę drogę ucieczki mają odcięta. Powiedział to Arskane'owi.

Olbrzym podniósł się z cichym westchnieniem.

- Idziemy więc dalej, tylko powoli, kolego. Te schody Przodków wyciskają z człowieka siódme poty.

Fors przerzucił sobie rękę Arskane'a przez ramię, przejmując w ten sposób część jego wagi.

- Pójdziemy wolno. Mamy przed sobą cały dzień.

- I noc, a może nawet kilka następnych dni. Lepiej już idźmy, kold Na piątym z kolei piętrze wyczerpany Arskane wyciągnął się na podłogę pociągając za sobą Forsa, który w głębi ducha ucieszył się z nieoczekiwanego odpoczynku. Choć w trakcie wchodzenia starał się oszczędzać siły i w nodze odezwał się ponownie pulsujący, tępy ból, a ze ściśniętych piekącą obręczą płuc. z trudem wydobywał się świszczący oddech.

Przez długą chwilę siedzieli w milczeniu, odpoczywając i próbując uspokoić rozkołataną serca. Po chwili Fors rozejrzał się wokół, ze zdumieniem spoglądając na ciemnozłote plamy wieczornego światła. Podniósł do najbliższego okna. Poza ostro zarysowaną, postrzępioną grania rozbitych budynków, rozciągały się wody jeziora skapane w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Nadchodziła noc.

Arskane, gdy to usłyszał, przeciągnął się i w zamyśleniu podrapał po głowie.

- Sądzę, że nadszedł czas - odezwał się po chwili - - aby zastanowić się nad tym, co będziemy jedli. Być może nie powinniśmy również tak często korzystać z twojej manierki...

Woda. W ciągu dnia Fors całkiem o niej zapomniał. Teraz gorączkowo zaczął zastanawiać się, jak w tym labiryncie znaleźć coś do jedzenia i picia. Tymczasem Arskane poderwał się na nogi i zmierzał w stronę drzwi, prowadzących ku pozostałym pomieszczeniom piętra. Ptaki! Fors przypomniał sobie widziane niżej ślady - ptaki rozwiążą problem żywności.

Weszli do długiego pomieszczenia, którego podłogę zaścielała jakaś tkanina. Wzdłuż ściany stały rzędy otoczonych krzesłami stołów. Na najbliższym dostrzegli, ułożone w dziwny wzór, lśniące kawałki metalu. Fors podniósł jeden z nich i ze wzruszeniem rozpoznał znany z książek niepowtarzalny kształt widelca. Znajdowali się zatem w sali jadalnej Przodków. Niestety, zapasy jedzenia dawno musiały ulec zniszczeniu.

Podzielił się tą uwagą z Arskane'm, ten jednak przecząco pokręcił głową.

- Nie zgodzę się z tobą, kolego. Powiedziałbym raczej, że spotyka nas niesamowite szczęście. W mojej podróży na północ natknąłem się na podobne miejsce i w małym pokoju na zapleczu znalazłem mnóstwo słoików z żywnością, pozostawionych przez Przodków, a mimo to nadal zdatną do użytku. Owej nocy ucztowałem niczym Wódz w dniu rozpoczęcia Tańców Jesiennych.

- Kto spożywa produkty znalezione w starych miastach, skazuje się na śmierć. Tak mówi prawo - z przekonaniem odezwał się Fors, jednak natychmiast ruszył za Arskane'm, gdy ten skierował się ku umieszczonym w odległym końcu sali drzwiom.

- Jest wiele rodzajów żywności. Najważniejsze, aby pojemnik był nieuszkodzony, bez najmniejszego śladu rdzy. Jest to oczywiście nawet dla kogoś tak nieobytego z ruinami, jak ja. Ostrożność taka zupełnie wystarczy - przecież żyję, choć zjadłem wówczas wiele. Zamiast tracić

czas na gadanie, rozejrzyjmy się lepiej dokoła.

Arskane pierwszy znalazł pomieszczenie o ścianach wypełnionych rzędami półek. Piętrzyło się na nich mnóstwo słoików i metalowych puszek. Fors patrzył z podziwem na zgromadzone bogactwo, podczas gdy Ciemnoskóry wolno przechadzał się wzdłuż półek, uważnie oglądając zawartość szklanych opakowań. Starannie omijając pokryte czerwoną rdzą puszki, wybrał sześć butelek, po czym ustawił je na małym stoliku, stojącym w rogu.

- Przyglądaj się uważnie zamknięciom. Jeśli nie dostrzeżesz śladów pleśni, możesz śmiało utracić szyjkę i zjeść zawartość.

Dziesięć minut później oblizując lepkie palce, objadali się owocami zebranych na wiele pokoleń przed ich urodzeniem. Ugasili pragnienie sokiem i Fors zaczął przysłuchiwać się odgłosom dobiegającym z sąsiedniego pomieszczenia. Z panującego tam zamieszania domyślił się, że Lura ucztuje również, siejąc spustoszenie wśród gnieźdzących się za ścianą gołębi.

Arskane otworzył nożem kolejny słoik.

- Nie musimy troszczyć się o jedzenie, a jutro znajdziemy drogę ucieczki. Tym razem Bestie trafiły na lepszych od siebie.

Fors, syty i zadowolony, przyznał mu w duchu rację.

Rozdział 8

Lotnisko

Tej nocy spali niespokojnie na stosach rozsypujących się szmat. Rankiem posilili się znalezionymi w składzie zapasami i ponownie ruszyli ku górze. Szli dopóki nie dotarli do kończącej schody platformy, osłoniętej niegdyś wielkimi taflami szkła. U swych stóp mieli miasto w całej zdruzgotanej okazałości. Fors bez trudu rozpoznał trasę swej pierwszej wyprawy i z dumą pokazywał ją teraz towarzyszowi. Arskane zastanawiał się przez chwilę, popatrzył na wschód, po czym z kolei on nakreślił drogę, którą przybył do miasta.

- Musimy teraz iść na południe, dokładnie na południe. Słyszac to. Fors zaśmiał się krótko.

- Najpierw wydostańmy się z tego budynku - zauważył rozsądnie. Jednak Arskane miał już gotową odpowiedź.

- Chodź. - Wielka dłoń ścisnęła ramię chłopca, popychając go ku najbliższemu oknu. Daleko w dole rozciągał się rozległy dach sąsiedniego budynku, którego krawędź dotykała niemal ściany wieżowca.

- Masz to. - Arskane pociągnął za zwisający luźno koniec liny owijającej talię Forsa. - Musimy zejść na dół, jak najbliżej tego dachu i odnaleźć wychodzące nań okna, a wtedy, z pomocą sznura z łątwością przeskoczmy na drugą stronę. Zobacz. Tak się szczęśliwie składa, że w kierunku południowym ciągnie się cały szereg stojących blisko siebie budynków, po dachach których będzie można uciekać przez jakiś czas. Choć Bestie są przebiegłe, to chyba nie obserwują przestrzeni nad swoją głową. Trasy ich wędrówek prowadzą przecież po ziemi lub pod jej powierzchnią.

- Mówią też, że ulubionym miejscem Bestii są ciemne, ponure nory. - Potwierdził Fors. - Ponadto unikają wyraźnie światła dziennego i przebywania w terenie otwartym.

Gruba, dolna warga Arskane'a zniknęła między kciukiem i palcem wskazującym olbrzymia.

- Nocne ptaszki, co? Zatem dzień należy do nas, a światło słońca jest naszym sprzymierzeńcem.

Uspokojeni tym stwierdzeniem, ruszyli w dół schodów. Zatrzymali się piętro wyżej nad sąsiednim dachem, gdzie w hallu odszukali okno skierowane na właściwą stronę i, wyłamawszy tkwiące w ramie niczym ostre sztylety odłamki szyby, wychylił się, aby zbadać sytuację.

- Lina w ogóle nie będzie nam potrzebna - ocenił Arskany. - Skok na tamten dach jest całkiem łatwy. Uchwycił się ramy i napiął mięśnie.

Fors przypadł do sąsiedniego okna, skąd ze strzałą na cięciwie łuku zaczął wypatrywać niebezpieczeństwa. Rozglądał się gorączkowo, jednak

jak dotychczas ciemne okna z naprzeciwka tchnęły martwością i spokojem. Mimo to denerwowała go myśl, że nie jest w stanie ogarnąć wszystkich otworów, a przecież z każdego z nich lada moment mogła zaatakować podstępna śmierć.

Nie mieli jednak wyboru - była to najlepsza, a kto wie, czy nie jedyna droga ucieczki. Arskane jęknął cicho z bólu - to odezwało się zranione ramię - po czym zniknął za oknem i już po chwili jego stopy załomotały na leżącej w dole płaszczyźnie, gdy po wylądowaniu rzucił się pędem w bok, szukając ukrycia za obrzeżającym dach wysokim gzymsem.

Zastygli w oczekiwaniu, które skwapliwie wykorzystała Lura. W powietrzu przemknęła jasna smuga futra, zwierzę zwinnie opadło na podłoże i natychmiast dołączyło do ukrytego człowieka.

Jak na razie wszystko przebiegało dobrze. Fors oswobodził się z kołczanu, torby i łuku, podszedł z całym ekwipunkiem do okna i przerzucił go, starając się posłać wszystkie przedmioty jak najbliżej Arskane'a. Następnie sam podciągnął się na parapet, wybrał miejsce lądowania i skoczył. Ostrzegawczy okrzyk Arskane'a dotarł do niego akurat w momencie, gdy oderwał ręce od okna. Zdumiony stracił na chwilę orientację, co wystarczyło, aby upadł całym ciężarem ciała zamiast, jak to powinien zrobić, zamortyzować upadek nogami. Ból rozdarł całe ciało. Nieco zamroczony przetoczył się na plecy, a wówczas we framudze okna, z którego skoczył przed chwilą, dostrzegł długą, chwiejącą się jeszcze strzałę. Nie zwlekając ani chwili dłużej, przeturlał się pod osłonę muru, wprost pod nogi Arskane'a.

- Skąd nadleciała?

- Stamtąd - Ciemnoskóry wskazał na rząd okien w budynku po drugiej stronie ulicy. - Z jednego z nich.

- Ruszajmy.

Rozpłaszczeni na rozgrzanej słońcem szorstkiej papie, zaczęli czołgać się w stronę przeciwnieległej krawędzi dachu. Drogę odwrotu mieli odcięta - wrócić i próbować wspiać się do któregośkolwiek okna w wieżowcu znaczyło wystawić się na cel, którego nawet marny strzelec nie mógłby chybić. Z chwilą, gdy ich dostrzeżono, a stało się to szybciej, niż oczekiwali, stracili jedyny atut, jakim było zaskoczenie i teraz musieli przebijać się przez teren doskonale znany przeciwnikowi. Dla nich zaś był to zagmatwany labirynt, niewykłuczone, że usiany pułapkami, jeszcze gorszymi od tej, która uwięziła Arskane'a.

Gdzieś z tyłu rozległ się wysoki gwizd, przypominający odgłos wydawany przez dziecinne piszczałki z trzciny. Fors domyślił się. że stało się to, czego obawiał się najbardziej - był to sygnał dla ścigających, że ofiary wyszły z ukrycia i próbują wydostać się z matni.

Arskane wysforował się do przodu, a ponieważ wyglądało na to, że olbrzym wie, co należy zrobić, Fors zaakceptował jego przewodnictwo. Dotarli do narożnika, utworzonego przez wschodnią i południową krawędź dachu. Lura natychmiast przesadziła gzyms i teraz, gdzieś z tyłu, dochodziło jej ciche nawoływanie.

- A teraz, kolego, musimy zawierzyć naszemu szczęściu i zdać się na dobry los. Skoczmy równocześnie. Może się zdarzyć, że jeśli zobaczą dwa cele naraz nie będą w stanie się zdecydować, a chwila zwłoki zupełnie nam wystarczy. Czy jesteś gotów?

-Tak.

- A więc - skacz!

Podążając śladem Arskane'a chłopak uchwycił skraj gzymsu, po czym obaj równocześnie rzucili się w dół, spadając na najniższy dach. Przez chwilę toczyli się po pochyłej płaszczyźnie, zdzierając przy tym skórę z łokci i kolan, a gdy tylko wytracili impet, poderwali się i ukryli wśród odłamków gruzu, zaścielającego dach od strony wyższego budynku. Ponownie usłyszeli rozkazujący dźwięk piszczałki. Arskane zaczął otrzępywać dłonie z kurzu.

- Przed sobą mamy jeszcze jedną ulicę, a dalej jest już dolina rzeki. Fors skinął głową. On także pamiętał obraz widziany z dachu wieżowca. Rzeka zakręcała, kierując się w tym miejscu prosto na wschód. Przymknął na chwilę oczy, aby lepiej przypomnieć sobie stare

parowozownie, skupiska budynków...

Arskane poruszył się niecierpliwie.

- Jeśli damy im więcej czasu, przygotowują nam powitanie, jakiego nikomu bym nie życzył. Musimy być w ruchu cały czas, a teraz, gdy spodziewają się, że pochwyca nas na dachu, dobrze byłoby zejść na ulicę. Możliwe, że trochę ich tym zaskoczymy.

- Spójrz tutaj - Fors oglądał uważnie stertę cegieł. - Zdaje się, że była tu ścianka.

Zaczął roztrzącać rumowisko, aż natrafił na pogięte, wiszące na jednym zawiasie drzwi. Uradowany Arskane rzucił się na pomoc i teraz obaj już kopali zawzięcie, bez chwili wytchnienia, dopóki zupełnie nie oczyścili wejścia. Ostrożnie otworzyli drzwi, a wtedy z ciemnego, omszałego wnętrza nadciągnął zatechły, zgniły zapach. W ciemnościach niewyraźnie rysowały się wąskie strome schody. Spojrzeli po sobie i ruszyli w dół.

Przeszedłszy kilkanaście stopni znaleźli się w obszernym hallu, gdzie natrafili na znacznie wygodniejsze zejście. Choć poruszali się ostrożnym, bezszelestnym krokiem tropicieli, to przecież od czasu do czasu ich przejście wywoływało w opuszczonym wnętrzu drobne szelesty i postukiwania. Przystawali wówczas zaniepokojeni i nasłuchiwali, jednakże Lura nie zdradzała najmniejszych oznak niepokoju, a i sam Fors słyszał jedynie szelest odpadającego tynku, poruszanego usuwanymi z drogi starymi deskami.

-Zaczekaj. - Chwycił ramię Arskane'a, gdy ten zamierzał pokonać ostatni odcinek drogi.

Stali na półpiętrze, a Fors zaintrygowany wskazywał na osadzone w ścianie metalowe drzwi. Uderzył w nie pięścią, budząc głuchy, pusty dźwięk. Za przegrodą musiała znajdować się wolna przestrzeń. Nacisnął na klamkę, zamek ustąpił i oto znaleźli się na czymś w rodzaju występu, górującego nad rozległą, przypominającą jaskinię halą.

- Na Wielkiego Rogatego Jaszczura - Arskane był wyraźnie wstrząśnięty i podobnie jak Fors trzymał się kurczowo obrzeżającej platformę barierki.

Spoglądali na pomieszczenie, które niegdyś musiało być zajezdnią ciężarówek, jakimi Przodkowie przewozili różne towary. Około piętnastu potworów stało w równym rzędzie, oczekując na dawno temu wymarłych władców. Kilka z nich posiadało najnowszy typ silnika, jaki udało się wynaleźć Przodkom. Maszyny zaopatrzone w "szczelny napęd" wydawały się być nietknięte przez czas i nadal zdadne do użytku. Tępy nos jednej z nich niemal dotykał szerokich, zamkniętych drzwi.

Jakby mimochodem Fors pomyślał, że wrota musiały prowadzić na ulicę.

Przyszła mu do głowy niezwykła myśl. Zwrócił się do Arskane'a:

- Pamiętasz drogę biegnącą wzdłuż toru kolejowego w dolinie? Niemal cały czas prowadzi w dół pochyłości.

- Tak. To prawda.

- Czy widzisz tę ciężarówkę przy bramie? Gdyby udało nam się ją uruchomić, potoczyłaby się ulicą i nic nie byłoby w stanie jej zatrzymać. Arskane oblizwał wargi.

- Maszyna z pewnością jest zepsuta. Jej silnik jest martwy, a sami nie damy rady jej popchnąć.

- Możliwe, że wcale nie trzeba będzie jej pchać. Poza tym nie bądź taki pewien, że silnik nie zaskoczy. Jarlowi udało się kiedyś przejechać ćwierć mili pojazdem ze "szczelnym napędem", zanim maszyna przestała pracować. Dla nas wystarczy, jeśli ciężarówka dojedzie do najwyższego punktu wzniesienia. Ostatecznie warto spróbować. Byłby to szybki i bezpieczny sposób na dotarcie do doliny.

- Masz rację, spróbujemy.

Arskane zeskoczył ze schodków i skierował się w stronę upatrzonego pojazdu.

Drzwi od strony siedzenia kierowcy były szeroko otwarte. Fors wskoczył do kabiny i zapadając się w miękkiej wyściółce fotela, zajął miejsce za tablicą rozdzielczą, jakby był jednym z korzystających na co dzień z tej potęgi Przodków.

Arskane, wdrapawszy się za nim, pochylił się nad pulpitem, chcąc dokładniej obejrzyć rzędy lampek i przycisków. Po chwili dotknął jednego z nich.

- Ten guzik blokuje koła - powiedział.

- Skąd wiesz?

- Mamy swojego nauczyciela. Rozłożył mnóstwo starych maszyn, chcąc poznać zasady ich działania. Od wielu lat nie mamy już jednak paliwa, więc wiedza ta stała się bezużyteczna. Tym niemniej Unger przekazał mi trochę wiadomości na temat kierowania czymś takim.

Fors z żalem podniósł się z siedzenia, ustępując mu miejsca. Widząc jednak, jak ten delikatnie wybiera kolejne przyciski, nabrał pewności, że postąpił słusznie. W pewnej chwili Arskane nacisnął stopę na osadzony w podłodze przycisk i to, o czym nieśmiało marzyli w głębi duszy, stało się faktem. Starożytny silnik obudził się do życia. Jeszcze raz "szczelny napęd" okazał swą niezawodność.

- Drzwi!

Twarz Arskane'a pod brązowym pigmentem, zbielała z napięcia. Malowała się na niej prawdziwa trwoga.

Fors wyskoczył z kabiny i podbiegł do ciężkich drzwi. Całym ciężarem naparł na zasuwę, która ustąpiła z cichym zgrzytem, po czym z zadziwiającą lekkością odsunął szerokie skrzydło. W wypełniający halę mrok wdarł się strumień słonecznego blasku. Mrużąc oczy, chłopak popatrzył wzdłuż ulicy, dziwiąc się, że nigdzie nie widać blokujących ruch wraków. Wystarczyło jednak spojrzenie w drugą stronę, aby wyjaśnić tę zagadkę. W poprzek ulicy zaledwie o kilka metrów od miejsca, w którym stał, leżała na boku wielka ciężarówka, rozbitą kabiną wspierając się w ścianę budynku z naprzeciwka. Powstała w ten sposób barykada skutecznie zamknęła ruch na niższym odcinku ulicy. Musiał już kończyć te pobieżne oględziny, gdyż z tyłu dobiegł odgłos nierównej pracy gasnącego silnika.

Wskoczył do kabiny, wciągając Lurę za sobą i z niespokojnie bijącym sercem obserwował, jak Arskane zmaga się z oporną kierownicą. Wreszcie samochód drgnął i ciężale ruszył z miejsca. Ostatni impuls energii wypchnął go z garażu i oto teraz zakreślał majestatycznie, gubiąc resztki zleżałych opon. Wtaczali się właśnie na niewielkie wzniesienie, gdy silnik zakrzuszył się i zgasł. Siłą rozpędu pokonali jednak pagórek i nabierając coraz większej prędkości pomknęli w dół pochyłości.

Mieli szczęście, że ulica była pusta. Gdyby nie blokująca w górze przejazd ciężarówka, na pewno wpadliby na jakiś pojazd, co przy takiej szybkości musiało skończyć się śmiercią. Kurczowo uczepony kierownicy Arskane kręcił nią, instynktownie starając się uniknąć zderzenia z ulicznymi latarniami.

Dwukrotnie Fors zamykał oczy i otwierał, dziwiąc się, że jeszcze żyje. Dłońmi cały czas mocno ścisnął futro miauczającej rozpaczliwie Lury, której taka podróż wyraźnie nie przypadła do gustu. Posuwali się jednak szybko i wkrótce wjechali w dolinę, potrącając po drodze kilka zardzewiałych wagonów. Wyhamowali w ten sposób część prędkości, a gdy ciężarówka aż po zderzak zaryła się w stertę węgla, stanęli na dobre. Przez długą chwilę, słabi i ogłuszeni, siedzieli w bezruchu. Potem wygrzebali się z wozu i stanęli na drżących nogach. Arskane roześmiał się nienaturalnie wysokim głosem:

- Jeśli nawet ktoś nas ścigał, musiał pozostać daleko w tyle. Naszym zadaniem jest ten dystans powiększyć.

Wykorzystując osłonę zalegających parowozownię wraków, ruszyli na południe, biegnąc nieprzerwanie do momentu, w którym rzeka skręciła szeroką pętlą na zachód, zbaczając z odpowiadającego im kierunku. Wspięli się wówczas stromym zboczem wozu i wyszli na gęsto porośnięte drzewami tereny podmiejskie.

Słońce stało w zenicie, zalewając gorącym głową i ramiona wędrowców. Znad jeziora wiatr przyniósł wilgotny zapach ryb. Arskane głośno wciągnął powietrze.

- Deszcz - zawyrokował - nie mogliśmy liczyć na lepszy zbieg okoliczności. Woda zatrze nasze ślady.

Czy Bestie będą ścigały swoje ofiary poza miastem? Muszą kierować się w głąb stepu, choć tam również nie mogą czuć się całkowicie bezpiecznie, wystarczyło przecież wspomnieć ślady pozostawione przez tajemniczego łowcę jeleni. A ojciec Forsa, czyż nie został zaatakowany na skraju rozległych lasów. Nie mogli mówić o wyjściu z

opresji tylko dlatego, że wydostali się z obszaru miasta.

- Przynajmniej nie musimy dźwigać ze sobą bagaży - zauważył po jakimś czasie Arskane, gdy przystanęli, aby odpocząć i ugasić pragnienie gęstym sokiem, którym Fors napełnił z rana swoją manierkę.

Słyszając te słowa chłopiec z żalem pomyślał o klaczy i ładunku, jaki jeszcze wczoraj niosła na grzbiecie. Dzisiaj pozostały mu jedynie zdobiące palce pierścienie i kilka drobiazgów w worku Gwiazdzistego, co z pewnością będzie niewystarczającym dowodem na poparcie jego historii. Na szczęście miał jeszcze mapę i dziennik podróży, które przedłożył Radzie w dniu upragnionego powrotu do Eyrie.

Ekwipunek Arskane'a był jeszcze skromniejszy. Oprócz wiszącego u pasa noża jego jedyną bronią stanowiła zabrana z muzeum maczuga, a w torbie na ramieniu miał hubkę i krzesiwo oraz dwa owinięte cienką linką haczyki na ryby.

- Gdybyśmy mieli bęben - westchnął z żalem. - Mając bęben w rękę nawet teraz mógłbym porozumieć się z moim ludem. Bez umówionych sygnałów trudno będzie ich spotkać. Chyba, że natkniemy się przypadkiem na innego zwiadowcę.

- Chodź ze mną do Eyrie - powodowany nagłym impulsem odezwał się Fors.

- Gdy opowiadałeś mi swoje dzieje, czyż nie wspomniałeś o tym, że uciekłeś z siedziby plemienia? Czy sądzisz, że przyjmą cię gościnnie, gdy u twego boku pojawi się obcy? Nasz świat ciągle jeszcze pełen jest nienawiści. Opowiem ci teraz o moim ludzie - jest to historia o dawnych, bardzo dawnych czasach. Latający przodkowie, którzy założyli nasz szczep, urodzili się z ciemną skórą, przez co musieli znosić w tamtych czasach wiele przykrości ze strony ludzi białych. Jesteśmy ludem spokojnym, czasami jednak ta odwieczna uraza odżywa w naszej pamięci, zatruwając umysł jadem goryczy.

Podczas naszej wędrówki na północ, staraliśmy się pozyskać przyjaźń Koczowników. Trzy razy wysyłaliśmy do nich posłów i za każdym razem witał ich grad strzała. Nie pozostało nam nic innego, jak tylko ukryć głęboko nasze pragnienie przyjaźni i twardo walczyć o prawo do życia. Czy możesz obiecać, że gdy dotrzemy do Eyrie, napotkamy przyjaźnie wyciągnięte ręce ludzi gór?

Gorąca krew zabarwiła policzki Forsa ciemną czerwień. Niestety, odpowiedź na to pytanie znał aż za dobrze. Obcy, to wróg - tak głosiły odwieczne zasady. Czy jednak musi tak być? Przecież ziemia była rozległa i pełna bogactw, a nieliczni ludzie rozrzucony byli na wielkich przestrzeniach. Miejsca starczy dla wszystkich - miną całe stulecia, zanim rasa ludzka rozprzestrzeni się od morza do morza, a nawet wtedy, wzorem Przodków można zbudować statki i pożeglować ku innym, rozległym łądom.

Wypowiedział te myśli głośno i wówczas okazało się, że Arskane jest tego samego zdania.

- Twoje myśli są proste i jasne. Czyż mamy sobie nie ufać tylko dlatego, że nasza skóra różni się kolorem, a język brzmi trochę odmiennie? Żyjemy z uprawy roli. Siejemy ziarno i zbieramy później plony. Wypasamy owce, dzięki czemu mamy wełnę na płaszcze i koce. Z gliny formujemy naczynia i wypalamy je w ogniu, aż uzyskają twardość kamienia. Żyjemy i czerpiemy radość z pracy naszych rąk. Koczownicy to myśliwi. Mają znakomite konie i wielkie stada bydła - wędrują ciągle z miejsca na miejsce, w poszukiwaniu coraz to nowych szlaków. A jaki jest twój lud?

Zmrużone oczy Forsa patrzyły prosto w słońce.

- Jesteśmy małym, złożonym z kilku klanów plemieniem. Góry to surowy kraj i nieraz zimą zdarza się nam głodować. Nade wszystko na świecie umiłowaliśmy Wiedzę. Spędzamy życie na poszukiwaniu ruin, na nieustannych próbach zrozumienia i odzyskania mądrości, która swego czasu uczyniła Przodków tak potężnymi. Nasi lekarze zwalczają ból i choroby ciała, zaś nauczyciele i Gwiazdziści usiłują rozproszyć zalegający nasze dusze mrok.

- A jednak ci sami ludzie, którzy walczą z ignorancją, zmusili cię do ucieczki tylko dlatego, że jesteś inny niż oni. Twarz Forsa ponownie zalał rumieniec.

- Jestem mutantem, więc nie można mi wierzyć. Przecież... Bestie to

też mutanci - nie był w stanie wykrztusić nic więcej.

- Lura to także mutant.

Fors zamrugał gwałtownie. Te cztery cicho wypowiedziane słowa były czymś znacznie ważniejszym, niż suchym stwierdzeniem faktu. Poczuli, że nieoczekiwanie spłynęło z niego całe napięcie. Zrobiło mu się gorąco, nie ze wstydu tym razem, ale na skutek działania wiszącego wysoko słońca - było to dobre, promieniujące gdzieś spod serca ciepło, jakiego nie doświadczył w całym swoim dotychczasowym życiu. Arskane podparł ręką podbródek i w zamyśleniu błędził wzrokiem ponad gęstwina oplecionych dzikim winem zarośli.

- Myślę - zaczął powoli - że jesteśmy jak różne części jednego ciała. Moje plemię to pracowite ręce, wytwarzające różne rzeczy, dzięki którym życie staje się piękniejsze i łatwiejsze. Koczownicy to nieustrudzone, nieustannie gdzieś się spieszące stopy, które pragnienie odkrycia nowych szlaków i spotkania rzeczy niezwykłych popycha ku coraz to innym horyzontom. Twój lud wreszcie stanowi głowę - bez przerwy myślącą, planującą i przewidującą zadania dla stóp i rąk. Razem...

- Razem - usta Forsa szybko łąpały powietrze - stworzylibyśmy naród, jakiego ta ziemia nie widziała od czasów Przodków.

- Nie, nie może to być naród, jaki znali Przodkowie - odparł Arskane zaskakująco ostrym tonem. - Oni nie byli jednym ciałem, przecież znali wojny. Pomyśl, że to właśnie przez ich broń doszło do katastrofy. Jeśli ciało ma się zrosnąć ponownie, to każda jego część, znając własną wartość i czerpiąc z tego uczucie dumy, musi także dostrzegać wartość pozostałych, zaś kolor skóry lub oczu, jak i zwyczaje poszczególnych plemion, nie powinny dla nikogo znaczyć więcej niż kurz, który zmywamy z rąk, zanim zasiądziemy do posiłku. Chcąc zbliżyć się do kogoś, musimy oczyścić się z takiego kurzu, w przeciwnym bowiem razie oślepi on nasze oczy i to, co niegdyś zapoczątkowali Przodkowie, będzie trwało na wieki, aż zatruje ziemię do końca.

- Gdyby tylko było to możliwe...

- Bracie - po raz pierwszy Arskane zwrócił się do Forsa z taką serdecznością - mój lud wierzy, że za każdym wydarzeniem w życiu człowieka kryje się jakaś siła sprawcza. Myślę, że coś skierowało nasze kroki ku temu miejscu, nieuchronnie prowadząc nas do spotkania. Możliwe, że dzięki temu narodzi się coś większego i silniejszego, niż jesteśmy w stanie sobie wyobrazić. Na razie jednak zbyt długo tutaj tkwimy, zwłaszcza, że śmierć nadal depta nam po piętach, a bardzo bym nie chciał, aby komuś udało się zawrócić nas z wytyczonej drogi. Uroczysty głos olbrzymia poruszył Forsa. Nigdy dotychczas nie miał prawdziwego przyjaciela, gdyż domieszka obcej krwi odsuwała go poza krąg rówieśników w Eyrie, a związek z ojcem przypominał raczej stosunki ucznia i nauczyciela. Teraz coś się zmieniło i dlatego w jego duszy z każdą chwilą narastało przeświadczenie, że nigdy nie pozwoli, aby ciemnoskóry wojownik zniknął z jego życia. Gdzie Arskane skieruje swe kroki, tam pójdzie również i on.

Słońce stało w zenicie, gdy weszli w dziką plantację drzew i krzewów. Poruszali się powoli, zmuszeni do lawirowania pomiędzy butwiejącymi belkami i jamami starych piwnic. W pewnym momencie Lura podjęła trop młodej jałówki. Po niespełna godzinnej pogoni przez gęsty labirynt udało im się zwierzę ustrzelić i teraz, po oprawieniu, obracali nad ogniem smakowicie pachnące, potężne kawały pieczeni. Posiliwszy się, zagasili ognisko i zapakowali do swych toreb spory zapas świeżego mięsa, po czym ruszyli w dalszą drogę, kierując się według wskazań małego kompasu Forsa.

Nieoczekiwanie las się skończył. Stali na skraju rozległej równiny, a to co na niej ujrzeli, było tak zaskakujące, że w pierwszym odruchu chcieli rzucić się do tyłu, pod osłoną pobliskich drzew - przed sobą mieli stare pole latających maszyn.

Obaj widzieli już fotografie takich maszyn, tutaj jednak stały one naprawdę. Część z nich czekała w równych rzędach, jakby za chwilę miały poderwać się do lotu, większość natomiast piętrzyła się w bezładnych stosach, najeżonych pogiętymi skrzydłami i porwanymi arkuszami blachy poszycia kadłubów.

- Samoloty. - Oczy Arskane'a zapaliły się blaskiem szczęścia. - Fruwające pojazdy ojców moich ojców. Zanim w obawie przed trzęsieniem ziemi opuściliśmy góry, poszliśmy po raz ostatni popatrzeć na maszyny, którymi pierwsi ludzie dotarli w te strony. Były bardzo podobne do niektórych z tych, które widzimy tutaj. Na Rogatego Jaszczura, przecież to całe pole pełne jest samolotów.

- Te zostały zniszczone, zanim wzbily się w niebo - pokazywał rozgorączkowany Fors.

Ogarnęło go dziwne uczucie podniecenia. Pojazdy naziemne, nawet ciężarówka, którą wydostali się z miasta, nigdy nie robiły na nim takiego wrażenia.. Jak potężni, jak wielcy i mądry mieli być Przodkowie, jeśli potrafili zbudować i okiełznać te skrzydlate potwory. Wznosili się w nich ku chmurom, podczas gdy dzisiaj ich synowie pełzają po ziemi. Nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi. Fors wszedł na betonową płytę, kierując się w stronę najbliższego samolotu. Ze smutkiem przeciągnął ręką po kadłubie. Czuł się przy nim mały i bezbronny - cały klan zmieściłby się w jego wnętrzu.

- Z takich samych maszyn Przodkowie rozsiewali nad światem śmierć.

- Pomyśl tylko: móc latać wśród chmur - Fors zdawał się nie dostrzegać ponurego nastroju Arskane'a - unosić się nad ziemią. Przodkowie musieli być podobni bogom.

- Powiedz raczej, że przypominali szatana. Spójrz - Arskane chwycił go za ramię i poprowadził między dwoma szeregami ocalałych samolotów na skraj pola. Stąd roztaczał się widok na kilkanaście postrzępionych, robiących przykre wrażenie kraterów, które spowodować musiały cały ten bałagan i zniszczenie w środkowej części lotniska. - Śmierć nadeszła z nieba. Ludzie rzucili ją na głowy innych ludzi. Zapamiętaj to, bracie. Omijając rozbite szczątki, ruszyli wzdłuż szeregu nie uszkodzonych maszyn. Wokół leżało pełno kości. Wielu ludzi próbowało wyprowadzić samoloty w powietrze, jednak ich działanie było spóźnione i zginęli, zanim zdążyli cokolwiek zrobić. Gdy dotarli do budynku w pobliżu płyty, obrócili się i popatrzyli na długą, wyrąbaną bombami drogę zniszczenia oraz na dwa szeregi jakimś cudem ocalałych bombowców, zamarłych w bezsensownym oczekiwaniu. Niebo, ku któremu nigdy już nie sięgną, było czyste, tylko tu i ówdzie monotonię błękitu urozmaicała ławica białych, układających się w różne wzory chmurek. Na zachodzie gęstniały ciemne pasma zupełnie innych chmur. Nadchodziła burza.

- To - Arskane wskazał zryte pole - nie może się nigdy powtórzyć. Niezależnie od tego, jak daleko zajdą nasi synowie, nie wolno pod żadnym pozorem niszczyć ziemi. Czy zgadzasz się z tym, bracie? Fors długo patrzył w milczeniu w czarne, płonące oczy.

- Zgoda. Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Lecz tam, gdzie kiedyś latali ludzie, muszą latać znów. To również musimy sobie przysiąc.

Rozdział 9 Kraina Wybuchu

Wsparty na łokciach Fors pochylił się ostrożnie nad długim stołem. Bezwiednie wstrzymywał oddech w obawie, że silniejszy podmuch może obrócić w pył rozłożone przed nim prostokąty bezcennych map. W najśmielszych snach nie potrafił wyobrazić sobie takiego skarbu. Z najbliższego, podklejonego płótnem arkusza, połyskiwały rozległe niebieskie plamy. Wędrując wzrokiem w prawo od skraju wielkiego jeziora, dotarł do błękitnej płaszczyzny, przez którą w równych odstępach biegły czarne litery, układające się w budzący dreszcz podniecenia napis: Ocean A-T-L-A-N-T-Y-C-K-I. Więc legendarne morze istniało naprawdę!

Nieco nieprzytomnie spojrział na wchodzącego Arskane'a.

- Zobacz, gdzie jesteś, czy widzisz?

- Tak, jeśli się jednak stąd natychmiast nie ruszymy, pozostaniemy tu na zawsze. Fors niechętnie obrócił się od stołu.

- Co takiego?

- Wracam właśnie ze stojącej w przeciwnym końcu budynku wieży. Z góry spostrzegłem coś żywego na skraju lotniska. Z początku myślałem, że to tylko cień, lecz widząc, jak porusza się ostrożnie ciągle w tym samym kierunku, zmieniłem zdanie. Ktoś stara się nas podejść.

- Może jeleni - zaczął Fors, wiedząc doskonale, że tak nie jest. Arskane wybuchnął krótkim, pozbawionym humoru śmiechem.

- Widziałeś jelenia, który pełźnie po ziemi i podgląda cię zza węgła? Nie, bracie, myślę, że to naszym przyjaciołom z miasta udało się nas wreszcie odszukać i, jeśli idzie o mnie, to nie mam najmniejszej ochoty dać się im złapać.

Fors z żalem oderwał się od stołu. Jaka radość sprawiłby Jarlowi, pokazując takie mapy. Bezcenne rysunki musiały jednak pozostać tam, gdzie je rozłożono przed setkami lat, gdyż każda próba poruszenia ich z miejsca nieuchronnie zakończyłaby się całkowitym zniszczeniem. Podniósł kołczan i przeliczył pozostałe strzały. Miał ich tylko dziesięć. W razie walki zużyje je bardzo szybko, a wtedy może już tylko liczyć na krótki miecz i myśliwski nóż.

Arskane skinął głową, jakby w odpowiedzi na myśli kłębiące się w duszy towarzysza.

- Chodź.

Ruszył ku wijącym się spiralnie schodom, które wznosząc się coraz wyżej, doprowadziły ich do pomieszczenia o ścianach niegdyś całkowicie wypełnionych szkłem.

- Popatrz tam i powiedz, co o tym myślisz - palec olbrzyma wskazywał na południowy wschód.

Wśród bujnej roślinności ciągnęła się dziwna wyrwa, szeroki klin ziemi pozbawionej najmniejszego śladu zieleni. W blasku słońca gleba polśniewała niezwykłym, metalicznym odbłaskiem. Przypominał sobie nagie skały górskich wawozów i widzianą kiedyś, pozostałą po Przodkach rozległą, betonową równinę. Tutaj jednak mieli do czynienia z czymś innym, jakby w krainie, gdzie trawa i drzewa odzyskały prawo do życia, śmierć nadal władała tą rozległą enklawą.

- Pustynia? - zapytał pełnym powątpiewania głosem. Wiedział przecież, że w tych stronach nigdy nie było żadnej pustyni.

- Na pewno nie. Urodziłem się i wychowałem na pustym, możesz więc mi wierzyć, że nie ma to nic wspólnego z naturalnym pustkowiem. Czegoś takiego nie spotkałem podczas żadnej z moich dotychczasowych wypraw.

- Cicho - nakazał Fors, błyskawicznie obracając się do tyłu. Usłyszał dźwięk, co do którego nie mógł się pomylić - gdzieś w oddali metal uderzył o metal.

Przebiegł wzrokiem wzdłuż stojących w dole maszyn. Coś mignęło obok jednego z najbliższych samolotów. Przypadł do ramy okna i, mrużąc oczy przed wypełniającym powietrze słonecznym blaskiem, usiłował wypatrzeć coś więcej. W rzucanej przez skrzydło plamie cienia nieco ciemniejszą, szaroczną barwą odznaczała się jakaś przycupnięta sylwetka. Dostrzegł też, że stworzenie zajęte było starannym obwąchiwaniem ziemi.

- Tylko jeden - jego szept zmieszał się z szybkim oddechem Arskane'a.

- Nie, spójrz na te zarośla po prawej.

Niestety, zwiadowca z południa także tym razem miał rację. We wskazanym miejscu, pomiędzy gałęzi sterczała potworna głowa. Bestie zawsze polowały w stadzie. Trudno było oczekiwać, że tym razem zmienią obyczaje. Fors zacisnął dłoń na rękojeści miecza.

- Musimy uciekać.

W odpowiedzi usłyszał odgłos dudniących po schodach kroków Arskane'a. Nie namyślając się dłużej ruszył ku drzwiom. Zanim jednak stracił z oczu lotnisko, dostrzegł, jak spod samolotu wyprysnęło szaro ubarwione stworzenie. Przystanął na moment, chcąc wybać jego zamiary, a wówczas zauważył dwie podobne postacie, które oderwały się od rosnących wzdłuż zrujnowanego pasa drzew i, kryjąc się pomiędzy maszynami, podążały w kierunku wieży. Rozpoczynały się łowy.

- Musimy trzymać się otwartej przestrzeni - wysapał biegnąc Arskane.

- Jeśli będziemy w ciągłym ruchu i nie damy się zepchnąć w jakiś zaułek, to mamy spore szansę.

Byli już na dole. Biegli długo ciemnym korytarzem, zanim natrafili na

drzwi. Były to inne drzwi, niż te, którymi weszli, więc gdy wypadli na rozświetloną słońcem przestrzeń, zatrzymali się, rozglądając dookoła. Znajdowali się w labiryncie, utworzonym ze splątanych wraków. Podziurawione kadłuby zalegały pobliskie pasy, na poboczach stały zniszczone działa przeciwlotnicze. Podeszli do najbliższego o lufie ciągle jeszcze mierzącej w niebo i w tej samej chwili usłyszeli przeraźliwy wrzask, a zaraz potem pełen złości, bojowy zew Lury. Spomiędzy pogiętych arkuszy blach wytoczyła się zawzięta walcząca para, wpadając niemal wprost pod nogi ludzi.

Arskane spokojnie wznosił maczugę, a gdy na wierzchu pojawiła się głowa Bestii, uderzył błyskawicznie, wkładając w cios wszystkie siły. Zapanowała nagła cisza, po czym spod bezwładnego ciała, o szeroko rozrzuconych, kościstych ramionach wydobyła się Lura. Jakby nie zdając sobie sprawy z tego, co się stało, ze zjeżoną sierścią rzuciła się na znienawidzonego wroga, orząc jego szarą skórą długimi pazurami. Gdzieś spomiędzy wraków nadleciał zręcznie ciśnięty kamień, uderzając Forsa wprost w głowę. Siła uderzenia zamroczyła chłopca, który zaczął chwiejnie kręcić się dokoła, zrobił dwa niepewne kroki i, potknawszy się o cuchnące niesamowicie zwłoki Bestii, wpadł na podstawę działa. Ból stłuczonego ramienia przywrócił go do przytomności, nim jednak zdążył cokolwiek uczynić, Arskane poderwał go na nogi i pociągnął za sobą, klucząc wśród stłuczonych samolotów. Wciąż potrząsając dzwoniącą głową, Fors podążał za towarzyszem. Gdy mijali zadarty w górę nos kolejnej maszyny, usłyszeli, jak o jej kadłub uderzają kolejne pociski. Arskane popchnął go w lewo, w stronę dającego schronienie niewielkiego zagłębienia terenu.

- Gonia nas - wysapał, leżąc na skraju dom - niczym jakąś zwierzynę. Fors spróbował uwolnić się z gniotącego uścisku ręki olbrzyma, cały czas wiążącej jego ramię.

- Lura, naprzód! - Pomimo wywołanego udrzeniem zamętu w głowie, udało mu się pochwycić sygnał.

- Droga przed nami jest wolna.

Arskane nie wyglądał na skłonnego opuścić ukrycie, jednak Fors oswobodził się wreszcie i, jak tylko mógł najszybciej, pomknął przygięty po zrytej płycie. Ciemnoskóremu nie pozostawało nic innego, jak tylko pójść w jego ślady. Teraz biegli już obaj, kryjąc się wśród rozbitych samolotów i co chwila zmieniając kierunek, aby uniknąć trafienia przez niewidocznych strzelców. Mieli wrażenie, że ich wyścig ze śmiercią trwał wiele godzin, zanim zmęczeni stanęli na skraju widzianej z góry, przecinającej ziemię, niezwyklej blizny. Na jej widok Lura przysiadła, machając ze złością ogonem, a spomiędzy rozwartych, odsłaniających białe kły warg, dobiegło głośnie warczenie.

- Tędy, szybko. - Arskane zniknął w gardzieli wąwozu, nim jeszcze skończył mówić.

Dziwna gleba kruszyła się pod butami Forsa. Do wolności wiodła tylko ta jedna droga, a oni zdecydowali się na nią wkroczyć. Lura jakby to pojmowała, gdyż choć mrucała niezadowolona, to nie odstępowała jego boku.

Nie było tu nawet mchu - dookoła mieli tylko skały, których odłamki polśniewały gładką, szklistą powierzchnią. Fors wzdrygnął się na myśl o dotknięciu czegokolwiek gołym ciałem. Z chwilą przekroczenia zaklętej granicy ucichły odgłosy pogoni. Zrobiło się cicho. Zbyt cicho. Zaczął intensywnie zastanawiać się i nagle uświadomił sobie, że różnica, jaką wychwycił jego słuch, wywołana była przez owady, a raczej przez całkowity brak wszechobecnego dźwięku ich życia, wypełniającego zdrowy świat.

Kraina, do której tak niebaczenie wkroczyli, tchnęła obcością. Zniknęła przyjazna człowiekowi zielen, do uszu nie docierały znajome, dające poczucie bezpieczeństwa odgłosy. Widząc, że Arskane przystanął. Fors przyśpieszył, a gdy się z nim zrównał, zadał mu nurtujące go od jakiegoś czasu pytanie.

- Cóż to za miejsce?

Ciemnoskóry odpowiedział pytaniem:

- Co wiesz o Krainie Wybuchu?

- Kraina Wybuchu? - Fors usiłował przypomnieć sobie skąpe wiadomości, zawarte w przechowywanych w Eyrie zapiskach.

Kraina Wybuchu - miejsce, gdzie spadła atomowa bomba, wgrzyzając się głęboko w ziemską skorupę, gdzie śmierć rozpleniała się tak mocno, że muszą minąć pokolenia, nim człowiek ponownie zdoła tamtędy przejść. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, zrezygnował jednak i szybko je zamknął. Nie musiał już o nic pytać. Znał odpowiedź i wiedza ta wzbudziła ogarniające całe ciało chłodne przerażenie, silniejsze, niż lęk przed Bestiami. Nic dziwnego, że nikt ich nie ścigał. Nawet Bestie wolały tutaj nie wchodzić.

- Musimy zawrócić - rzucił półgłosem, dobrze wiedząc, że jest to niemożliwe.

- Wrócić na pewną śmierć? Nic z tego, bracie, poza tym i tak jest już za późno. Jeśli stare opowieści mówią prawdę, to już jesteśmy żywymi trupami, a w naszych wnętrznościach płoną zalążki straszliwej choroby. Jeśli natomiast pójdziemy dalej, mamy szansę przeżycia.

- Może nawet więcej, niż szansę - zgodził się Fors, którego uspokoiło nieco wspomnienie zawziętych sporów, toczonych dawno temu przez mędrców w Eyrie.

- Powiedz, Arskane, czy w pierwszych latach po Wybuchu ludzie z twego plemienia zapadali na chorobę, wywołaną promieniowaniem? Ściągnięte brwi olbrzyma utworzyły jedną prostą linię.

- Tak. Był taki śmiertelny rok. W ciągu trzech miesięcy zmarło dziesięciu naszych. Pozostali chorowali również i choć wyzdrowieli, to nigdy nie odzyskali pełni sił. Dopiero następne pokolenie wyrosło zdrowe i silne, i od tej pory śmierć przestała zaglądać nam w oczy.

- Tak samo było w Eyrie. Ludzie sprawujący pieczę nad starymi księgami mówią, że z powodu tej choroby staliśmy się inni, niż Przodkowie. Może więc uda się nam przejść bezpiecznie tam, gdzie ich spotkałaby niechybna zguba.

- Nikt jednak jeszcze tego nie udowodnił. Fors wzruszył ramionami.

- Udowodnimy to właśnie teraz. Wkrótce przekonamy się, czy mędrcy z Eyre mieli rację. Jeśli o mnie chodzi, to jestem mutantem.

- Podczas gdy ja jestem taki sam, jak pozostali ludzie mego pokolenia, którzy wobec tego, co powiedziałeś wcale nie muszą być tacy sami, jak Przodkowie. Niezależnie od tego, co powiemy, i co nas może spotkać, skierowaliśmy się w tę drogę i nie ma sensu dłużej rozmyślać nad trafnością tej decyzji, zwłaszcza, że za plecami mamy prawdziwą i równie straszliwą śmierć. Ponadto czuję, że nadciąga burza, poszukajmy więc lepiej schronienia, gdyż błądzenie w ciemnościach po tej okolicy zupełnie mi się nie uśmiecha.

Cały czas szli po tłustym, gliniastym podłożu i Fors pomyślał, że jeśli zaczną padać, to droga stanie się śliska i grząska. Trzymając się ścian, przecinających tę krainę wąskich parowów, rozglądali się gorączkowo za jakąś pieczarą, bądź nawet nawisem skalnym, który chociaż trochę osłoniłby ich przed deszczem. Na próżno.

Rozsnuwając nad ziemią przedczesny mrok, nadpływały zbite w gęstą, skłębioną masę ciemne chmury. Postrzępiony błysk purpurowego światła rozdarł niebiosy i niemal natychmiast rozległ się ogłuszający łoskot uderzającego w pobliżu pioruna. Nastąpiła chwila niespokojnej, drażniącej ciszy, a zaraz potem pierwsze podmuchy wiatru przyniosły z oddali jednostajny, groźny szum. Spojrzeli w tamtą stronę i mocniej przywarli do skały. W ich kierunku pędziła przesłaniająca świat biała kurtyna, ściana deszczu. Wędrować dalej bez światła przez zalewane potokami wody skażone ziemie byłoby czystym szaleństwem. Wymizerowani wędrowcy skupili się w gromadkę, próbując się ogrzać własnym ciepłem. Przymykając oczy przed blaskiem potężnych błyskawic, patrzyli, jak środek parowu zmienia się w rwący potok, którego wody starannie wypłukują glebę spomiędzy szklistych skał. W pewnej chwili Fors odpiął manierkę i, nie próbując nawet przekrzyczeć burzy, gestami pokazał Arskane'owi, by ten postąpił tak samo. Otwarte naczynia ustawili na kawałku płaskiej skały, uzupełniając w ten sposób zapasy wody. Woda w strumieniu mogła być skażona, natomiast spływające z góry strugi najprawdopodobniej były wolne od zanieczyszczeń.

Lura była najniezwyklejsza z całej trójki. Deszcz spływał bez przeszkód po gładkiej skórze ludzi, a strzępy odzieży, jakie mieli na sobie, również nie zatrzymywały go zbyt wiele. Natomiast futro kota znajdowało się w oplakany stanie i Fors zaczął się zastanawiać, ile

czasu zwierzę będzie musiało poświęcić na doprowadzenie sierści do ładu. W zachowaniu Lury było jednak coś zastanawiającego. Od chwili, gdy weszli w Krainę Wybuchu, ani razu nie wydała najmniejszego dźwięku i nawet teraz, choć wierciła się niespokojnie, nie skarżyła się na swój los, a przecież znacznie mniejsze niedogodności budziły zazwyczaj jej gorący protest. Powodowany nagłym impulsem spróbował odczytać myśli zwierzęcia. Wiele razy udawało mu się nawiązać kontakt z jej psychiką, wiedział więc, że o ile tylko Lura pozwoli, będzie w stanie spenetrować jej wnętrze. Tym razem jednak jego skoncentrowany umysł napotkał pustkę. Czuł na nodze dotyk mokrego futra, a równocześnie zdawał sobie sprawę, że zamieszkująca je istota odeszła daleko.

Skupił się jeszcze bardziej i po jakimś czasie nadpłynęło budzące zdziwienie wrażenie. Wielki kot nasłuchiwał. Nieruchomy, napięty, bez reszty pochłonięty był odbieraniem docierających z oddali dźwięków. Cóż mogło się za tym kryć?

Skrzyżowane ramiona położył na podciągniętych pod brodę kolanach. Wiedział, że w takiej pozycji może trwać w bezruchu przez długi czas. Oparł czoło na rękach i zamknął oczy. Powoli, bez pośpiechu, zaczął analizować i wyłączać otaczające go odgłosy - bębnienie deszczu, oddech Arskane'a, chlupot przepływającej obok wody. Na szczęście burza przesunęła się i huk piorunów zamierał w oddali. Rozróżniał tętniącą w uszach krew i własny oddech. Wyciszył je spokojnie, z największą dokładnością. Kiedyś, gdy poznawał właściwości swego umysłu, próbował już takiej sztuki, jednak tak głęboko posuwał się po raz pierwszy. Najważniejsze, że coś obudziło jego czujność, że nasłuchiwał. Teraz z pewnością przechwyci ostrzeżenie, niezależnie od tego, czy nada je Lura, czy też nadpłynie z głębi jego ciała. Po chwili koncentracji uwolnił się również od tej myśli - stanowiła zbyt duże zakłócenie.

Usłyszał słaby plusk. Zaczął budować ten dźwięk, jednak szybko odrzucił go, przekonawszy się, że wywołany jest spadającymi bryłkami ziemi, pociętymi przez wezbrane po burzy wody strumienia. Rozszerzył granice nasłuchu. Był teraz daleko i w miarę, jak ogarniało go dziwne oszołomienie, zaczął docierać do niego odgłos, nie mający nic wspólnego ani z deszczem, ani z wiatrem. Lura poruszyła się i stanęła przed nim. Podniósł głowę, a ich oczy spotkały się w niemym porozumieniu.

- Co jest? - Arskane niespokojnie wodził wzrokiem od jednego do drugiego.

Fors z trudem opanował chęć roześmiania się, na widok bezgranicznego zdumienia, malującego się na twarzy olbrzyma.

Wywołany koncentracją zawrót głowy szybko minął, a wzrok na powrót przystosował się do wypełniających noc cieni. Podniósł się i rozpoczął przygotowania do drogi - odłożył łuk z kołaczanem, zostawiając jedynie wiszący na pasie miecz i nóż. Wyminął wyciągniętą w niemym proteście rękę Arskane'a.

- Z tym jest coś, co muszę zobaczyć. Czuję, że muszę. To jest naprawdę ważne. Poczekał tutaj.

Nie bacząc na te słowa, Arskane również usiłował wstać. Fors widział, jak usta Ciemnoskórego wykrzywił grymas bólu, gdy ten niebacznie podparł się lewą ręką. Widząc nieporadne wysiłki towarzysza, chłopak potrząsnął głową.

- Słuchaj, wiesz, że jestem mutantem. Nigdy nie pytałeś, czym różnię się od innych. Otóż wyobraź sobie, że widzę w ciemnościach, nawet dzisiejsza noc jest dla mnie tylko trochę ciemniejsza, niż zwykły zmierzch, zaś mój słuch nieomal dorównuje wrażliwością Lurze. Nadszedł czas, aby z tych kłopotliwych na co dzień właściwości skorzystać. Lura!

Obrócił się i ponownie popatrzył głęboko w jarzące się niebieskie oczy.

- Zostaniesz tu z naszym bratem. Będziesz go strzegła tak, jakbym to był ja sam.

Przestępowała z łapy na łapę, nie chcąc nagiąć się do jego woli. Gdzieś w zakamarkach jej zawilej duszy narastał sprzeciw. Jednak Fors nalegał. Znał przecież bardzo dobrze koty i ich zamilowanie do

swobody oraz postępowania według własnych reguł. Nie uznawały władzy człowieka, ale ostatecznie to jego właśnie wybrała Lura, a ponieważ nie miał przyjaciół między ludźmi, zżył się z kotem może bardziej, niż ktokolwiek inny w historii Eyrie. Nie wiedział, jak silny jest to związek, ale teraz nadszedł czas, aby się o tym przekonać. Nie ulegało wątpliwości, że olbrzym nie da rady iść. Zostawić go samego - rannego i bezradnego w ciemnościach, byłoby szaleństwem. I ciągle ten nagłący, wewnętrzny nakaz, aby iść i zbadać tajemniczy dźwięk. Lura podniosła głowę. Fors wyciągnął rękę i poczuł ocierającą się o dłoń pokrytą mokrym futrem szczękę kota. Ogarnęło go przepełnione radością wzruszenie. Więc jednak zwierzę zaakceptowało jego polecenie, obdarzając przy tym, jakby na przypieczętowanie swej decyzji, jedną z najpiękniejszych pieszczot. Szczęśliwy, podrapał ją za uszami.

- Zaczekajcie na mnie - zwrócił się do obojga. -Wrócę, jak tylko będę mógł najszybciej. Musimy wiedzieć, co się tam dzieje.

Ruszył natychmiast, aby uniknąć protestów Arskane'a. Wiedział, że przetkana deszczem kurtyna nocy skryje go po przejściu kilku kroków, a wówczas Lura przejmie straż nad zwiadowcą z Południa i będą tak czekać, aż do jego powrotu.

Ślizgając się i potykając na lśniących od deszczu gładkich kamieniach, rozchlapując gęsto rozrzucone kałuże. Fors podążał trasą, którą niedawno przeszli w przeciwnym kierunku. Poruszał się szybko i pewnie, odnajdując zapamiętane wcześniej punkty orientacyjne. Deszcz zmienił się w mżawkę, a gdy wspiał się na wierzchołek górującej nad lotniskiem skały, zupełnie przestało padać. W dole widać było zbombardowane pasy i budynek, gdzie znaleźli mapy. Najciekawsze miał jednak przed sobą.

Nie ulegało wątpliwości, że to, co widzi, mimo braku ogniska, jest radą wojenną. Krag pochylonych sylwetek w jakiś przewrotny i według niego niezdrowy sposób przypominał Radę Starszych w Eyrie. Bestie siedziały tak, że ku swemu zadowoleniu widział tylko zarysy szarych sylwetek. Coś w głębi duszy powodowało, że nie miał najmniejszej chęci przyjrzeć się im dokładniej. Jedna z postaci podniosła się i stanawszy w środku koła, zaczęła podrygiwać, wydając przy tym głośne brzęczenie. Słyszac je Fors natychmiast pojął, że właśnie ten odgłos sprowadził go w to miejsce.

Wyróżniał gardłowo wypowiedziane zbitki dźwięków, które były zapewne słowami, dla niego jednak zupełnie niezrozumiałymi. Język Arskane'a i jego własny miały niegdyś wspólny początek i dlatego teraz tak łatwo mogli się nauczyć swojej mowy. Natomiast to warczenie uparcie nasuwało myśl, że jest wytworem ust i mózgu, nie mających nic wspólnego z ludzkimi.

Nie sposób było dowiedzieć się czego chciał przywódca, mógł natomiast przekonać się, jakie były rezultaty jego poleceń, co w ich obecnej sytuacji było równie ważne. Z każdym rokiem Bestie stawały się coraz śmielsze. Z początku nigdy nie posuwały się dalej, jak do skraju miasta. Teraz natomiast przebiegały leżący z dala od ruin szlak i prawdopodobnie wysyłały wokół zwiadowców. Jeśli tak było w istocie, a wszystko na to wskazywało, to pojawiło się nowe zagrożenie dla ludzkich plemion.

Przywódca raptownie przerwał i, zwracając się w stronę Forsa, wskazał ręką na ciągnące się w tym kierunku pustkowia. Chłopak skurczył się jeszcze bardziej, gdyż przez chwilę miał wrażenie, że wyciągnięty palec Bestii mierzy wprost w niego. Gest wodza wywołał żywą reakcję. Przez chwilę słychać było kilka warczących głosów, a potem z ziemi poderwały się dwie postacie. Podbiegły do skraju martwej krainy i rozpląszczyły się wśród skał. Ich głowy niemal dotykały gruntu, gdy długo i uważnie obwachiwały skażoną glebę. Badania musiały wypaść pomyślnie, gdyż wkrótce potem wszystkie stworzenia chwyciły za broń i uformowały nierówny rząd.

Fors pozostał na miejscu, by ostatecznie przekonać się, że Bestie ruszyły ich śladem, że obowiązujące dotąd tabu przestało działać. Gdy ostatni ze ścigających znalazł się w Krainie Wybuchu, zszedł na dół i pomknął do przyjaciół, szerokim łukiem omijając pozostawiony przedtem trop. Widać było, że podążające ich śladem istoty nie były wyprawą

zachwycone. Szły podrygującym wolnym krokiem, jakby w obawie, że pod ich stopami pełno jest ukrytych pułapek. Była więc szansa, że uciekinierom uda się utrzymać bezpieczną odległość. Tylko czy potrafi utrzymać dotychczasowe tempo marszu?

Najpierw dostrzegł świecące w mroku oczy siedzącej w załomie skały Lury, a zaraz potem natknął się na zniecierpliwionego Arskane'a. Rwącym się ze zmęczenia, zasapany głosem zaczął zdawać relację, a równocześnie zbierał pozostawiony wcześniej ekwipunek.

- Pomyślałem sobie - wolniejszy, lecz głębszy głos Arskane'a przerwał jego wypowiedź - że nie wiemy, jaka broń Przodków spowodowała tak ogromne spustoszenie. Czy były to tylko zrzucone tu bomby, czy też może coś jeszcze? Niezależnie od wszystkiego, serce tej krainy jest z pewnością niebezpieczniejsze, niż obrzeża. Jeśli przetniemy środek pustkowi, możemy spotkać obiecywaną wszystkim, którzy odwiedzają niebieskie miejsca, śmierć. Jeśli natomiast zboczymy na wschód...

- Nie mamy na to czasu. Mówiłem ci przecież, że pogoń depcze nam po piętach.

- To prawda. Z tego, co opowiedziałeś wynika, że kierują się naszym zapachem. Myślę, że moglibyśmy temu zaradzić.

Obutą w mokasyn stopą Arskane przeciągnął przez najbliższą kałużę, rozpryskując wokół niezliczone krople. Fors zrozumiał. Wezbrany deszczem strumień mógłby ich uratować. Co prawda, od chwili, gdy przestało padać, wody wyraźnie ubyło, istniała jednak szansa, aby przynajmniej na jakiś czas pomieszać szyki prześladowcom.

Weszli do płytkiej w tym miejscu wody. Fors objął przewodnictwo i uchwyciwszy ręką Arskane'a poprowadził go pewnie środkiem krętego koryta. Poruszali się wolniej, niż można się było tego spodziewać, gdyż potykający się co chwila, olbrzym wyraźnie opóźniał tempo marszu. Łowca przeżywał kryzys. Zmartwiony chłopak nasłuchiwał, jak jego oddech przechodzi w ochryple sapanie, czuł również na swym ramieniu zaciskające się coraz mocniej, aż do bólu, dłonie. Chłód oraz nieustanne pokonywanie, wykręcających stopy nierówności dna sprawiły, że po jakimś czasie pojawiły się ogarniające nogi bolesne kurcze. Każdy krok stawał się dla nich udręką, lecz nawet wówczas nie przystanęli, ogarnięci przemożnym pragnieniem pokonania jak największej odległości, zanim pogoń wyzbędzie się ostrożności i rozwinie pełną prędkość.

Mijały wypełnione otępiającym wysiłkiem godziny. W pewnej chwili, potknąwszy się po raz kolejny, Arskane upadł i chociaż Fors zarządził odpoczynek, nie był w stanie podnieść się o własnych siłach. Głowa opadła mu na piersi, a z wykrzywionej bólem, nieruchomej twarzy, nie można było odczytać, czy Ciemnoskóry stracił przytomność, czy może tylko zapadł w głęboki sen. Najgorsze było jednak to, że na spowijającym ramię bandażu ponownie pojawiły się, przesiąkające przez gazę, plamki krwi.

Fors ukrył w dłoniach rozpaloną twarz i spróbował uporządkować wydarzenia ostatnich dni. Czy to możliwe, że poprzednią noc spędzili jeszcze w wieżowcu? Wspomnienie miasta było odległe, jakby minął przynajmniej tydzień. Stało się jasne, że nie mogą dłużej wędrować w ten sposób. Teraz, gdy leżał na piaszczystym brzegu, nadpłynęło ogarniające całe ciało potworne zmęczenie. Pomyślał z niepokojem, że także i on nie da rady stanąć na nogach. Musi się zdrzemnąć, tylko na chwilę i zaraz ruszą dalej. Skąd wziąć żywność? Jak duża jest Kraina Wybuchu? Co się stanie, jeśli będą nią iść, może przez wiele dni. Umrą, zanim osiągną drugi brzeg. Może byłoby lepiej wybrać jakieś miejsce, choćby to, i stanąć do ostatniej potyczki z Bestiami? Ponownie potarł piekące oczy. Mimo wyczerpania bał się zasnąć. Nagle przypomniał sobie Lurę.

Leżała, płasko rozciągnięta na podwyższonym występie skalnym i spokojnie lizała łapę, przerywając od czasu do czasu, aby rozejrzeć się dookoła. Ona również była senna, lecz na odmienny, koci sposób, dzięki czemu nawet gdy zaśnie, zdąży zaalarmować go o nadchodzącym niebezpieczeństwie. Uspokojony tą myślą oparł głowę na ramieniu Arskane i natychmiast zasnął.

Rozdział 10
Pojmanie

Odbijający się od tłustej powierzchni nagich skał słoneczny blask boleśnie raził oczy Forsa. Wlokącym się ciężko przez pustkowia wędrowcom przybyła nowa udręka - nękający kolejnymi nawrotami, coraz bardziej absorbujący umysł głód. W zasięgu wzroku mieli tylko wyprażoną słońcem, jałową dolinę bez najmniejszego śladu życia. Fors był coraz bardziej zdenerwowany, zdawał jednak sobie sprawę, że jego cierpienia są niczym w porównaniu z katuszami, jakie przechodził Arskane. Łowca miał szklisty wzrok, mamrotał nieprzytomnie i trzeba go było prowadzić za rękę, niczym zmęczone dziecko. Na przybrudzonym bandażu ciemniała brunatna plama skrzepłej krwi - jedyna szczęśliwa okoliczność, gdyż dalsze krwawienie mogłoby być zabójcze dla wycieńczonego organizmu.

Gdzie leżał kres tej przeklętej pustyni? O ile nie zabłądzili, zataczając niezliczone kręgi, to musieli już przebyć wiele mil krainy, pełnej wąskich wawozów i skalistych płaskowyż, a mimo to, ze szczytu każdego napotkanego wzniesienia roztaczał się wciąż ten sam, spustoszony atomowym ogniem krajobraz.

- Wody - Arskane przeciągnął spuchniętym językiem po spierzchniętych wargach.

Tak liczne wczoraj kałuże i strumyki zniknęły bezpowrotnie, wchłonięte błyskawicznie przez spękaną ziemię. Fors oparł olbrzyma o najbliższą, dającą nieco cienia skałę i sięgnął po manierkę. Próbując opanować drżenie rąk, aby nie uronić kropli bezcennego płynu, wyciągnął powoli naczynie w stronę chorego, który półprzytomnym wzrokiem śledził w napięciu każdy jego ruch, a gdy uznał, że manierka jest dostatecznie blisko, sięgnął po nią gwałtownie. Po rękę popłynęła strużka wody. Srebrzyste krople, jedna po drugiej, odrywały się od wzniesionego łokcia, wypełniając niewielkie zagłębienie skały. Fors popatrzył smutnie na roztrwoniony skarb, nie odważył się jednak wypić cieczy, która zetknęła się ze skażoną ziemią.

Począł, aż Arskane pociągnął dwa łyki, po czym przemocą odebrał mu manierkę, co na szczęście nie było trudne, gdyż łowca opadł z sił do tego stopnia, że można było nim kierować. Przypinając bukłak do pasa patrzył pod nogi i tylko dzięki temu dostrzegł coś, co wprawiło go w największe zdumienie.

Z plamy rzucanego przez zwilżoną skałę cienia pełznął w kierunku rozlanej wody jakiś obcy kształt. Ciemnozieloną powierzchnię pstrzyły gęsto rozrzucone rudo-żółte cętki, na widok których, powodowany odwieczną niechęcią człowieka do gadów, chłopak wzniosł stopę, zamierzając rozgnieść zniechęconą żmiję. Śmiertelny cios nigdy jednak nie spadł, gdyż w ostatniej chwili spostrzegł, że ma przed sobą nie wijące się ciało węża, lecz długą łodygę niezwykłej rośliny. Spłaszczony koniec pędu piał się w górę, zataczając niewielkie półkola, a gdy sięgnął górnej krawędzi skały, skrzył ostrym łukiem, pograżając się w resztkach wilgoci. Teraz z ukrycia wysunęła się cała roślina i Fors ujrzał trzy sztywne, mięsiste liście, otaczające wysoki, centralnie umieszczony, zwieńczony czerwoną bulwą odrost. Wessawszy ostatnią kroplę, łodyga uniosła się i rozpoczęła wędrówkę w odwrotnym kierunku, aż zupełnie zniknęła wśród liści, a całość wróciła na swe poprzednie miejsce w cieniu. Ponownie zapanował bezruch i gdyby nie ciemniejący obok wygłębienia wilgotny ślad, można było by pomyśleć, że to wywołane przez głód i pragnienie przywidzenia.

Więc jednak w Krainie Wybuchu istniało życie, zdumiewająco obce, ale zawsze życie. Co prawda, dotychczas stykał się jedynie z takimi formami życia roślinnego, w których korzenie tkwiły nieruchomo w glebie, lecz owa dziwna odmiana rośliny natchnęła go nadzieją - skoro na atomowej pustyni istniało życie, wędrujące w poszukiwaniu pożywienia, czyż ludzie mogliby stać nieruchomo w miejscu? Uśmiechnął się - myśl wydała mu się bardzo dowcipna, powtórzył więc ją Arskane'owi, ten jednak mruknął tylko coś niezrozumiale.

Koszmarny marsz zdawał się nie mieć końca. Fors ostatkiem sił posuwał się do przodu, z uczezionym jego ramienia, półprzytomnym Ars-kane'm. Raz po raz musiał przystawać i podrywać na nogi osuwającego się łowcę. Idąc, wybierał sobie jakiś punkt orientacyjny - samotną skałę, lub szczególnie dużą wydmy, dzięki czemu miał jeszcze jakie takie poczucie odległości i kierunku. Za każdym razem, gdy osiągnął upatrzony drogowskaz, spoglądał z nadzieją na horyzont, a widząc wciąż te same, beznadziejnie żółte skały, obierał następny znak, a jeszcze potem następny...

Czasami, w zalegających pod ścianami niebieskoczarnych płachetek cienia, dostrzegał lekkie poruszenie. Zmęczony nie chciał zastanawiać się, czy napotkał kolonię poszukujących wody roślin, czy też może innych mieszkańców tego piekła, zresztą było mu to zupełnie obojętne. Ważne było jedno - cały czas iść przed siebie, iść i wierzyć, że gdy wejda na kolejne wzniesienie, ujrzą w dole bujną zieleń zdrowego świata.

Od czasu do czasu w zasięgu wzroku pojawiała się Lura. Jej zazwyczaj lśniące futro było zmierzwiłone i brudne. Kot podbiegł bliżej, szedł obok kilka kroków, po czym niknął w oddali, jak zawsze czujny i jak zawsze zajęty własnymi sprawami. Jeśli nawet komuś udało się odnaleźć ich trop, nie zbliżył się na niebezpieczną odległość.

Arskane poruszał się z coraz większą trudnością. W pewnym momencie zachwiał się i runąłby jak długi, gdyby Fors nie podparł go ze wszystkich sił. Wkrótce potem sytuacja powtórzyła się, tym razem jednak chłopak nie utrzymał ciężaru bezwładnego ciała i obaj wyładowali na piasku. Chcąc pobudzić towarzysza do dalszego wysiłku, skropił mu twarz wodą i przytknął do ust manierkę. Kuracja poskutkowała, lecz pochłonęła resztę drogocennej cieczy. Pozostała im już tylko nadzieja.

Weszli w labirynt wąskich parowów. Klucząc w poszukiwaniu wiodącego w obranym kierunku przejścia, zgięty w pół Fors, krok po kroku ciągnął za sobą ciemnoskórego łowcę. Gdy przystanął, aby zetrzeć zalewający oczy pot, odruchowo spojrzął przed siebie, a to, co zauważył sprawiło, że ciałem jego przebiegł potężny przywracający siły dreszcz. Rozgorączkowanym umysłem targnęła nagle wątpliwość. Co się stanie, jeśli to pomyłka, jeszcze jedno złudzenie? Było przecież już prawie ciemno.

Popatrzył jeszcze raz. Nie, teraz już miał pewność. W oddali kołysały się wierzchołki drzew i wzruszony pomyślał, że czerniejące na tle wieczornego nieba gałęzie nigdy jeszcze nie wyglądały tak pięknie. Zarzucił ręce chorego na barki, odrzucił łuk, kołczan i worek, po czym, nie zważając na ból i zmęczenie, pomknął w stronę zbawczej zieleni.

Później, po zdającym się trwać tygodnie biegu, leżał wtulony w zwyczajną, miękką ziemię i, zamknawszy oczy, wciągał głęboko przepojone wilgotnym zapachem liści powietrze. Nadleciał wieczorny wiatr, wpadł między drzewa z szumem poruszając ich żywymi, zielonymi liśćmi. Odgłos ten wyrwał go z błogiej zadumy. Podniósł głowę i popatrzył dokoła. Arskane leżał tam, gdzie go zostawił, w międzyczasie przewrócił się tylko na plecy. Łowca spał - widział, jak zakryte powiekami oczy wykonują szybkie ruchy.

Fors ciężko westchnął. Przed nastaniem nocy musi wrócić po łuk i worek. Zacisnął zęby, aby nie krzyknąć, gdy zmusił obolałe ciało do ruchu. Zrobił parę kroków i nateżenie bólu zelżało. Rozejrzał się trochę przytomniej. Nigdzie nie mógł dostrzec Lury. Było to nieco dziwne, przypomniał sobie, że ostatni raz widział ją koło południa. Nie miał jednak czasu na dłuższe namysły. Musi odzyskać worek. Przecież kryły się w nim ostatnie dowody, potwierdzające istnienie miasta.

Kręciło mu się w głowie, gdy, z trudem przebierając grzęznącymi w piachu nogami, ruszył wzdłuż pozostawionej wcześniej linii śladów. Nawet, jeśli zapadną kompletne ciemności, potrafi odnaleźć drogę powrotną.

Wokół niego zamknęły się ściany pierwszego wąwozu. Obejrzał się do tyłu, lecz z miejsca, w którym stał, widział tylko korony drzew. Robiło się coraz ciemniej, powinien się...

Eksplodujący w głowie tępy ból przerwał tę myśl. Czuł, że pada i próbował wyciągnąć ręce, aby złagodzić zderzenie z ziemią. Nim jednak zdążył cokolwiek zrobić, odczuł odległy wstrząs. Przez chwilę patrzył bezmyślnie w niebo, a zaraz potem zapadł w bezdenną czerń. Najpierw pojawił się pulsujący, rozsadzający głowę ból, a w chwilę później niejasna myśl, że ktoś go uderzył. Czarna zasłona cofnęła się wtedy

- dotarło do niego, że jest w ruchu, a każdy wstrząs odzywa się w jego głowie zwielokrotnionym, grzmiącym echem, rozbijając na kawałki nieskładne, gorączkowe obrazy. Gdy podróż dobiegła kresu, ponownie znalazł się na ziemi, tłukąc do krwi zebra i łokcie o gęsto rozsiane odłamki skał. Rzucono go na niewielką pochyłość, zaczął więc staczać się ze zbocza, dopóki zatykający oddech kopniak w bok nie zatrzymał go na dobre. Poczul odrażający, mdlący smród i przytomniejąc do reszty pojał natychmiast, w których znalazł się rękach. W dalszym ciągu leżał bezwładnie z zamkniętymi oczami, chcąc, aby prześladowcy jak najdłużej sądzili, że jest nieprzytomny.

Był skrępowany. Nie mógł ruszać związanymi w kostkach nogami, a wykręcone na plecy ręce były ciasno owinięte wpijającym się w ciało rzemieniem. Fors czuł, że zdążyły już zdrętwieć i z każdą chwilą zdawał sobie coraz lepiej sprawę z własnej bezradności. Mógł tylko nasłuchiwać i próbować zgadnąć, czym zajmują się jego oprawcy. Z panującego zamieszania domyślił się, że przygotowują obozowisko na noc. Słyszał głośne chrząknięcia, chróbot trących o twardą skórę pazurów, a po chwili, poprzez unoszący się wokół obrzydliwy odór, przebił się nikły zapach dymu. Zaintrygowany ośmielił się zerknąć spod lekko uchylonych powiek.

Bestiom udało się rozniecić niewielki płomień i teraz podsycali go kępkami zrywanej na zboczach dolinki ostrej trawy. Jedno ze stworzeń wkroczyło w krag światła, obładowane naręczem znanych już Forsowi roślin i natychmiast cisnęło je w ogień. Twory owe żyły jeszcze, toteż gdy tylko poczuły morderczy żar, usiłowały przed nim uciec. Rozpełzły się we wszystkich kierunkach, nie miały jednak szans, wobec znacznie szybszego przeciwnika, który wprawnymi ruchami podnosił jedno po drugim ku pożółkłym kłom, z głośnym pomrukiem zadowolenia miażdżył nimi czerwone bulwy i wyssawszy całą wilgoć, odrzucał zwiotczałe szczątki na ogień. Fors z trudem przełknął ślinę - czy spotka go taki sam los?

Krząająca się opodal Bestia obróciła się ze zwierzęcą szybkością, przez chwilę obserwowała uważnie ścianę parowu, po czym błyskawicznie pochyliła się chwytając szponiastą dłonią jakieś niewielkie, wyrwijące się z przenikliwym piskiem zwierzę. Zadowolony z siebie myśliwy wrócił do ognia, aby pochwalić się zdobyczą. Po drodze zatrzymał się przy sterczącej samotnie skałce i kilkakrotnie uderzył o nią rozpaczliwie miotającym się ciałem, aż nieruchome zwisło mu w dłoni. Swym sukcesem wzbudził zazdrość kompanów, którzy rozbiegli się wśród zalegających dno doliny skał, roztrącając z szelestem suche zarośla.

Ze znajdującego się za plecami Forsa rumowiska dobiegł delikatny odgłos, jakby coś małego przemykało się między kamieniami. Domyślił się, że nieznanne zwierzęta, których musiało być w okolicy więcej, szukały schronienia przed okrutnymi łowcami. Bestie skończyły właśnie przeczesywanie dolinki, zbiły się w luźną gromadę i, głośno komentując przebieg poszukiwań, ruszyły z powrotem w stronę ogniska. Pochód zamykał najwolniejszy osobnik, któremu nie udało się nic schwytać, zlorzeczył więc zniechęcony, z wściekłością zrywając mijane po drodze trawy. Gdy zdobycz została ułożona na kamieniach. Fors po raz pierwszy mógł przyjrzeć się jej dokładniej, a wówczas okazało się, że są to jaszczurki - podobne do tych, jakie od dziecka obserwował, wygrzewające się na słońcu wśród załamków skał. Zastanawiający był tylko ten kształt głowy - nim jednak zdołał uchwycić szczegóły, nabite na patyk tuszki zawisły nad ogniem. W obozie krzątały się cztery Bestie. Nie wiedział, czy reszta pościgu wycofała się, czy też, co było bardziej prawdopodobne, oddział rozdzielił się, jednak nawet ta czwórka stanowiła przeszkodę nie do pokonania.

Korzystając z chwili spokoju, zaczął obserwować swych prześladowców. Byli mniej więcej jego wzrostu, lecz przeraźliwa chudość poruszających się chwiejnie na patykowatych nogach ciał sprawiała, że wydawały się znacznie wyższe. Szarą, mocno opiętą na sterczących kościach skórę, pokrywały duże, przypominające łuskę gruzła, zaś jedyną odzież stanowiły strzępy owiniętych wokół bioder brudnych szmat. Najstraszniejsze były bez wątpienia twarze.

Fors zmuszał się do patrzenia, chcąc utrwalić w pamięci każdy szczegół. Starał się potraktować obraz w miarę możliwości obiektywnie, odrzucając wywołane potwornymi rysami obrzydzenie. Głowy Bestii w ogólnym zarysie przypominały ludzkie, jednakże szczegóły składające się na całość - oczy głęboko ukryte pod grubymi kośćmi czaszki, wydłużone szczęki, ponad którymi dwa niewielkie otwory kazały domyślać się nosa oraz ostre, mocne kły, których wąska smużka warg nigdy nie przesłaniała do końca - tchnęły obcością, były w jakiś przerażający sposób zwierzęce. Poczul, jak włosy jeżą mu się na głowie - przecież znał te kształty. To, co widział, to przecież nic innego, jak tylko powiększone do przerażających rozmiarów, zdeformowane szczurze pyski.

Trząśł się cały, nie mogąc zapanować nad miotającym się w środku strachem. Nagle stężał. Gdzieś z tyłu stoczył się kamień, potem drugi. Ktoś schodził z boczem, nie próbując ukryć swej obecności. Po chwili coś nim szarpnęło, usłyszał głuche tapnięcie, jakby na piasek spadł ciężki przedmiot, a jego ciało zetknęło się ze zmierzwionym futrem. Kroki ucichły w oddali, więc ośmielony spojrzał na nowego jeńca.

Tuż obok ze wzrokiem płonącym bezsilną wściekłością, ze spętanymi rzemieniem łapami i zaciśniętą na szczękach pętlą leżała Lura. Poruszała nerwowo ogonem, lecz gdy tylko ich oczy spotkały się, zdyszała spokoj. Fors podjął rozpaczliwe wysiłki, by zbliżyć się do zwierzęcia, jednak wprawnie założone więzy nie pozwalały na najmniejszy ruch.

Do grupy przy ognisku dołączyły jeszcze dwie Bestie i teraz wyklócały się o swój przydział żywności, napotykając ze strony wcześniej przybyłych jedynie na drwiny, aż wreszcie któraś warknęła krótki rozkaz i wtedy, bez dalszej zwłoki, wydzielono im skąpe racje mięsa. Zjedli w milczeniu, a gdy przywódca skończył, wytarł z grubsza swe krogulcze palce o udo, po czym przystąpił do oględzin złożonych przed nim przedmiotów.

Fors rozpoznał swój łuk. Bestia uderzyła kciukiem w cięciwę, budząc wysokie brzęczenie napiętej linki. Zdumiona, przysłuchiwała się chwilę, widocznie jednak dźwięk nie spodobał się jej, gdyż dziko wyjąc złamała drzewce i cisnęła je w ogień. Potem przyszła kolej na kołczan, lecz zanim powędrował w ślad łuku, strzały zostały przejrzone, a ich stalowe groty ułamane i odłożone na oddzielny stosik. Gdy stworzenie sięgnęło po ostatnią zdobycz - worek Gwiaździstego, Fors odruchowo zagryzł dolną wargę, czując, jak na język spływa mu słona strużka krew. Bezcenne przedmioty znalazły się na piasku, skąd sztuka po sztuce niknęły w płomieniach. Mapa, dziennik, wszystko, oprócz małych figurek z muzeum, które zdawały się fascynować wodza Bestii.

Zbadawszy w ten sposób łupy, stworzenie skierowało się z kolei ku jeńcom. Fors leżał bezwładnie, całą siłą woli zmuszając się do rozluźnienia wszystkich mięśni. Ponownie zadany z zapierającą dech siłą kopniak oddzielił go od Lury, wtaczając w krąg rozświetlany płomieniem ogniska. Nadludzkiem wysiłkiem starał się opanować gniew i ogarniające go coraz bardziej mdłości, czując, jak ohydne, szorstkie łapy zdzierają zeń całą odzież i obmacują ciekawie jego ciało. Co spotka go za chwilę, nóż, czy może raczej uderzenie, na tyle mocne, by rozłupać skołataną głowę? Mijały nie kończące się sekundy, podczas których nic się nie działo. Choć trudno mu było w to uwierzyć, pozostawiono go tymczasem w spokoju, całe zainteresowanie przenosząc na Lurę i teraz ona przechodziła szczegółowe badania.

Ktoś chwycił za krępujący nadgarstki rzemień, szarpnął energicznie za tak zaimprovizowany uchwyt, a gdy Fors ruszył z miejsca, zdzierając skórę ^ grzbietu na ostrym żwirze, pociągnął go na poprzednie

miejsce. Mijając Lurę widział jej przeżące się gwałtownie ciało - wszystko burzyło się w kochającym wolność kocie przeciwko takiemu traktowaniu. Wkrótce potem leżeli znowu razem, mocno przyciśnięci do siebie.

Fors zasnął. Gdy się ocknął, z nieba sączyło się szare światło przedświt.

Przy niewielkim ognisku sennie kołysał się skulony strażnik, reszta spała głęboko, zwinięta w kłębki.

Chłopak nie dał się zwieść pozornym spokojem. Coś go zaalarmowało, nasłuchiwał więc w napięciu, aż dźwięk się powtórzył. Nie czekał długo

- spomiędzy skał nadbiegł znany odgłos - słyszał go wieczorem i teraz nie miał już wątpliwości, że wśród kamieni przemykały liczne jaszczurki. Zaczął zastanawiać się, dlaczego zwierzęta zdecydowały się na powrót w tak niebezpieczne miejsce. W miarę, jak robiło się coraz widniej, dostrzegał coraz więcej szczegółów i w pewnej chwili zauważył, co otaczało ściany dolinki. Tarasy, setki tarasów, niektóre kilkucalowe, inne - szerokie na parę stóp

- niezliczonymi stopniami pięły się ku górze. Starannie zbudowane, o ścianach wyłożonych niewielkimi kamykami, wypełniały każdy, nawet najmniejszy skrawek gruntu. Utworzone w ten sposób małe poletka porastała trawa, którą Bestie podsycaly swoje ognisko. W ciągu nocy ogołociły niemal połowę zasiewów. Nawet teraz, gdy patrzył, strażnik wrócił z naręczem łodyg zerwanych z dwóch kolejnych działek.

Jaszczurki i tarasy - czy są ich dziełem? A te czarne dziury, rozmieszczone wzdłuż najwyższego kręgu, co się w nich kryje? Poznał odpowiedź, gdy w jednym z otworów ukazała się pokryta niską głową z wyrastającym z czoła szerokim grzebieniem, a osadzone w niej błyszczące oczy uważnie wpatrywały się w najeźdźców.

Wiedząc już, czego szukać. Fors podniósł wzrok na górną krawędź kotliny. Głowy. Głowy wychylały się co chwila z nor, spoza większych kamieni, czy wyższych fragmentów tarasów, aby w razie najmniejszego podejrzenia zniknąć z gadzią szybkością. Poruszały się niemal bezszelestnie, kształtem i barwą tak zlane z otoczeniem, że tylko ktoś, kto wiedział, czego się spodziewać, mógł je zauważyć.

O ile zaskoczona nocną napaścią jaszczurki umknęły, to teraz wracały ze znacznymi posiłkami. Cóż jednak mogły zdziałać te najwyżej dwudziestocalowe zwierzęta, wobec siły Bestii, które były w stanie złamać im kark dwoma palcami. Wszystko wskazywało na to, że zebrana armia pójdzie w rozsypkę, miażdżona stopami nielicznego, lecz potężnego przeciwnika. Jednak małe gady nie wydawały się być tym poruszone, jakby nie zdawały sobie sprawy z niekorzystnego położenia.

W dół zbrocza ruszyło kilku zwiadowców. Od czasu do czasu Fors dostrzegał smukłe kształty, błyskawicznie pokonujące przestrzeń między jednym a drugim ukryciem, ciągle w dół, w stronę wroga. W pewnej chwili dostrzegł coś, co zupełnie nie mieściło mu się w głowie. Z umieszczonej na przeciwległej ścianie doliny nory wyszło kilkanaście jaszczurek. Nie czyniły zbędnego hałasu, ale też nie próbowały się ukryć, śmiało schodząc w kierunku Bestii. Przystanął dopiero na skraju pola, do którego nie dotarli jeszcze najeźdźcy. Zdumiewające było, że poruszają się na zadnich nogach w jakiejś nieprawdopodobnej parodii ludzkiego kroku, niosąc coś troskliwie w krótszych przednich kończynach. Zwierzęta weszły w głąb zarośli i przy- ^ stały do pracy. Fors zapragnął przetrzeć oczy. Jaszczurki zrywały trawę, układając porządnie żdźbła i zbierając je w sterty. Pracowały szybko i spokojnie, żadna nie spojrzała w dół, jakby nie dostrzegały wokół siebie niczego niezwykłego.

Chłopak chciał poderwać się na nogi, aby krzykiem ostrzec pracowite stworzenia: niech ukryją się, zanim zostaną dostrzeżone przez okrutne Bestie. Z drugiej strony pamiętał o zgromadzonej wokół kotliny ponurej armii. Potem zaczął mu się układać plan przypuszczalnego działania obrońców, więc podniecony uniósł głowę, chcąc lepiej widzieć rozwijające się wokół wydarzenia.

Przynęta! Uwijające się na polu jaszczurki były po prostu przynętą.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie padł ofiarą szaleństwa, jednak wymowa faktów była jednoznaczna. Pokryci łuską żniwiarze doskonale

orientowali się w swoim położeniu - byli bohaterami szczepu, którzy, najprawdopodobniej dobrowolnie, zgodzili się obsadzić terasę w charakterze wabika. Przez głowę przemknęła mu smutna myśl, że wszystkie te pełne poświęcenia zabiegi i straty, których wielkości nie potrafił nawet przewidzieć, pójdą w końcu na mamę. Strażnik ziewnął, splunął w ogień i leniwie się przeciągnął. Nagle uwagę jego przyciągnął ruch na jednym z tarasów. Warknął zaskoczony, odsłaniając w grymasie poplamione, żółte kły, po czym szturchańcami zaczął budzić najbliższego ze śpiących. Początkowo wyrwana ze snu Bestia okazywała wyraźną złość, lecz na widok małych rolników szybko starła z oczu resztki snu i przystąpiła do działania. Spod stóp zebrała garść kamieni wielkości włoskiego orzecha, podzieliła się nimi ze strażnikiem, po czym obie rozpoczęły zaskakująco celną kanonadę. Dwie jaszczurki od razu padły, a wywołany sukcesem ryk triumfu poderwał na nogi resztę obozu. Fors nie miał wątpliwości, że dzielne stworzenia poruszały się w kie' runku schronienia wolniej, niż były w stanie. Ze ściśniętym sercem patrzył, jak jedna po drugiej jaszczurki giną, przed osiągnięciem bezpiecznych nor. W pewnej chwili dotarło do niego, że jego mimowolni sprzymierzeńcy nie zamierzają uciekać. Spokojnie, z godnością oddawali życie za powodzenie jakiegoś skomplikowanego planu.

Nie mógł dłużej patrzeć na okrutną rzeź, obrócił więc głowę ku przeciwległej ścianie doliny. Po chwili dostrzegł poruszenie wśród traw - łodygi rozchyliły się lekko, a z prześwitu wystrzeliła ku niebu mała kulka, która po krótkim locie opadła na ziemię w pobliżu obozowego ogniska. Teraz ożyło całe zbocze, zasypując dno parowu gradem brązowych kulek, kolorem tak zbliżonym do barwy podłoża, że z chwila, gdy znalazły się wśród luźno rozrzuconych kamieni, stały się niemal niewidoczne. Jedna z nich spadła na płaską skałę, odbiła się od niej i znieruchomiała w pobliżu, dzięki czemu mógł przekonać się, czym były w istocie.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że ma przed sobą kulisty, wykonany z gliny przedmiot. Tylko tyle. Przyjrzawszy się dokładniej, odkrył jeszcze pokrywające gęsto całą powierzchnię niewielkie ciemne. Czemu miało to ' służyć? Jeśli były to pociski, mające ranić Bestie, dlaczego wystrzelono je, gdy agresorzy znajdowali się w drugim końcu doliny? Zastanawiał się nad tym, patrząc na wesoły powrót obładowanych martwymi jaszczurkami zwycięzców.

Pomimo wypełniającej go odrazy nie potrafił pokonać gwałtownego skurczu głodnego żołądka, gdy w powietrzu rozszedł się zapach pieczystego. Bez skutku usiłował przypomnieć sobie ostatni posiłek, czując, jak gdzieś w środku narasta bolesne ssanie, miał jednak jeszcze na tyle rozsądku, że nie próbował zwracać na siebie uwagi drapieżników zajętych rozszarpywaniem na wpół surowego mięsa. Jedna z Bestii, sięgając po kolejną jaszczurkę, krzyknęła nagle i wyrwawszy coś z ramienia, odrzuciła ze złością. Była to kolczasta kulka obrońców, którą niebacznym ruchem ucztujące stworzenie wbiło sobie w rękę.

Fors wpatrywał się w napięciu, licząc na jakąś sensację, wyglądało jednak na to, że poza chwilowym bólem, kolce nie wywołały żadnej szkody. Widział, jak na zjeżone kolcami kulki nadepnęło dwóch dalszych najeźdźców. Ten, który wybrał się na poszukiwanie nowej porcji roślin, zwrócił jego szczególną uwagę, gdyż w drodze powrotnej zaczęło się z nim dziać coś dziwnego. Szedł powoli napiętym krokiem, przystając często i potraszając wąską głową. Po chwili ciągnął dłońią po oczach, próbując jakby zetrzeć przesłaniającą je mgłę.

Horda kończyła posiłek. Ugasiwszy pragnienie. Bestie pozostawiły piętrzący się przy ogniu stos dokładnie wyczyszczonych kości, całą uwagę skupiając z kolei na pojmanyh. A więc to już. Twarz Forsa wykrzywił grymas. Patrzył na zbliżające się stworzenia, a pamięć cały czas podsuwała mu obraz wbijanej żywcem na rożen, rozpaczliwie piszczącej jaszczurki o połamanych łapkach. Otoczył go ciasny krąg rozweselonych biesiada istot. Przez jakiś czas zabawiały się kopaniem i poszturchiwaniem jeńca. Z siły ciosów wywnioskował jednak, że przynajmniej na razie nie zamierzają go zabić. Co więcej, sam przywódca z jego własnym nożem w garści pochylił się nad skrzępowanymi

nogami, chcąc najwyraźniej rozciąć rzemień, w czym niespodziewanie przeszkodził mu głośny ryk najbliższego sąsiada, który z pianą w kącikach ust zaczął szarpać kłami własne ramię. Wyrwał wielki, krwawy płat ciała i wyjąc dziko pomknął ku wylotowi doliny. Warcząc ze zdumieniem, reszta hordy pozostała na miejscu, patrząc, jak ich kompan zgina się wpół i krzycząc z bólu pada w sam środek ogniska. Trucizna. Dopiero teraz Fors pojął całą przebiegłość jaszczurek, wartość poświęcenia małych żniwiarzy. Kolczaste kulki były zatrute. Trucizna działała powoli, dlatego musiał minąć pewien czas, zanim wystąpiły pierwsze objawy. Czy jednak wszystkie Bestie zetknęły się z cierniami?

Najdłużej żył przywódca. Udało mu się dotrzeć niemal do skraju kotliny. Jego pazury z chrobotem darły skałę, gdy usiłował przerzucić skręcone bólem ciało poza krawędź śmiertelnego kotła. Nie dał już jednak rady. W pewnym momencie z głośnym jękiem odchylił się w tył i potoczył w dół zbocza, by znieruchomieć dopiero na samym dnie, obok pozostałych uczestników pościgu.

Przez chwilę wszystko trwało bez ruchu; a potem zbocza ożyły, zapełniając się mrowiem czerwono-brązowych jaszczurek, biegnących w stronę martwych Bestii. Fors oblizwał spierzchnięte wargi. Czy potrafi się z nimi porozumieć, czy zechcą uwolnić go z więzów? Sam był przecież bezradny, od dawna stracił czucie w skrępowanych rękach i nogach. Długo się wahał, nim postanowił zwrócić na siebie uwagę stłoczonych wokół zabitych Bestii stworzeń. W końcu spróbował wmieszać się w radosny gwar piszczących głosów, sam się jednak zdziwił, gdy usłyszał spomiędzy wyschniętych warg wydobywające się ochryple krakanie, w niczym nie przypominające ludzkiej mowy. Tym niemniej efekt był natychmiastowy. Wszystkie jaszczurki obróciły się w jego kierunku, poczuł na sobie spojrzenia setek zimnych, obojętnych oczu. Kilka z nich podeszło bliżej i pochyliwszy ku sobie zdobne w grzebienie głowy, radziło nad czymś zawzięcie. Doszły wreszcie do porozumienia, wróciły na poprzednie miejsca, a zaraz potem tłum zafalował i ruszył w jego stronę. Fors uniósł nieco głowę, a to, co zobaczył zmroziło go przerażeniem. Każdy z nadchodzących niósł w obu czteropalcych łapach gałęzie pełne złowieszczych cierni.

Rozdział 11

Zew bębnow

- Nie róbcie tego. Słuchajcie, jestem waszym przyjacielem - bełkotał półprzytomnie Fors, lecz słowa te nie robiły na jaszczurkach żadnego wrażenia i milczący, groźny pochód nie przystanął ani na chwilę, podchodząc coraz bliżej do miotającego się człowieka. A jednak zwierzęta zatrzymały się. Na leżącym za plecami Forsa zboczu rozległ się głośny gwizd. Wyglądało to tak, jakby jakiś potężny wódz wszystkich gadów okazał swe niezadowolenie z panującego wokół zamieszania. Słyszac niezwykły dźwięk jaszczurki znieruchomiały natychmiast, wiele z nich z uniesionymi w połowie kroku łapami. Widlasto rozdwojone języki zaczęły nerwowo migotać pomiędzy rozchyłonymi wargami, a wieńczące głowy strzępiaste grzebienie wzniosły się sztywno, nabrzmiące ciemną czerwienią. Na stoku zagrzechotały kamienie. Fors rozpaczliwie wykręcił szyję, chcąc zobaczyć, kto, lub co podążało zboczem. Ruchy Lury stały się bardziej gwałtowne, więc ponownie zaczął zastanawiać się, czy zdoła pod-pełznąć do leżącego opodal noża. Choć ręce miał spuchnięte i bez czucia, to może udałoby się powoli przeciąć krępujące kota rzemień. Ze stada wysunęła się naprzód samotna jaszczurka. Miała przy sobie kolczastą włócznię, lecz był to najwyraźniej tylko środek bezpieczeństwa, a celem zwierzęcia nie było uśmiercenie jeńca, gdyż po kilku krokach przystanąła, jej pokryte niską gardło rozszerzyło się i zadrgało wysyłając w przestrzeń świszczącą odpowiedź. Z góry nadszedł kolejny gwizd, a zaraz potem usłyszał głośno wypowiedziane słowa, od których serce jak oszalałe zaczęło mu łomotać w piersi.

- Czy możesz się ruszyć?

- Nie. Uważaj. Na ziemi pełno jest kulek z zatrutymi cierniami.

- Wiem - odpowiedź była natychmiastowa. - Leż spokojnie. Arskane gwizdnął po raz trzeci. Jaszczurki cofnęły się, pozostawiając na straży jedynie czujnego przywódcę. Po chwili Ciemnoskóry był na dole, pochyłony przecinał pęta obojga pojmanych. Pracował szybko, w milczeniu, jakby nadal groziło im jakieś niebezpieczeństwo. Fors spróbował dźwignąć się na zeszywniałych ramionach. Dla pozbawionych przez długi czas dopływu krwi mięśni był to nadmierny wysiłek, toteż drżące ugięły się, a chłopak wylądował twarzą na kamieniach podłoża.

- Nie dam rady. - Arskane już był przy nim, rozcierał spuchnięte stawy przywracając krążenie, lecz choć robił to delikatnie, wywoływany ból był tak silny, że Fors musiał ze wszystkich sił zaciskać zęby, aby nie krzyknąć. Po zdających się trwać godzinami torturach Arskane podniósł go na nogi i popchnął w stronę zbocza.

- Właż na górę.

Polecenie wydane było nagłym, niespokojnym głosem, toteż chłopak niezwłocznie rozpoczął wchodzenie, nie bacząc zupełnie na towarzyszący każdemu ruchowi ból. Daleko z przodu widział wyrwijącą wielkimi susami Lurę. Nie tracił czasu na oglądanie się za siebie, wiedział, że nie może trwonić sił, jeśli chce podołać temu zadaniu. Gdyby stromizna była większa, nie poradziłby sobie. Przecież i tak Arskane chwycił jego dłoń i ciągnął przez ostatnie nierówności. Na ramieniu łowcy kołysał się pas Forsa, z tkwiącymi w pochwach mieczem i nożem. Chłopak ucieszył się na myśl o odzyskaniu ulubionej broni - miał teraz tylko ją.

Żaden z nich nie odezwał się najmniejszym słowem. Poruszali się w miarę szybko tylko dzięki temu, że cały czas Arskane go podtrzymywał. Pod stopami poczuł trawę, a gdy na wysuszoną skórę padły krople wody, osunął się bezwiednie na ziemię, ostatnim przebłyśkiem gasnącej świadomości pojmując, że oto nareszcie jest wolny.

Nie wiedział, ile czasu minęło, zanim oprzytomniał na tyle, aby zdać sobie sprawę, że Arskane usiłuje wlać mu w gardło jakiś apetycznie pachnący wywar. Wypił łapczywie wszystko, po czym, zamknawszy oczy, zapadł w głęboki sen.

- W jaki sposób udało ci się nas stamtąd wyciągnąć? - leżąc przy ogniu zapytał Fors wiele godzin później. Spoczywał na niezwykle miękkim pościeli z paproci i zeschłych liści, podczas gdy Arskane zajęty był wygładzaniem krótkiego drzewca myśliwskiej włóczni.

- Gdy Bestie zginęły, sprawa stała się całkiem prosta. Nie ma w tym żadnej przechwałki, bracie. - Białe zęby zwiadowcy błysnęły zabawnie na tle ciemnej twarzy. - Gdyby żyły, historia mogłaby skończyć się zupełnie inaczej. Kiedy ocknąłem się na skraju lasu i stwierdziłem, że nie ma cię w pobliżu, pomyślałem najpierw, że wyruszyłeś na poszukiwanie żywności i wody. W miarę, jak rozglądałem się wokół, mój niepokój zaczął narastać. Okolica roiała się od tłustych, głupich królików, w pobliżu płynął strumień. Bez trudu zaspokoilem głód i pragnienie, a wtedy nadeszło przeświadczenie, że nie zostawiłbyś mnie samego na tak długi czas. Coś się musiało stać, ruszyłem więc z powrotem naszym śladem...

Fors przyglądał się złożonym na piersi rękoma, purpurowosinym, wciąż jeszcze krwawiącym i targanym bolesnymi skurczami.

- Co by się stało, gdybyś Arskane, nie wrócił?

- To było rzeczą dziecinnie łatwą. W pewnej chwili znalazłem miejsce, gdzie Bestie zaczęły się na ciebie. Wyglądało na to, że nie próbowały nawet zamaskować śladów swej obecności, co świadczyłoby o ich pewności siebie i braku jakichkolwiek podejrzeń. I tak, idąc spokojnie za nimi, trafiłem w końcu do doliny jaszczurek.

- Jakim cudem udało ci się je zatrzymać?

Olbrzym odłożył na bok wygładzone drzewce, całą uwagę skupiając na wybranych wcześniej ze strużyn kamykach. Oglądał je uważnie, ważył "w dłoni, po czym odkładał na jeden z dwóch stosików.

- Z plemieniem jaszczurek zetknąłem się już wcześniej na ziemi, którą zamieszkiwaliśmy, zanim zadrżały góry. Pewnego roku przekroczyły pustynię i osiedliły się w wąwozie, odległym od naszej wioski o pół dnia marszu. Zdumiały nas swym zachowaniem, więc często chodziliśmy

popatrzeć na nie z daleka. W końcu zaczęliśmy z nimi nawet handlować - w zamian za kawałki metalu otrzymywaliśmy wygrzebane z ziemi niebieskie kamyki, z których nasze kobiety chętnie sporządzały naszyjniki. Nie mam pojęcia, co im powiedziałem. Staralem się naśladować ich mowę i myślę, że twoje uwolnienie zawdzięczać należy przede wszystkim zaskoczeniu tych stworzeń. Dlatego dobrze się stało, że opuściliśmy to miejsce jak tylko można było-najszybciej. Zatrute kulki to ich najstraszliwsza broń. Widziałem kiedyś, jak używały jej przeciw szakalom i węzom. Najbardziej ze wszystkiego plemię to pragnie, aby zostawić je w spokoju.

- Tak bardzo przypominają ludzi - Fors opowiedział o żniwiarzach i poświęceniu, jakie uczynili dla dobra plemienia. Arskane wybrał trzy zbliżone ciężarem i kształtem kamienie.

- Czy możemy zatem odmówić im prawa do tej doliny? Czy nas samych stać by było na podobne bohaterstwo?

Fors patrzył zdumiony, jak Ciemnoskóry z cienkich pasków króliczej skóry spleta wokół każdego kamyka mocną siatkę. Wprost nad głową miał prześwit w gęstym listowiu. Leżąc-na plecach widział błękitne niebo ze skrawkiem przepływającej białej chmury. Było pogodnie, lecz dzisiejszy ranek po raz pierwszy tchnął chłodem - najlepszy znak, że lato się kończy. Wkrótce trzeba będzie wracać do Eyrie.

Przypomniał sobie, co stało się z workiem Gwiazdzistego i na myśl o tym spuchnięte palce zacisnęły się aż do bólu. Teraz już nie miał po co wracać do górskiej osady. Z chwilą, gdy Bestie zniszczyły zebrane dowody, przegrał swą szansę powrotu do klanu. Zostało mu tylko to, co Arskane zabrał z doliny - nóż i miecz.

- Dobrze.

Fors był zbyt przejęty, aby odwracać głowę i przekonać się, co wywołało nutę zadowolenia w głosie towarzysza. Ostatecznie Arskane nie musiał się o nic martwić. Pójdzie na południe, odnajdzie swoje plemię i zajmie należne mu miejsce wśród swego ludu.

- Teraz z żywnością nie powinniśmy mieć problemów, bracie - Fos niechętnie spojrział w jego kierunku.

Łowca stał na lekko ugiętych nogach, wysoki i silny, a nad jego głową szybko wirował całkiem bezużyteczny według Forsa przedmiot. Na trzech połączonych wspólnym węzłem rzemieniach obracały się ujęte w siatki z króliczej skóry, kamienie. Widząc zdumioną minę towarzysza, Łowca roześmiał się.

- Idziemy na południe. Gdy znajdziemy się na Równinach, przekonasz się, że jest to bardzo przydatna zabawka. Ha, oto i nasz obiad.

Pojawiła się Lura z prosięciem w pysku. Z niemal ludzkim westchnieniem złożyła ciężar przy ogniu, sama zaś położyła- się w pobliżu, bacznie obserwując ćwiartującego mięso Arskane'a.

Trzymając w garści kawałek pieczonego. Fors zaczął zastanawiać się, czy jego los jest rzeczywiście tak beznadziejny, jak mu się wydawało. Bestie zginęły. Może poczekać, aż odzyska siły i wtedy jeszcze raz wyprawi się do miasta lub jeśli niezwłocznie skieruje się do Eyrie to zdaży poprowadzić wyprawę, zanim nadejdzie zima. Obliznął tłuste palce i pograżył się w planach. Arskane coś śpiewał, a smutne tony przypominały melodię nuconą przezeń nad jeziorem. Lura oczyściła łapy, pomrukując od czasu do czasu z zadowolenia. Zrobiło się cicho i spokojnie.

- Musimy teraz rozwiązać - nieoczekiwanie odezwał się olbrzym - problem twego ubrania.

- To raczej ja muszę go rozwiązać - poprawił go sennie Fors.

- Niestety, cały mój strój pozostawiłem jaszczurkom i muszę powiedzieć, że nie mam najmniejszej ochoty upominać się o swoją własność. Arskane poprawił węzły nowej broni.

- Mylisz się. Wizyta w dolinie jaszczurek - przy zachowaniu ostrożności - może być bardzo pożyteczna. Fors usiadł.

- Dlaczego?

- Pięć Bestii zostało zabitych. Ile jednak weszło za nami do Krainy Wybuchu?

Chłopak usiłował przypomnieć sobie podpatrzoną nocną naradę. Nie potrafił powiedzieć, ile sylwetek widział wtedy w półmroku, jednak przecucie podpowiadało mu, że było ich więcej niż pięć. A jeśli tak

było w istocie, to nie powinni leżeć sobie beztrosko w pobliżu skraju przeklętej krainy. Czuł się na tyle dobrze, aby oddalić się przynajmniej na parę mil od widocznej na horyzoncie spustoszonej ziemi.

- Myślisz, że jaszczurki mogły powiększyć swą zdobycz? Arskane wzruszył ramionami.

- Teraz, gdy zostały ostrzeżone, jest to całkiem możliwe. Dla nas jednak najważniejsze są pozostałe w dolinie rzeczy. Co prawda nie masz już łuku, lecz stalowe groty strzał mogą się nam przydać.

- Chcesz ryzykować życiem, aby je odzyskać?

- Może - po czym zaczął dokładnie wypytywać o zniszczone przez Bestie przedmioty.

- Straciłem wszystko, co miało dla mnie jakąkolwiek wartość - Fors ze wzmożoną siłą odczuł swą bezsilną wściekłość. - Porwały i spaliły wszystkie notatki i mapy z worka Gwiazdzystego.

- Pozostały jeszcze groty strzał - nalegał Arskane - te przecież nie spłonęły. Choć namawiając do powrotu Ciemnoskóry mówił o strzałach, to zdecydowany upór z jakim do tego zmierzał, kazał się domyślać, że kieruje nim jakiś ukryty zamiar. Chłopak pomyślał, że sam nie ma chęci, ani potrzeby, aby jeszcze raz odwiedzić dolinę jaszczurek, toteż przez całą drogę usiłował wybić z głowy Arskane'a ten niewczesny pomysł. Dotarli do wzniesienia, z którego roztaczał się widok na scenę z niedawnych wydarzeń. Lurę zostawili daleko w tyle, na skraju Krainy Wybuchu, gdyż nie chciała iść dalej, głośno protestując przeciwko głupocie ludzi.

Stali nieruchomo i patrzyli w dół na krzątające się jaszczurki, a widok był tak odrażający, że Fors poczuł, jak jego żołądek ogarniają wywołujące torsje skurcze. Szybko przełknął ślinę i zacisnął w pięści spuchnięte palce, aby spowodowany tym ból odciągnął jego uwagę.

Jaszczurki okazały się nie tylko sprawnymi rolnikami, ale również żywiącymi się mięsem drapieżnikami, które swoje zwycięstwo wykorzystywały do powiększenia zapasów. Z dwóch Bestii pozostały już tylko lśniąca biela szkielety, a wokół pozostałych kłębił się gęsty tłum uzbrojonych w małe nożyki zwierząt. Pomiędzy nimi a prowadzącymi do nor ciemnymi otworami, krążyły nieprzerwanie łańcuchy gnących się pod ciężarem tragarzy.

- Spójrz na tę skałę po lewej - chwyt Arskane'a przejął go bólem, jednak posłusznie popatrzył we wskazanym kierunku.

Pod spękaną skałą piętrzył się stos przeróżnych przedmiotów, wśród których Fors rozpoznał resztki swych skórzni oraz pas, jaki zwykły nosić Bestie. Bardziej interesujące wydały mu się jednak ustawione w niewielkiej niszy, ponad przypadkowo zgromadzoną stertą, trzy połyskujące niebieskawo, krótkie słupki, a raczej pręciki o wysokości nie przekraczającej rozmiarów dłoni. Coś mu przypominały, musiał już je gdzieś widzieć...

Już wiedział. To, co miał przed sobą, nie było niczym innym, jak tylko figurkami zabranymi do worka Gwiazdzystego jeszcze w muzeum. Nie wiadomo, jakim zrzadzeniem losu posażki zostały umieszczone na ołtarzu, a u ich stóp zebrano rozliczne dary. Co sprawiło, że tak szybko uznano je za wizerunki bogów?

Zastanawiał się intensywnie, aż nagle doznał olśnienia.

- Arskane! Figurki w tamtej niszy zabrałem ze sobą z muzeum. a teraz, jak widzisz, jaszczurki oddają im boską cześć.

Łowca pocierał dłonią dolną szczękę w znajomym geście zastanowienia. Po chwili sięgnął do wiszącej u pasa sakwy, skąd pogrzebawszy chwilę, wy dobył jeszcze jeden podobny posażek.

- Myślę, że stało się tak za przyczyną tego - palec Forsa dotknął głowy maleńkiej rzeźby, w której nieznanemu artyście ludzką sylwetkę obdarzył pierzastą głową drapieżnego ptaka.

- Jedna z tych figurek ma głowę jaszczurki lub jakiegoś zwierzęcia do niej podobnego.

- Masz rację. Widać to nawet stąd.

Arskane bez słowa zaczął schodzić pochyłością zbocza, od czasu do czasu wydając świszczący odgłos, taki sam, jak wówczas gdy śpieszył z pomocą uwięzionym. Wśród jaszczurek zawirowało, przez chwilę miotają się we wszystkich kierunkach, aby błyskawicznie zniknąć wśród skał

pozostawiając opustoszałe dno doliny tchnące ciszą i złudnym spokojem.

Uzbrojony w nieodzowną myśliwemu cierpliwość, Łowca odczekał dłuższy czas, nim zagwizdał ponownie. W dwóch palcach wyciągniętej do przodu ręki trzymał podobiznę ptasiogłowej postaci, która w słonecznym świetle lśniła czystym, niebieskim blaskiem. Sposób okazał się skuteczny, gdyż wkrótce potem z ukrycia wyłoniły się pierwsze stworzenia.

Zbliżały się ostrożnie, cały czas kryjąc się wśród kamieni, tak, że tylko bardzo bystry obserwator mógłby zauważyć ich ruchy. Fors z niepokojem spoglądał na Arskane'a, ten jednak zatrzymał się na szczęście powyżej usianego kolczastymi kulkami dna doliny. Pochylił się powoli, cały czas wyciągając przed siebie statuetkę, a gdy błękitny kamień zetknął się z podłożem wypuścił go z palców i wyprostował plecy. Przez chwilę patrzył przed siebie, po czym odwrócił się i wyciągając nogi ruszył w górę stoku.

Posążek przyciągnął jaszczurki z magiczną siłą. Pokonując lęk, trzy z nich wyszły czającym się krokiem na otwartą przestrzeń i rozglądając się szybko na wszystkie strony, jakby w obawie zasadzki, podeszły do ofiarowanej im rzeźby.

Gdy najodważniejsza dotknęła podarunku, Arskane skierował się w stronę leżącego pod ołtarzem stosu przedmiotów. Szedł powoli, starannie badając ziemię przed sobą. Zdawał się w ogóle nie dostrzegać znieruchomiałych ze zdumienia mieszkańców kotliny, których niespokojny wzrok towarzyszył najdrobniejszemu ruchowi olbrzyma. Fors widział, jak osiągnawszy przeciwległą ścianę Łowca przyklęknął i powoli zaczął przekładać piętrzące się bezładnie rzeczy. W końcu podniósł się z butami i resztą odzieży w dłoni. Teraz musiał pokonać całą szerokość doliny. Niespiesznym krokiem wymijał co chwila tkwiące wśród kamieni jaszczurki, a gdy zrównał się z otaczającą statuetkę grupką, przywódca chwycił w łapki niebieski posążek i w asyście dwóch towarzyszy pomknął między skały. Nie zmieniając tempa, Arskane dotarł wreszcie na szczyt wzniesienia, a wówczas okazało się, że z czoła i policzków spływały mu liczne krople potu.

Fors przysiadł na najbliższym kamieniu, aby wciągnąć buty na poranione stopy. Gdy ponownie stanął na nogach, odruchowo spojrzął w głąb kotliny. Jej gospodarze ciągle jeszcze kryli się wśród kamieni, lecz w skalistej świątyni błyszcząły teraz cztery figurki.

Następnego dnia wyruszyli na południe, daleko w tyle pozostawiając niezwykłą Krainę Wybuchu. Po całodziennym marszu znaleźli się w otwartym stepie, wśród kołysanych lekkim wiatrem, dojrzewających w słońcu płachetek zdziczałych zbóż.

Pokonując niewielkie wzniesienie, Fors zatrzymał się w pół kroku, gestem nakazując towarzyszowi milczenie. Powiew wiatru przyniósł z oddali dźwięk zbyt słaby i niski jak na grzmot, a równocześnie układający się w wyraźnie wyczuwalny rytm.

Arskane przystanął również. Słuchając w napięciu chłopak uświadomił sobie, że odgłos ten nie jest mu obcy. Był pewien, że dociera do nich dalekie bębnienie. Gdy powiedział o tym Arskane'owi, ten rzucił się na ziemię i przytknąwszy ucho do skały, zastygł w bezruchu. Niestety, w chwilę potem wiadomość urwała się. Ciemnoskóry podniósł się z zasępioną twarzą.

- I co? - niecierpliwie zapytał Fors.

- To było wezwanie. Miałeś rację, słyszeliśmy wielki bęben mego plemienia. Wieści, jakie głosi są bardzo złe. Lud mój znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie i teraz zwołuje wszystkich zdolnych władać włócznie. by wrócili i stanęli do walki.

Arskane zawahał się i zamilkł, co wykorzystał Fors, szybko podejmując decyzja.

- Oszczepnik ze mnie żaden, a teraz nie jestem nawet łucznikiem. Tym niemniej nadal mam przy pasie miecz, którym potrafię się posłużyć. Na co jeszcze czekamy?

- Jak daleko? - zadał kolejne pytanie po kilku minutach szybkiego biegu.

Zamiast odpowiedzi Ciemnoskóry przyśpieszył tylko kroku, narzucając tempo znacznie bardziej odpowiadające czworonożnej Lurze, niż

utykającemu człowiekowi.

- Nie wiem. Mogę się tylko domyślać. Na równinie głos niesie się bardzo daleko.

Tego dnia jeszcze dwukrotnie ze strony odległych wzgórz dobiegło nagłace dudnienie. Arskane wyjaśnił, że wezwanie będzie powtarzane do czasu, gdy wrócą wszyscy zwiadowcy. Noc spędzili ukryci w niewielkim lasku. Powodowani ostrożnością nie rozpalali ognia i po krótkiej drzemce ruszyli dalej, na długo, zanim niebo rozjarzyły poranne zorze.

Jak dotąd Fors nie stracił orientacji, choć poruszali się po nowej dla niego ziemi, o której nie wspominał żaden z raportów Gwiazdzystych. Przemierzając Krainę Wybuchu, oddalił się tak bardzo od znanych z map terytoriów, że zaczął się niepokoić. Czy zdoła wrócić do Eyrie, tak jak to sobie cały czas planował? Czy potrafi tam dotrzeć bez konieczności przechodzenia przez miasto? Był to przecież rozległy kraj, a bezpieczne szlaki wciąż jeszcze czekały na przetarcie.

Trzeciego dnia znaleźli się nad przegradzającą drogę rzeką. Według Forsa była to ta sama rzeka, którą już kiedyś pokonywał. Niemal cały dzień pochłonęło sporządzenie tratwy, a gdy spuścili ją na wezbrane deszczem wody, prąd porwał ich i unosił przez kilka mil, zanim bezpiecznie wylądowali na przeciwległym brzegu.

Zbliżał się zachód słońca. Znowu odezwały się bębny, tym razem jednak dźwięk miał natężenie gromu. Arskane z zadowoleniem skinął głową - był to najlepszy dowód, że idą w dobrym kierunku, lecz w miarę słuchania spochmurniał, a jego dłoń zacisnęła się na rękojeści noża.

- Niebezpieczeństwo - tłumaczył w miarę napływu wiadomości. - Niebezpieczeństwo - nadchodzi śmierć - niebezpieczeństwo - noc niesie śmierć.

- Czy to kryło się w bębnieniu?

Skinął głową.

- Jest to głos Wielkiego Bębna. Nigdy przedtem nie słyszałem takich słów.

Mówię ci bracie, jest to niezwykle ostrzeżenie. Słuchaj.

Fors pochwyił odmienny dźwięk, nim jeszcze jego towarzysz wzniósł ostrzegawczo rękę. Lekki werbel, znacznie słabszy od dudnienia plemiennego bębna, lecz mimo to czytelny, niósł w głębi stepu czyjaś odpowiedź.

Arskane ponownie zajął się odczytaniem sygnału: „Tu Uran - nadchodzę.”

- To Szybkoręki Uran, wódz naszych zwiadowców. Wyruszył na zachód, podczas gdy ja skierowałem się na północ. Widocznie...

Przerwał, gdyż ciszę wieczoru jeszcze raz wypełnił stukot bębna zwiadowcy.

- Balacan. Balacan odchodzi - Arskane zwilżył wargi - nie odezwał się tylko Noraton, no i oczywiście ja.

Choć zastygli w oczekiwaniu wyteżali słuch przez długie minuty, nie doczekali się następnej odpowiedzi. Za to po okresie ciszy ponownie rozległ się apel szczepu i przetoczywszy się przez otwarte pola, pomknął w noc...

Dopiero o świcie przystanęli na chwilę, aby się posilić. Od jakiegoś czasu bębny milczały i milczenie to wydało się Forsowi złowieszcze, widząc jednak zasępioną twarz Arskane'a, wolał nie zadawać żadnych pytań. Łowca gnał jak szalony, sprawiając chwilami wrażenie, jakby zapomniał, że razem z nim biegnie ktoś jeszcze.

Chcąc zyskać na czasie wkroczyli na wiodącą w dobrym kierunku drogę Przodków, a gdy ta skręciła, pomknęli wydeptaną przez zwierzęta ścieżką, rozbryzgując kałuże i przeskakując przecinające ją liczne strumyki. W pewnej chwili spłoszyli stado jeleni, które błyskając bielą ogonów skryły się wśród zarośli. Wkroczyli na niewielką polankę. Zdyszany Fors zwolnił nieco, a gdy podniósł głowę, dostrzegł wirujące w górze czarne kształty. Dopadł Arskane'a i chwycił go za ramię.

- Ptaki śmierci.

Siłą zatrzymał zwiadowcę. Gdzie ptaki śmierci zbierały się na ucztę, tam zawsze pojawiały się kłopoty.

Rozdział 12
Forpoczty wojny

W płytkim zagłębieniu gruntu, na poplamionej, stratowanej trawie leżał martwy człowiek. Arskane przykleknął obok ciała, podczas gdy Lura, warcząc i szczerząc kły, odpędzała rozwrzeszczane stado padlinożernych ptaków.

- Nie żyje, został przebity włócznią.

- Jak dawno? - zapytał Fors.

Możliwe, że dzisiaj rano. Poznajesz te znaki? - zaciskając zęby łowca wyrwał ułamane drzewce, zakończone pokrytym gęstą krwią, podobnym do liścia grottem.

- Koczownicy. To jest kawałek ich lancy, a nie włócznia. Ale kto...

Arskane wytarł garścią trawy zniekształconą twarz zmarłego.

-- Noraton - rzucił krótko. - Więc taki los spotkał ostatniego

zwiadowcę. Nic dziwnego, że nie mógł odpowiedzieć na wezwanie.

Ciemnoskóry nerwowo wycierał ręce, jakby razem ze śladami krwi chciał zmasać pamięć o tym, co widział. Twarz miał stężałą, niczym kamienna maska.

Gdy plemię wysyła zwiadowców, składają oni przysięgę, że dobędą miecza jedynie w obronie własnej, tylko wtedy, gdy zostaną zaatakowani. Powinni zachowywać się pokojowo, jeśli tylko jest to możliwe. Noraton był mądrym, spokojnym człowiekiem, czasami nawet zbyt opanowanym. Nigdy nie uwierzę, aby to on sprowokował potyczkę.

- Twój lud wędruje na północ w poszukiwaniu nowych siedzib - powoli

zastanawiał się Fors. - Koczownicy są niezwykle dumni i popędliwi.

Was/e pojawienie się mogli potraktować jako zagrożenie dla własnego sposobu życia. Wiesz przecież, jak bardzo przywiązani są do starych zwyczajów i wierzeń.

- Więc chcą przy użyciu miecza wytłumaczyć nam swoje racje? Dobrze, jeśli chcą walki, będą ją mieli - Arskane pochylił się nad zwłokami.

Fors wyciągnął miecz i zaczął nim wycinać płyty darni. Pracowali w

milczeniu dopóki nie wykopali płytkiego grobu, a gdy Noraton spoczął

w mogile, usypali nad nim samotny kopczyk, aby zapewnić spokój

złożonym pod nim szczątkom. Na szczycie pagórka Arskane ustawił miecz

zmarłego, którego cień kładł się wyraźnym, prostym krzyżem na świeżo usypaną ziemię.

Ruszyli dalej w głąb nieprzyjaznej krainy. Śmierć dopadła Noratona, a

teraz oni sami mogli w każdej chwili się z nią spotkać. Posuwali się

skrycie, rezygnując z szybkości na rzecz bezpieczeństwa. Arskane

wydobył z sakwy swą sporządzoną z rzemieni broń. Na wszelki wypadek

wolał mieć ją w pogotowiu, przygotowaną do natychmiastowego użycia.

Ich wędrowka dobiegła kresu, gdy okrzywszy ruiny małego domku,

wyszli na skraj rozległego pola. Dające ukrycie zarośla ciągnęły się

jedynie wzdłuż przeciwległego brzegu przesieki, więc gdyby chcieli

się nimi posłużyć, musieliby nadłożyć szmat drogi. Arskane wybrał

najkrótszą trasę - poprzez środek otwartej przestrzeni - a ponieważ

to jemu właśnie najbardziej zależało na czasie, Fors zgodził się i

wysłał do przodu Lurę, aby zbadała sytuację.

Na osłoniętej drzewami, nasłonecznionej polanie, trawy i dziczale

zboże utworzyły sięgający piersi, falujący dywan. Wyglądało to

pięknie, jednak zupełnie uniemożliwiała bieganie, gdyż gęste, mocne

łodygi natychmiast oplatały nogi, hamując każdy szybszy ruch. Chłopak

właśnie myślał z zazdrością o węzach, gdy Arskane rozciągnął się jak

długi, ze stopą uwięzioną w ukrytej norze królika. Siadł szybko z

cichym przekleństwem rozcierając stłuczoną kostkę.

Rozbawiony Fors obrócił się, by podjąć marsz i stanął jak wryty,

czując obejmujący gardło skurcz przerażenia. Spoza ruin wypadła

galopem grupa jeźdźców, którzy pochyliwszy długie lance - tak, że ich

ostrza tworzyły niemal równą lśniąca linię, skierowali się wprost ku

nim.

Szybko ocenił sytuację, a widząc że nie mają szans na ucieczkę,

rzucił się na wstającego z ziemi Arskane'a, obalając go ponownie i odpychając kilka kroków w bok. Manewr ten uratował im życie; gdyby bowiem zostali na miejscu, zginęliby natychmiast przebici lancami, albo stratowani kopytami rozpedzonych rumaków, których szarża minęła ich dosłownie o włos. Łowca oswobodził się z jego objęć i szybko stanął na nogi. Fors nie zwlekając uczynił to samo, z mieczem w dłoni czekając na następny atak. Myśli miał niewesołe, gdyż wiedział doskonale, że wobec konnicy jest właściwie bezradny. Arskane również czekał, kręcąc nad głową uwiązanymi na rzemieniu kamieniami. Impet pierwszej szarży wyrzucił napastników daleko w pole, minęło więc nieco czasu, nim zawrócili i uporządkowali szyk. Tym razem jechali wolno i widać było, że zamierzają zmienić taktykę. W pewnej chwili rozciągnęli się w linię, której końcu, zakrzywiając się coraz bardziej, zatknęły się, tworząc wokół zaatakowanych wirując krag.

Jeźdźcy byli pewni swego. Przejeżdżając w pobliżu śmiali się głośno i szyderczo machali rękami, budząc zjadłą wściekłość Forsa. Nieważne, że ma tylko krótki miecz. Gdy nadejdzie koniec, zabierze ze sobą przynajmniej jednego z tych nadętych głupców. Konie ciągle przyspieszały kroku, zmuszając otoczonych do przyprawiającego o zawrót głowy kręcenia się w miejscu.

Nieoczekiwanie do akcji włączyła się Lura. Wypadła z trawy i jednym skokiem sięgnęła najbliższego wierzchowca, orząc jego gładki bok szeroko rozstawionymi pazurami. Kwicząc ze strachu i bólu zwierzę stanęło dęba, po czym nieposłuszne cuglom, wyłamało się z szyku i unosząc na grzbiecie ciężar szarpiącego się człowieka, pomknęło w step. Zachęcona sukcesem Lura zdecydowała się na jeszcze jeden skok, tym razem jednak ostrzeżeni jeźdźcy nie dali się zaskoczyć i kot nie tylko nie sięgnął celu, ale jeszcze nadziei się na wprawnie zadane pchnięcie lancy. Mimo to działanie Lury przyniosło im pożytek, gdyż wykorzystując powstałe zamieszanie, Arskane rzucił celną swą bronią. Tnąc ze świstem powietrze, kamienie poleciały ku jednemu z jeźdźców, owijając się duszącą pętlą wokół jego szyi i już po chwili bezwładne ciało osunęło się w wysoką trawę.

W rozerwanym kręgu zostało jeszcze sześciu przeciwników. Ucieczka w dalszym ciągu nie wchodziła w grę, o ile nie chcieli podzielić losu Noratona i poczuć przeszywającego ciało zimnego żelaza. Dosiadający koni wojownicy już się nie śmieli. Zbili się w ciasny szereg, tak że jadąc stykali się kolanami. Ich zamiar był oczywisty - przejechać po opornych śmiałkach, nadziei na lance lub w ostateczności stratować. Arskane ważył w dłoni długi nóż. Fors wskazał ręką w lewo, budząc na twarzy olbrzymia ponury uśmiech. Jego palec powędrował w prawo. Porozumiewali się bez słów, teraz pozostało im już tylko czekać. Szarża ruszyła. Wyczekali w miejscu do ostatniej chwili, po czym poruszając się z błyskawiczną szybkością przystąpili do działania. Fors odskoczył w lewo, przyklęknął na jedno kolano, a gdy dostrzegł nadjeżdżającego nań konia, zebrał wszystkie siły i ciął ze złością po nogach zwierzęcia. Poderwał się w tej samej chwili, chwytając ręką za skórnie składającego się do ciosu jeźdźca, a trzymany w drugiej ręce mieczem zdołał odparować pchnięcie, choć siła uderzenia spowodowała mrowienie palców.

Ściągnięty z siodła wojownik wylądował w jego ramionach. Rozgorzała krótka, zacięta walka. Palce przeciwnika orały jego twarz w niebezpiecznej odległości od oczu. Dobrze, że Langdon przekazał kiedyś synowi sekrety walki wręcz. Posługując się wyuczonymi sztuczkami, Fors szybko zdobył przewagę, a gdy kotłująca się para znieruchomiała, to właśnie on znalazł się na wierzchu. Żywy. Nieco rozluźniony cieszył się zwycięstwem, dopóki jakieś poruszenie z boku na powrót nie obudziło jego czujności. Usiłował odskoczyć, niestety zbyt późno. Tępe uderzenie zmiotło go z ciała wroga. Padł na plecy, a gdy z trudem uniósł się na łokciach, na barki spadła mu rzemienna pętla, mocno zaciskając się wokół przylegających do ciała ramion. Zamroczone, usiadł w końcu na trawie. Gdy tylko poruszył zbyt gwałtownie rozdzwonioną głową, otaczający go świat ruszał w przyprawiający o mdłości taniec.

- ...poszczęściło, Vocar. Mamy te dwie świnie. Najwyższy Wódz będzie

zadowolony.

Fors przysłuchiwał się uważnie. Śpiewna mowa Koczowników brzmiała dziwnie, jednak nie miał kłopotów z jej zrozumieniem. Ostrożnie podniósł głowę i rozejrzał się dookoła.

- Ten bydlak zranił Białego Ptaka. Niechaj demony nocy rozszarpią go na strzępy.

Od strony kulejącego konia nadchodził wysoki mężczyzna. Podszedł wprost do Forsa i mocno uderzył go w twarz, wyraźnie chcąc zadać mu jak największy ból. Chłopak splunął krwią i podniósł oczy. Tę twarz łatwo było zapamiętać - przez policzek biegła szeroka, postrzępiona blizna, więc jeśli los pozwoli, może spotkają się kiedyś w innych okolicznościach, a wtedy będzie czas wyrównać stare porachunki.

- Rozwiąż mi ręce - Fors ucieszył się, że jego głos wypadł tak mocno i zdecydowanie. - Rozwiąż mi ręce bohaterze, a przekonasz się, że nawet demony nocy nie pozbierają twych kości do kupy.

W odpowiedzi nadeszło następne uderzenie. Rozwścieczony Koczownik zamierzył się ponownie, tym razem jednak ktoś chwycił i powstrzymał wzniesioną do ciosu rękę.

- Zajmij się lepiej koniem, Sati. Ten człowiek bronił się tak, jak umiał. Nie jesteśmy Bestiami z ruin, aby zabawiać się dręczeniem jeńców.

Fors z trudem przesunął obolałą głowę nieco w bok, dzięki czemu mógł zobaczyć swego obrońcę. Wojownik był wysoki, niemal dorównywał wzrostem Arskane'owi, choć był od niego szczuplejszy, zaś jego włosy, spięte z tyłu, miały kolor kasztana. Nie był już młody, o czym świadczyły pojawiające się tu i ówdzie pasemka siwizny oraz rysująca się wokół mocno zaznaczonych ust siateczka wesołych zmarszczek.

-r Popatrz, Yocar, obudził się następny. Słyszac to, wódz odwrócił się od Forsa.

- Przyprowadźcie go tutaj. Przed zachodem słońca musimy przebyć długą drogę.

Utykający koń został dobity, lecz gdy Sati, podniósł się z nożem w rękę po spełnieniu przykrew powinności, jego ponura twarz nie wróżyła jeńcom niczego dobrego.

Gdzie jednak podziła się Lura? Starając się nie zdradzić zainteresowania, Fors ostrożnie przejrzał otaczające ich trawy. Od chwili, gdy wielki kot zniknął. Koczownicy nie wspomnieli o nim ani słowem, nasuwał się więc wniosek, że nie został zabity, gdyż w przeciwnym razie nie omieszkaliby się pochwalić jego skórą, stanowiącą przecież cenne trofeum. O ile Lura nie ucierpiała poważnie, to licząc na jej pomoc, wciąż jeszcze mieli szansę ucieczki. Koczownicy szybko zakończyli przygotowania do drogi, co w przypadku jeńców sprowadzało się do przywiązania prawej ręki do pasa, podczas gdy lewa poprzez długą, owiniętą wokół łęku siodła linką połączyła ich z jeźdźcami. Na szczęście żaden z nich nie trafił na Satiego, który przesiadł się na wierzchowca po zabitym przez Arskane'a wojownika.

Więc jednak udało im się pokonać po jednym przeciwniku - pomyślał Fors na widok przytroczonych do końskich zadów dwóch ciał. Obciążone podwójnie, wierzchowce wierciły się niespokojnie, toteż po krótkiej naradzie, dosiadający ich Koczownicy zeskoczyli na ziemię, aby resztę podróży odbyć pieszo prowadząc za uzdy juczne zwierzęta. W maszerującej kolumnie Fors wraz ze swym strażnikiem znalazł się na trzecim miejscu, zaś Vocar z Arskane'm u boku zamykał pochód.

Chłopak obejrzał się za siebie, zanim wyrrywając rękę szarpnięcie nie przywołało go do porządku. Ciemnoskóry szedł nienaturalnie sztywnym krokiem, a na jego twarzy dostrzegł ślady krwi, lecz pomimo to nie wyglądał na ciężko rannego. Co się działo z Lurą? Spróbował w myśli przywołać ją i niemal w tej samej chwili wyciszył wzywający sygnał. Od wielu lat ludzie z Eyrie utrzymywali kontakty z Koczownikami, a w związku z tym ci ostatni mogli wiedzieć o łączącej człowieka i kota przyjaźni. Doszedł więc do wniosku, że najlepiej zrobi pozostawiając wszystko własnemu biegowi. Nie chodziło mu przecież o to, by ujrzeć Lurę przyszpiloną do ziemi którąś z morderczych lanc.

Podążali na zachód, jak mimochodem zauważył Fors, zmuszony do biegu za cwałującym koniem. Gorące, jasne słońce świeciło mu niemal prosto

w twarz, zalewając wszystko wokół potokami złotego światła. Na wprost siebie miał lśniący koński zad, pokryty wymalowanymi jasną farbą znakami właściciela. Przyjrząwszy się stwierdził, że nie należą do żadnego ze znanych jego ludowi plemion. Również mowa tych ludzi pełna była niezrozumiałych słów. Prawdopodobnie zetknęli się ze szczepem, który przywędrował z bardzo daleka. Możliwe, że musieli opuścić swoje dotychczasowe siedziby z powodu jakiejś klęski żywiołowej, lub też poszukiwali nowych terenów, gnani jedynie wewnętrznym nakazem właściwego ich naturze ciągłego ruchu.

Jeśli byli na tej ziemi obcy, to ich wrogość wobec każdego, kto pojawił się w pobliżu, nie była niczym niezwykłym. Zazwyczaj tylko Bestie napadały bez wypowiedzenia wojny, bez jakichkolwiek rokowań. Gdyby tak miał Gwiazdę, z pewnością znalazłby posłuch w trakcie rozmowy z ich wodzem. Gwiazdzistych znano przecie wszędzie - nawet na ziemiach, do których nigdy nie dotarli, nikt nigdy nie wznosił przeciw nim miecza. Fors poczuł powracające stare rozgoryczenie. Nie był Gwiazdzistym - był nędznym uciekinierem i włóczęgą, banitą pozbawionym opieki plemienia.

Wzniesiony kopytami kurz osiadał na twarzy i ciele. Drobnny pył wciskał się do nie osłoniętych ust i oczu, budząc kaszel i łzawienie. Na wpół oślepli, wstrząsany skurczami krztuszących się płuc, ujrzał nagle przed sobą strumień. Konie zbiegły na niski brzeg, po czym nagłone okrzykami jeźdźców weszły do szeroko rozlanej, płytkiej wody. Widoczność poprawiła się natychmiast, toteż na drugim brzegu bez trudu spostrzegł wydeptany trakt. Od kępy krzaków oderwała się grupa konnych i pomknęła ku nim, wypełniając powietrze głośnymi pytaniami. Zbliżywszy się, jeźdźcy osadzili wierzchowce w miejscu, by po krótkim powitaniu całą uwagę skoncentrować na Forsie. Omawiali szczegóły jego fizjonomii niezwykle otwarcie, ale chłopak nie dał się sprowokować, cały czas pamiętając o utrzymaniu nerwów na wodzy. Wszystkie komentarze dotyczyły niezwykłego wyglądu jeńca. Najwyraźniej Arskane nie był dla nich zaskoczeniem, musieli się już kiedyś zetknąć z plemieniem Ciemnoskórego, natomiast Fors ze swymi srebrzystymi włosami i jasną skórą był dla nich zupełnie nowym, intrygującym doświadczeniem.

Połączony oddział ruszył wreszcie, kończąc przypadkowo podarowaną jeńcom przerwę, by po przebyciu jeszcze pół mil i dotrzeć do obozu Koczowników. Fors zdumiał się na widok rozległej przestrzeni, gęsto wypełnionej rzędami namiotów. Spodziewał się zobaczyć kilka, najwyżej kilkanaście namiotów wędrującego klanu, a tymczasem znalazł się w siedzibie dużego plemienia, a może nawet całego narodu. Weszli na przebiegającą środkiem osady szeroką drogę. Usiłował liczyć umieszczone przed namiotami poszczególnych wodzów proporce, szybko jednak zrezygnował, gdyż z każdym krokiem odkrywał coraz to nowe insygnia łopoczące na wieczornym wietrze tęczą kolorów.

Na widok zabitych, kobiety zaczęły zawodzić przejmująco, jak każe obyczaj, lecz żadna z nich nie uczyniła najmniejszego ruchu w stronę pojmanych, którym w międzyczasie skrępowano ręce na plecach, po czym wepchnięto do małego namiotu, ustawionego w pobliżu zdumiewająco dużej kopuły Najwyższego Wodza.

Fors przekręcił się na bok, aby móc zobaczyć Arskane'a. Prawe oko olbrzyma niemal zniknęło pod okazałą opuchlizną, zaś jego szyję przecinała płytka szrama, wypełniona zmieszana z pyłem zakrzepłą krwią.

- Czy znasz ten szczep? - po chwili chrząkania zapytał Arskane.

- Nie. Zarówno proporce klanów, jak i sposób malowania koni, są mi zupełnie obce. Dziwna jest także ich mowa. Niektórych słów nie mogę zrozumieć, nie słyszałem ich nigdy przedtem. Myślę, że przyszli z bardzo daleka. Żadne ze znanych Gwiazdzistym plemion nie atakuje bez uprzedzenia, chyba że walczy przeciwko Bestiom, które każdy człowiek powinien witać wyciągniętym z pochwy mieczem. Chciałem policzyć oznaki klanów, lecz choć widziałem zaledwie fragment obozu, to straciłem rachubę - tak wielka była ich liczba. Jestem pewien, że natrafiliśmy na wędrujący naród. Nigdy przedtem nie widziałem czegoś podobnego.

- Ciekawe, co z nami zrobią - z pozoru niedbale zagadnął Arskane. -

Jeśli nie będziemy im do niczego potrzebni, to wkrótce ptaki śmierci będą dziobać nasze kości. Z drugiej strony, dlaczego brali nas żywcem?

Fors zaczął odgrzebywać w pamięci wszystko, co kiedykolwiek słyszał na temat Koczowników, ich tradycji i zwyczajów. Nade wszystko cenili oni wolność, gardząc przywiązaniem na dłużej do jakiegokolwiek miejsca. Poza tym nie kłamali. Nigdy - tak bowiem nakazywało ich prawo. Równocześnie jednak uważali się za lepszych od innych, zachowując się wyniośle i ponad miarę dumnie. Do nowych rzeczy odnosili się nieufnie, na co niewątpliwie wpływało przywiązanie do tradycji, która pomimo całego tego gadania o wolności, w znacznym stopniu kształtowała ich zachowanie. Pomiędzy sobą zawsze dotrzymywali raz danego słowa, niezależnie od wszystkich okoliczności, jakie mogłyby temu przeszkodzić. Osobnik, który naruszył prawo lub zwyczaj plemienia, był uznawany przez radę za zmarłego i od tej pory nikt go nie dostrzegał, nie miał też do kogo zwrócić się z prośbą o żywność lub dach nad głową. Dla szczepu przestawał po prostu istnieć.

Gwiaździstym zdarzało się czasem mieszkać w ich namiotach. Jego ojciec wziął sobie nawet córkę wodza za żonę. Działo się tak tylko dlatego, że Gwiaździści posiadali coś, co w oczach Koczowników przedstawiało wartość - znajomość dalekich szlaków.

Nagły wybuch dzikich okrzyków przerwał jego myśli, hałas narastał, stawał się coraz głośniejszy, aż w końcu przekształcił się w wojenną pieśń wędrującego plemienia:

„Z mieczem i ognia pożoga,
Z ostrą lanca u boku,
Gnamy przez lasy i pola
Gdzie sięgają forpoczty wojny,
Ptaku śmierci przybywaj
Na ucztę z ciał naszych wrogów.”

Flet wygrywał refren, podczas gdy mały bęben postukiwał rytmicznie, szczególnie mocno podkreślając żarliwe "przybywaj". Słuchając dzikiej melodii Fors miał wrażenie, że krew zaczyna szybciej krążyć mu w żyłach. W pieśni tej kryła się przedziwna moc, rozchodząca się po ciele słuchającego niczym krążące w żyłach młode wino. W Eyrie nikt nie śpiewał w taki sposób. Góry wymagały od swych mieszkańców ciszy, toteż w końcu zdusili w sobie pragnienie muzyki, pozostawiając śpiewanie kobietom, których śpiew przy pracy można było czasami usłyszeć. Fors znał tylko hymn Rady i choć zawarta w nim była pewna doza ponurej wzniosłości, to nie robiła takiego wrażenia, jak pełen uczucia, bojowy hymn Koczowników.

- Ci wojownicy śpiewają - zdumiony głos Arskane'a wtórował jego myślom. - Czy w ten sposób chcą powitać swego wodza?

Nawet jeśli rzeczywiście przechodził tędy sam wódz, to nie wykazał najmniejszego zainteresowania jeńcami. Mijały długie, wypełnione posępnymi myślami godziny. Gdy zrobiło się całkiem ciemno, wzdłuż głównej ulicy zapłonęły rozmieszczone w równych odstępach ogniska. Wkrótce potem do namiotu weszło dwóch wojowników, którzy rozwiązawszy krępujące pojmanych rzemienie, stanęli u wejścia, patrząc jak jeńcy próbują rozetrzeć zeszywniałe ręce. Po chwili jeden ze strażników zniknął za przesłaniającą otwór wejściowy skórą i niemal natychmiast powrócił z dwoma miskami parującej strawy. Jedzenie miało dobry smak, a ponieważ już byli mocno wyголоśdzeni, skupili na nim całą uwagę, szybko pochłaniając gorącą zawartość glinianych naczyń. Zlizawszy z warg ostatnie krople, Fors odezwał się w opanowanej niegdyś dzięki ojcu mowie Równin.

- Ho - obyś przed sobą zawsze miał szeroką drogę, Synu Równin. Teraz, Bracie Burzy, zgodnie ze zwyczajem domowego ognia i wody, doprowadź nas przed oblicze waszego najwyższego wodza, abyśmy dostąpili rozmowy z tym wielkim wojownikiem.

Jedyną odpowiedzią były rozszerzone zdumieniem oczy wartowników. Było oczywiste, że spodziewali się wszystkiego, z wyjątkiem uświęconego tradycją uroczystego pozdrowienia. Odzyskawszy głos, Koczownicy roześmieli się szyderczo.

- Wkrótce staniecie przed Najwyższym Wodzem, wy leśne śmieci. A gdy

do tego dojdzie, przekonacie się, że nie spotka was nic przyjemnego. Ciagle się śmiejąc strażnicy związali ich ponownie i wyszli z namiotu. Zostali sami. Fors odczekał, dopóki przekonał się, że pilnujący ich wartownicy są całkowicie pochłonięci wymyślaniem coraz to nowych kpin na temat swych podopiecznych, po czym przysunął się w stronę Arskane'a tak, że ich głowy niemal się zetknęły.

- Karmiac nas, popełnili błąd. Wszyscy Koczownicy przestrzegają prawa gościnności. Obcy, który jadł przyrządzone na ich ogniu mięso i pił podaną przez nich wodę, musi pozostać nietknięty przez dzień i noc i jeszcze jeden dzień. W zjedzonej przez nas potrawie znajdowało się gotowane mięso i woda. Możemy zatem walczyć o nasze prawa. Siedz cicho, kiedy po nas przyjdą, a przekonasz się, że gdy staniemy przed wodzem, poproszę go o opiekę w imię ich własnych praw.

Odpowiedź Arskane'a była cicha niczym westchnienie:

- Widocznie biorą nas za półgłówków nie obeznanych z ich zwyczajami.

- Może masz rację. Ciagle jednak nie mogę pozbyć się myśli, że to ktoś z obozu wystawia nas na próbę - dał nam szansę i teraz chce się przekonać, czy starczy nam rozumu, żeby z niej skorzystać. Jeśli strażnik powtórzy mu moje pozdrowienie, to ten ktoś dowie się, że jesteśmy gotowi. Wędrując ciagle Koczownicy docierają do różnych plemion. W obozie może znajdować się ktoś, kto zetknął się z ludźmi z Eyre i teraz stwarza nam sposobność do walki o życie.

Nie wiadomo, czy pozdrowienie Forsa zostało przekazane dalej. W każdym razie po upływie niewielu minut skóry wejścia rozsunięły się i ponownie pojawili się zbrojni, którzy szturchającami poderwali jeńców na nogi, wypędzili ich przed namiot, a następnie przeprowadzili między długimi szeregami wojowników w stronę stojącej pośrodku miasta wysokiej budowli o ścianach ze skóry. Setki jeleni i dzikiego bydła musiały zginać, by dostarczyć materiału do budowy tak okazałej siedziby Rady. Choć namiot był ogromny, to zgromadzeni wewnątrz dowódcy i wodzowie, wojownicy i mędrzy plemienia siedzieli tak gęsto, że nie udałooby się wcisnąć między nich nawet ostrza miecza.

Ciagle popychani, Fors i Arskane weszli na wąską ścieżkę, łączącą wejście ze środkiem hali Rady. Płonął tam święty ogień, nieustannie podsycany pękami ziół i szczapami cedru, dzięki czemu wokół unosił się aromatyczny, błękitny dym.

Przy ogniu stało trzech mężczyzn. Pierwszy z nich w długim, białym płaszczu zarzuconym na wojenny strój, był lekarzem, tym, który troszczył się o zdrowie plemienia, lecząc rany ciała. Jego na czarno ubrany towarzysz był Opiekunem Zapisów - człowiekiem najlepiej znającym prawo i dawne zwyczaje. Pomiedzy nimi dumnie wyprostowany stał Najwyższy Wódz.

Gdy jeńcy podeszli blisko, spomiedzy rzeszy równych mu wodzów podniósł się Vocar i niezwłocznie wzniosłszy do czoła zaciśnięte w pięści dłonie, pozdrowił wodza:

- Przewodniku Orszaków, Wodzu Plemienia Wiatru. Niezawodny Kar-micielu Ptaków Śmierci. Tych dwóch pojmano po uczciwej walce, gdy zgodnie z twoim rozkazem udaliśmy się ze zwiadem na wschód. Teraz my, członkowie klanu Szalejącego Byka, przekazujemy ich w twoje ręce, abys postąpił z nimi według własnej woli. Tak ja, Vocar, rzekłem. Najwyższy Wódz skwitował oświadczenie krótkim ruchem głowy. Zmierzył pojmany ostrym, nic nie mówiącym spojrzeniem, napotyając śmiały, wyzywający wzrok Forsa.

Mieli przed sobą człowieka przeżywającego schyłek młodości, żyłastego i nieco przygarbionego, o włosach przetykanych licznymi pasmami siwizny, które upodobniały bujną czuprynę do odświętnego pióropusza. Pod ozdobnym kaftanem można było dostrzec stare blizny, świadczące o niezliczonych potyczkach, w jakich brał udział. Nie ulegało wątpliwości, że był to sławny wojownik, skoro jednak został Najwyższym Wodzem musiał mieć coś więcej, niż szczęście w walce. Musiał być obdarzony rozumem i zdolnością rządzenia. Tylko silna, a zrazem mądra dłoń, mogła sobie poradzić z gwałtownymi mieszkańcami Równin.

- Ty - Wódz zwrócił się najpierw do Arskane'a - musisz być jednym z tych czarnuchów, którzy rozpętali wojnę na południu.

- Mój lud staje do walki tylko wtedy, gdy ktoś go do tego zmusi.

Wczoraj znalazłem jednego z moich rzuconego na pastwę ptaków śmierci. Z jego ciała sterczała wasza lanca. Wódz nie raczył nawet odpowiedzieć. Jego uwaga skupiła się już na Forsie.

- A ty - które plemię zrodziło takiego cudaka?

Rozdział 13

Pierścień ognia

- Jestem Fors z Klanu Pумы. Pochodzę z plemienia Eyrie, zamieszkującego dymiące góry.

Ręce miał nadal związane, nie mógł więc wykonać gestu pozdrowienia, jaki winien jest człowiek wolny wodzowi wielu namiotów. Jednak pomijając to, nie pochylił głowy, ani też innym najmniejszym gestem nie dał po sobie poznać, że uważa się za kogoś gorszego od reszty zebranych.

- O twoim Eyrie nigdy nie słyszałem. Co do gór, to tylko nasi najdalej zapuszczający się zwiadowcy widzieli spowite dymem szczyty. Jeżeli nie należysz do czarnych, to dlaczego włóczysz się z jednym z nich?

- Jesteśmy towarzyszami broni. Razem walczyliśmy przeciw Bestiom, a potem razem przeszliśmy Krainę Wybuchu.

Na te słowa trójka wodzów popatrzyła po sobie z niedowierzaniem, po czym Lekarz roześmiał się, w chwilę później zarażając wesołością Najwyższego, któremu zaczęła wtórować reszta rady, napełniając noc przypomającym grzmot rykiem.

- Teraz już wiemy, że w twoich ustach kryje się rozdwojony język. Przecież jak daleko sięga ludzka pamięć, od czasów ojców naszych ojców, a jeszcze wcześniej ich ojców, żaden człowiek, który przeszedł Krainę Wybuchu nie żył na tyle długo, aby móc się tym chwalić. Ta ziemia jest przeklęta i straszliwa śmierć spada na każdego, kto ośmiela się na nią wstąpić. A teraz lepiej mów prawdę, ty leśna pokrako, bo inaczej potraktujemy cię jak podstępna Bestię, którą najlepiej od razu nadziać na ostrze lancy. Radzę ci, mów i to szybko. Fors zacisnął zęby i nie otworzył ust, dopóki nie opuściła go gorączka pierwszego gniewu. Gdy odzyskał panowanie nad sobą, odezwał się spokojnie.

- Możesz mnie nazywać jak ci się tylko spodoba. Wodzu, jednak na wszystkich twoich bogów przysięgam, że mówię prawdę. Może przez wszystkie te lata, jakie minęły od czasów, gdy ojcowie naszych ojców wchodzili do Krainy Wybuchu, by zaraz potem zginąć w męczarniach, zły urok stracił na mocy...

- Mówisz, że pochodzisz z gór - przerwał ten w białym płaszczu. - Słyszałem kiedyś o ludziach z gór, którzy zapuszczają się w dalekie strony w poszukiwaniu utraconej wiedzy. Wiadomo o nich, że są prawdomówni, nigdy nie uciekają się do podstępów. Jeśli jesteś jednym z nich, pokaż nam gwiazdę jako znak twojej misji, a podejmiemy cię zgodnie z prawem i obyczajem.

- Wychowałem się w górach - ponuro potwierdził Fors - lecz nie testem Gwiazdzystym.

- Tylko wyjęci spod prawa lub opętani przez złe duchy opuszczają swój klan - tym razem odezwał się mędrzec w czerni. - A jako pozbawieni opieki prawa, mogą być zabici przez każdego, komu przyjdzie na to ochota. Doprawdy szkoda czasu, aby zajmować się takimi błahostkami. Nadszedł czas, aby użyć ostatniej deski ratunku. Patrząc wprost w oczy Wodza, Fors zaczął recytować prastare słowa, jakich ojciec nauczył go wiele lat temu.

- Na ogień i wodę, na mięso i prawo namiotu, błagamy o schronienie pod godłem tego klanu - jedliśmy wasze mięso i ugasiliśmy pragnienie waszą wodą, nim zgasło dzisiejsze słońce.

Wielki namiot wypełniła nagła cisza. Zamarły wszystkie szepty. Wydawać by się mogło, że ludzie przestali oddychać, toteż gdy przestępujący z nogi na nogę strażnik uderzył przypadkiem głowicą

miecza w miecz sąsiada, zabrzmiało to, niczym bojowy zew plemienia, wyrwijąc jednocześnie zebranych z chwilowego odrętwienia. Najwyższy Wódz zatknął kciuki za szeroki pas, pozostałymi palcami wybijając na skórze niecierpliwy rytm. Czarno odziany człowiek postąpił opornie krok naprzód i skinął na straż. Błysnęły noże przecinające krępujące ramiona rzemienie. Fors niezwłocznie zajął się rozcieraniem zdrętwiałych nadgarstków. Udało mu się wygrać pierwsze starcie, ale...

- Od chwili rozpalenia wieczornych ognisk aż do właściwej godziny jesteście naszymi gośćmi.

Dla Wodza słowa te musiały być na tyle gorzkie, by wykrzywić jego twarz.

- Zawsze postępujemy zgodnie z obyczajem. Możecie jednak być pewni, że gdy czas łaski minie, policzymy się z wami. Fors zdobył się na uśmiech.

- Prosimy tylko o to, co się nam należy według waszych obyczajów Panie, Wodzu wielu namiotów. - Oddał złożonymi dłońmi prawidłowy salut.

Oczy Wodza zmieniły się w wąskie szparki, gdy wypchnął do przodu swoich dwóch towarzyszy.

- A więc, zgodnie ze zwyczajem, na który się powołujesz, ci dwaj będą waszymi opiekunami tej nocy.

Przez nikogo nie zatrzymywani opuścili namiot rady, by po krótkiej wędrówce wśród tłumów, wejść do wskazanego im przez przewodników pomieszczenia. Na ciemnych skórkach ścian przygaszonymi nieco przez czas barwami, mieniły się w świetle ognia wymalowane starannie symbole. Kilka z nich było Forsowi dobrze znanych. Dwa owinięte wokół kija węże - był to rozpowszechniony znak ludzi zajmujących się leczeniem, zaś balansujące szale wagi obrazowały równość wobec prawa. Ludzie w Eyrie posługiwali się takimi samymi godłami. Otoczona wianuszkami płomieni kula była czymś nieznanym, lecz już następny rysunek wywarł zdumienie Arskane'a, który w podnieceniu przystanął przed wizerunkiem wyrastającej z jakiegoś podłużnego przedmiotu pary rozpiętych skrzydeł.

- To jest symbol Przodków posiadających zdolności latania, zarazem najważniejsze godło mego szczepu.

Słyszając te słowa czarno odziany Koczownik zareagował niezwykle ostro.

- Cóż taki ciemny brudas jak ty może wiedzieć o latających ludziach. Arskane zdawał się tego nie słyszeć, podniósł głowę, a jego pokiereszowaną twarz rozjaśnił dumny uśmiech:

- Ja i moje plemię jesteśmy potomkami latających ludzi, którzy szukali schronienia na pustyniach południa po tym, jak w czasie wielkiej bitwy zniszczono w powietrzu większość maszyn, a z powierzchni ziemi zniknęły pola, z jakich wznosili się w przestworza. To nasz znak. - Wzruszony dotknął koniuszka rozpostartego skrzydła. - Na szyi Nath-al-sala, naszego Najwyższego Wodza, stale spoczywa podobny wizerunek sporządzony z błyszczącego metalu Przodków. Pewnego dnia otrzymał go z rąk swego ojca, a ten wcześniej z rąk swego i tak ciągnie się to od chwili, gdy największy z latających ludzi opuścił wnętrze zamarłej maszyny, obrawszy sobie naszą dolinę na schronienie. W trakcie słuchania z twarzy Opiekuna Zapisów zniknął gniew. Był teraz smutny i zamyślony.

- Tak oto gromadzi się wiedzę: z okruchów i cieni - powiedział powoli - Chodźcie ze mną.

Fors pomyślał, że Strażnik Prawa utracił dużo ze swej wrogości. Uchylił nawet przed nimi zasłaniającą wejście skórę, jakby naprawdę byli dostojnymi gośćmi, a nie więźniami, którym odroczone wykonanie wyroku.

Znalazłszy się wewnątrz, stanęli jak wryci i popatrzyli po sobie w bezbrzeżnym zdumieniu. Środkiem ograniczonej ścianami przestrzeni ciągnął się długi, oparty na wkopanych w ziemię słupach stół z wypolerowanych desek, a na nim, w równo ułożonych stosach, leżały przedmioty podobne do tych, które Fors oglądał podczas swych wizyt w Domu Gwiazdy. Wydrążony kamień z leżącym obok tłuczkiem, służącym do ucierania lekarstw, rzędy słoików i pudełek - to wszystko, wraz z zawieszonymi nad stołem wiechciami uschłych ziół, stanowiło

bezsprzecznie wielki dobytek lekarza. Natomiast zabezpieczone futerałami z cienkiej skóry pergaminowe księgi, róg z atramentem i leżące na podorędziu zaostrzone pióra były narzędziami pracy Znaczej Prawa. Jego pieczy powierzono kroniki wszystkich klanów, czuwanie nad przestrzeganiem starych zwyczajów oraz spisywanie historii plemienia. Każda księga miała wytłoczony symbol klanu, każda była prawdziwą skarbnicą wiadomości o którejś z rodzin.

Arskane uderzył palcem w kawał wygładzonej skóry, napiętej mocno na drewnianej ramie.

- Szeroka rzeka?

- Tak. Skąd o niej wiesz?

Mędrzec odsunął na bok stos książek, kładąc w to miejsce skórę, tak, że znalazła się w chybottliwym kręgu mdłego światła, rzucanego przez zawieszoną nad stołem lampkę oliwną.

- Tę krainę widziałem na własne oczy. - Palec łowcy poruszał się wzdłuż przebiegającej licznymi zakolami błękitnej linii. - Moje plemię przeprawiło się w tym miejscu. Przez cztery tygodnie budowaliśmy tratwy, a gdy wreszcie spuściliśmy je na wodę, prąd porwał dwie z nich, unosząc ludzi i dobytek. Musieli zginąć, gdyż o tamtej porze wszelki ślad po nich zaginął. Oprócz tego straciliśmy wówczas dwadzieścia owiec. Natomiast tutaj, jeden z moich braci wyprawił się kiedyś na północ i odkrył jeszcze jeden zakręt, o tak - Arskane palcem naszkicował prawidłowy przebieg. - A gdy nasze góry plunęły ogniem i zatrzęsły światem, gorzka morska woda wdarła się tędy, zalewając wszystko, tak że teraz jest tam już tylko morze. Pochylony nad mapą Opiekun Zapisów zmarszczył czoło.

- Tak, od dawna żyjemy nad brzegami wielkiej rzeki i znamy jej wody. Wiele razy zmieniła koryto, wybierając drogę, jaka jej akurat odpowiadała. Przodkowie pozostawili liczne ślady swej działalności wzdłuż jej brzegów. Pewnie chcieli ujarzmić ten żywioł. Niestety, podobnie jak wiele innych, także i ta umiejętność jest nam nie znana.

- Jeśli przybywacie znad wielkiej rzeki, to musieliście odbyć długą podróż - zauważył Fors. - Co przygnało was na te tereny?

- A co gna Koczownika na wschód lub zachód, północ czy południe, jeśli nie tkwiące w nim samym pragnienie podróży w dalekie strony? Dotarliśmy, jak tylko się dało najdalej, na północ i południe. Przeszliśmy od wielkich lasów, zaspanych śniegiem, w których więzły kopyta naszych koni i gdzie tylko dzikie, pokryte gęstym futrem zwierzęta mogły przeżyć zimę, aż do bagnistej równiny, w której wodach roiło się od pokrytych łuską potworów, czatujących wytrwale na każdego, kto niebacznie chciałby ugasić pragnienie. Takie to cuda widziały nasze oczy. Dwa lata temu nasz dotychczasowy wódz zmarł, a jego lanca przypadła w udziale Cantrulowi, który zawsze był znany jako odkrywca dalekich krajów. Pod jego rządami wyruszyliśmy na nowe szlaki, odsłaniając przed naszymi dziećmi szeroki świat. Potrzymaj. Zdjął lampę z mocującego ją sznura i pociągnął Forsa w odległy koniec namiotu. Zgromadzono tam stosy map i kolorowych obrazów, na widok których zdumiony chłopak mimowolnie otworzył usta. W pokrytych farbą skrawkach skóry kryła się jakaś potężna magia przywodząca na myśl czasy Przodków, kiedy to ludzie umieli sporządzić pomniejszone wizerunki świata.

- Popatrz, to zrobiliśmy na północy, zimą, gdy człowiek musi wiązać sobie do stóp kawałki napiętej skóry, o ile nie chce pogrążyć się w śniegu, niczym w ruchomych piaskach. A tu - spójrz z kolei na to - jest to jeden z leśnych ludzi. Malują sobie twarze i chodzą odziani w skóry zwierząt, a mimo to są bardzo dumni, gdyż twierdzą stanowczo, że są potomkami prastarego ludu władającego niegdyś całą tą ziemią. Jeszcze i to.

Przerzucał rozpięte na ramach prostokątne arkusze pergaminu, zapiski z podróży utrwalone w jasnych, żywych kolorach.

- To - Fors ze świstem wciągnął powietrze - to jest większy skarb niż wszystko, co znajduje się w Domu Gwiazdy. Gdyby tak Jari i reszta rady mogli na to spojrzeć.

Strażnik Prawa pociągnął w zamysleniu dłońią po gładkiej ramce trzymanej w ręku mapy.

- Nie wiem, czy w całym plemieniu znalazłoby się dziesięciu młodych,

którzy patrząc na te przedmioty odczuliby jakieś, choćby najmniejsze, poruszenie serca lub umysłu. Reszta za nic ma gromadzenie zapisów, bądź też sporządzanie map z tras, jakie nasze stopy przemierzają każdego dnia. Jeść i walczyć, gnać na końskim grzbiecie w nieustannym polowaniu, a wreszcie na koniec spłodzić syna, który będzie robić dokładnie to samo - oto jest szczyt marzeń tego plemienia. Na szczęście, zawsze jest kilku takich, co słyszą wołanie starych dróg, próbują na powrót odzyskać wiedzę straconą w chwili klęski. Udaje się nam od czasu do czasu odnaleźć jakiś strzępek przeszłości, jakąś wiodącą w dawne czasy nić. Może jestem naiwny, ale z nici tych próbuję utkać całość.

- Gdyby Marphy nie był taki skromny - ochrypłym głosem odezwał się lekarz - powiedziałyby nam, że od urodzenia jego przeznaczeniem było gromadzenie wiedzy, a to wszystko - powiódł ręką dookoła - powstało tylko dzięki niemu. To on zaczął opisywać nasze dzieje i szkolić zainteresowanych tym zajęciem młodych wyrabiając w nich nawyk utrwalania wszystkiego, co może mieć jakąś wartość. Wszystkie te zbiory, na które patrzycie, są wynikiem jego pracy od czasu, gdy został Opiekunem Zapisów.

Znawca Prawa zmieszał się, słysząc te słowa, lecz już po chwili uśmiechnął się kpiąco.

- Czyż nie mówiłem, że w naszej naturze leży dążenie ku temu, co kryje się za horyzontem? U mnie przejawia się akurat w ten sposób. Z tobą, Fanyer, rzecz ma się podobnie. Sporządzasz liczne paskudztwa z liści i trawy, ale gdybyś tylko mógł, to pociąłbyś nas żywcem, byleby tylko przekonać się, co mamy pod skórą.

- Pewnie masz rację. Chciałbym zwłaszcza wiedzieć, co siedzi w tych dwóch, skoro przeszli Krainę Wybuchu, a do tej pory nie pojawiły się objawy choroby.

- Myślałem - szybko rzucił Arskane - że nie wierzysz w naszą opowieść.

- Może i nie wierzę, lecz jeśli prawdą jest, co mówisz, to jest to największy cud, o jakim kiedykolwiek słyszałem. Opowiedz dokładnie, jak do tego doszło.

Arskane roześmiał się.

- Dobrze, opowiemy ci naszą historię. Przysięgam, że nie ma w niej słowa kłamstwa. Ponieważ jednak każdy z nas ma prawo do połowy przygód, opowiemy ją wspólnie.

I tak strażnicy i więźniowie przysiedli razem na okrągłych poduszkach, by przy wtórze skwierczającej lampki poznać niezwykle losy pary przyjaciół. Gdy Fors przestał mówić, Marphy przeciągnął się i wstrząsnął jak po wyjściu z głębokiej wody.

- Myślę, że to prawda - powiedział cicho. - Jest to opowieść godna pieśni, które by można śpiewać przy zimowym ognisku.

- Powiedz mi - Fanyer zwrócił się w stronę Forsa - co ciebie, jako człowieka przygotowanego do gromadzenia wiedzy, zdumiało w czasie waszej wyprawy najbardziej?

Chłopak nie namyślał się ani chwili.

- To, że Bestie wyłazą ze swych nor i zapuszczają się w głąb stepu. Jak daleko sięga ludzka pamięć, nigdy przedtem tego nie robiły, a to może oznaczać nowe niebezpieczeństwo.

Marphy spojrział na Fanyera znacząco. Lekarz wstał i podniósłszy zasłone wejścia, pograżył się w mroku... Krótkotrwałą ciszę jaka nastąpiła, przerwało pytanie Arskane'a:

- Opiekunie Zapisów, dlaczego wasi wojownicy zabijają moich braci? Dlaczego wypowiedacie nam wojnę? Co zaszło między naszymi plemionami? Marphy sięgnął po stojącą przed nim czarkę napoju, zupełnie jakby chciał zyskać na czasie.

- Dlaczego? Dlaczego? Jak widać z ruin miast, nawet Przodkom nie udało się na to pytanie odpowiedzieć. Twój lud wyruszył na północ w poszukiwaniu domu. Moje plemię posuwa się w tym samym celu na południe i wschód. Mamy różne zwyczaje, mowę, zachowanie. Ludzie boją się tej różnicy. Młoda krew jest gorąca, łatwo się burzy. Dochodzi do kłótni, ktoś sięga po broń, są zabici, rozlana krew pociąga za sobą wojnę. Myślę jednak, że prawdziwa przyczyna jest inna. Mój lud to wieczni wędrowcy, którzy nigdy nie rozumieją plemion wiodących życie

osiadłe na ziemi uznanej przez nich za własną. Pewnego dnia dowiadujemy się, że na zakręcie rzeki, o jakiś dzień drogi stąd na południe, powstaje miasto. Miasto ludzi o ciemnej skórze. Moje plemię jest zaniepokojone i chyba boi się trochę rzeczy sobie nie znanych. Podnosi się coraz więcej głosów, nawołujących aby, zniszczyć to, co może zagrozić nam w przyszłości.

Arskane potarł dłońmi o postrzępione resztki okrywającej go odzieży, jakby chciał zetrzeć z nich niewidzialną wilgoć.

- Moje plemię nie może wam zagrozić w żaden sposób. Prosimy tylko o ziemię, na której moglibyśmy siać ziarno i paść nasze owce. Jeśli się nam poszczęści, to natrafimy może na glinę potrzebną do wyrobu naczyń. I to wszystko. Myśliwi z nas marni - przychodzimy przecież z krainy, gdzie na próżno by szukać zwierzyny, ale za to mamy ręce nawykłe do rzemiosła i chętnie przekażemy wam nasze umiejętności.

- Tak. Tak. Wiem - pokiwał głową Marphy. - Pęd do walki z obcymi to dla nas zwykła kolej rzeczy. Możliwe, że pozostał nam w spadku po Przodkach, za winy których cierpimy do dziś. Teraz jednak, aby doprowadzić do spokoju, musiałby się znaleźć ktoś znacznie potężniejszy od nas wszystkich - codziennie warczą o wojnie bębny, ludzie się palą do walki.

- A ty odkrywasz przed wrogiem całą prawdę, nierozważny bazarzu. Przy stole stał Najwyższy Wódz. Był bez zdobnego w pióropusz hełmu oraz uroczystego płaszcza, dzięki czemu, mając na sobie prosty, żołnierski strój, mógł poruszać się po obozie nie dostrzeżony przez nikogo.

- Zapominasz o jednym. Plemię, które nie wychowuje wojowników zdolnych władać lanca, zostaje starte z powierzchni ziemi. Lew powali byka. jeśli tylko zdoła umknąć rogów, wilki osaczają ofiarę, by jej krwią nasycić swój głód. Zabić lub zostać zabitym, pożreć lub zostać pożartym - oto najlepiej przestrzegane prawo.

Fors poczuł, jak w gardle wzbiera mu gorąca fala, gdy w gniewnym podnieceniu wyrzucał z siebie odpowiedź:

- Wszystkim nam zagrażają szpony wyznających takie właśnie zasady Bestii, o Władco Niezliczonych Namiotów, a jest to przeciwnik groźny i przebiegły. Jeśli musisz już walczyć, to przeciw nim właśnie poprowadź swe hufce!

We wzroku Cantrula pojawiło się zdumienie, aby zaraz ustąpić miejsca z trudem hamowanej wściekłości, która ciemnym rumieńcem zabarwiła policzki wodza. Jego ręka odruchowo spadła na rękojeść krótkiego miecza. Fors pozostał na miejscu, nie próbując nawet ruszyć spoczywającymi na kolanach rękami. Wisząca u jego pasa pochwa była pusta, poza tym nie mógł przecież przyjąć wyzwania Koczownika.

- Nasze lance uderzają, gdzie chcą i kiedy chcą, przybyszu! Jeśli taka będzie nasza wola. rozbijemy siedliska tego taplającego się w błocie robactwa.

Przysłuchujący się wymianie zdań Arskane nie wykonywał najmniejszego ruchu, spokojnie mierząc wodza zdrowym okiem. Cantrul wyraźnie czekał na ostrą odpowiedź, a gdy taka nie padła, zaczepnie zwrócił się do Forsa.

- Mówisz, że Bestie ruszyły z wyprawą?

- Nie - sprostował Fors. -- Chcę powiedzieć, że po raz pierwszy w znanych nam czasach Bestie zdecydowały się opuścić swoje kryjówki w ruinach i bez obaw weszły na otwarte Równiny, a ponieważ nie znamy wielkości ich oddziałów, tym większą należy zachować ostrożność. Ponadto nie są ludźmi podobnymi do nas, nawet jeśli mieli przodków wywodzących się z naszego rodzaju. Mogą więc być od nas silniejsze lub słabsze, mogą myśleć i działać w niepojęty dla nas sposób. Jedno wszakże jest pewne. To mianowicie, że Bestie to największy wróg ludzkich plemion. Mój ojciec zginał rozszarpany ich kłami, a ja sam doświadczyłem ich niewoli. To nie jest przeciwnik, którego można zlekceważyć. Najwyższy Wodzu.

- Pamiętaj także o tym - Marphy przerwał krótką ciszę - że gdy tych dwóch uciekało przez Krainę Wybuchu, grupka Bestii podążała ich śladem. Jeśli ruszymy na południe bez zachowania ostrożności, to w pewnej chwili może okazać się, że jesteśmy wzięci w dwa ognie, mając wroga tak przed sobą, jak i za plecami.

Pomiędzy brwiami Cantrula pojawiła się głęboka bruzda, a zatknięte za

pas palce wybijały mocno rytm.

- Roześlemy zwiadowców.

- Racja. Jesteś mistrzem w sztuce wojennej. Zarządzisz, co tylko będzie potrzebne. Wybacz mi. starzeję się i gromadzenie zapisów odrywa mnie często od samego życia. Człowiek popełnia tyle pomyłek - czasami wydaje się wręcz, że nie potrafi się uczyć i wyciągać wniosków.

- Na wojnie uczysz się lub giniesz! Przodkowie nie mogli lub nie chcieli się uczyć, musieli więc odejść. A my żyjemy. Plemię jest zdrowe i silne. Myślę, że za bardzo się martwicie - ty i Fanyer też. Pójdziemy w pełni przygotowani i nic...

Resztę słów pochłonał podobny do gromu dźwięk, jakby nad namiotem, w którym stali rozpętała się nieoczekiwanie burza. Wsłuchawszy się chwilę,

w ogólnym hałasie można było rozróżnić krzyki mężczyzn i cienkie piski przestraszonych kobiet i dzieci. Podczas gdy Koczownicy, przepychając się, niecierpliwie ruszyli do wyjścia, Arskane odciągnął Forsa w ciemny kąt namiotu. Spoglądając przez szczelinę w poszyciu dostrzegli pędzący główną ulicą tabun spłoszonych koni. Przerażone zwierzęta rżały głośno, tratując znajdujących się na trasie ich oszalałego galopu ludzi, namioty i ogniska. W miarę jak nad obozem zalegały ciemności, coraz bardziej widoczna stawała się drgająca nad odległym horyzontem ściana złotego blasku.

Dłoń Arskane'a z miażdżącą kości siłą zacisnęła się na ramieniu Forsa.

- To pożar. Step się pali! - Starał się przekrzyczeć panujący wokół tumult - Mamy szansę...

Fors nie potrzebował już dalszych wyjaśnień. Uwolnił rękę i rzucił się w stronę stołu, szukając jakiejś broni. Dostrzegł tylko krótką włócznię, więc nie namyślając się dłużej, porwał ją i przystąpił do rozcinania tylnej ściany namiotu. Rozglądający się bezskutecznie Arskane w ostatniej chwili złapał za kamienny tłuczek i tak uzbrojeni wypadli w mrok.

Klucząc pomiędzy namiotami, przyłączając się do biegnących bezładnie ludzi, szybko oddalili się od centrum obozu przypominającego wzburzone mrowisko. W panującym dookoła rozgardiaszu mogli nie obawiać się rozpoznania i schwytania, jednak coraz jaśniejsze niebo nagliło do pośpiechu.

- Spójrz na wschód - Fors wskazał na upiorną zapowiedź przedświt. Również z tej strony obóz obejmowały gigantyczne macki płomieni, gotowe pochłonać wszystko, co zastaną na swej drodze. Wśród namiotów miało się coraz mniej ludzi, widocznie Cantrulowi, po pierwszym okresie zamieszania, udało się opanować sytuację.

Wybiegli w końcu na otwartą przestrzeń i przystanęli, rozglądając się w poszukiwaniu dających ukrycie drzew i kęp zarośli. W pewnej chwili Fors zauważył coś, co napełniło go niepokojem. Czy żółty blask w miejscu, gdzie go wcześniej nie było, mógł powstać tylko przez odbicie widocznych z lewej i prawej strony płomieni? W chwilę później Arskane potwierdził jego obawy.

- Ogień otacza nas ze wszystkich stron!

Zdając się na swój instynkt, chłopak pomknął w dół łagodnego zbocza. Widział odciśnięte w ziemi świeże ślady kopyt. Widział, że szukające ratunku zwierzęta kierowały się ku wodzie, a zatem gdzieś niżej musiała być woda. Popędzili w dół na złamanie karku.

Rozdział 14

Strzała

Wiatr zmienił kierunek i nagle wszystko przesłoniły gęste kłęby szczypiącego w oczy, duszącego dymu. Posuwali się po omacku, niemal nie zwalniając tempa biegu, dopóki pod ich stopami nie zachlupotała woda upragnionego strumienia. Gdy zanurzeni po pas przystanęli na chwilę, przekonali się, że nie są sami. Z wysokiej trawy, fala za

fala, wyłaniały się nieprzeliczone stada królików, preriowych piesków i innych małych mieszkańców wielkiego stepu. Zwierzęta, popiskując trwoźnie, biegły wzdłuż brzegu, a gdy dalszą drogę zamykała im jakaś przeszkoda, gnane przemożnym instynktem przetrwania skakały w wodę, upodabniając ją miejscami do kłębiącego się futrzanego kobierca. Pośrodku nurtu dym był nieco rzadszy, dzięki czemu oczy Forsa przestały łzawić. Odzyskawszy zdolność widzenia, objął przewodnictwo, kierując się w dół strumienia, w stronę strzelających wysoko płomieni, a coraz dalej od wrzającego obozu Koczowników, którego odgłosy ucichły zupełnie, gdy po minięciu najbliższego zakrętu zamknęła się za nimi ściana wierzbowych zarośli.

Z nabrzeżnych krzaków dobiegał trzask łamanych gałęzi, a zaraz potem nad wodą pojawił się jelen, za nim drugi i trzeci. Robiło się coraz głębiej. W pewnej chwili Fors poślizgnął się na kamienistym dnie i tracąc równowagę pograżył się w mętnej cieczy. Czuł ogarniającą go panikę, szybko jednak opanował się i przypominając sobie brane niegdyś w górskich jeziorach lekcje, zaczął równo przebieierać ramionami. Nieco z tym płynął jak zwykle opanowany Arskane.

Po jakimś czasie brzegi oddaliły się, nurt zwolnił wyraźnie i wyniósł ich na środek szerokiego rozlewiska, którego dalszy koniec zamykała prosta linia zbudowanej z gałęzi i błota tamy. Gdy lekka mgiełka, przesłaniająca dotychczas pole widzenia, opadła, Fors zauważył wyrastające ponad zwierciadło wody najeżone gałęziami kopulaste wzgórki bobrowych żerdzi. Usłyszał głośne prychnanie i niezwłocznie odpłynął w bok, zauważywszy ' zmierzającego w stronę najbliższej chatki okazałego dzikiego kota. Zwierzę szybko wdrapało się na wierchołek budowli, skąd przemoczone i rozzłoszczone dawało głośno wyraz swemu niezadowoleniu.

Spoglądając za siebie Fors zauważył, że głowa Arskane'a co chwila niknie pod wodą. Olbrzym najwyraźniej był w opałach. Natychmiast zawrócił, płynąc przy nim aż do momentu, gdy obaj uczepili się sterczących z wody konarów zwałonego drzewa. Przyszedł czas, aby zastanowić się nad najbliższą przyszłością.

Spiętrzona przez bobry woda stanowiła pokaźne jeziorko, wezbrane jeszcze dodatkowo po ostatnich deszczach. Budując tamę, zwierzęta ścięły niemal wszystkie porastające brzegi drzewa, pozostawiając jedynie niskie zarośla i trzciny. Sytuacja nie była najgorsza. Uspokojony Fors pomyślał, że szczęśliwy przypadek rzucił ich w jedyne dające szansę przeżycia miejsce. Szybko też przekonał się, że jego zdanie podzielało więcej żywych stworzeń.

Wkrótce pojawił się potężny jelen i, zadzierając wysoko przyozdobioną rozłożystym porożem głowę, zaczął zataczać kręgi wokół żeremia. Z kłębow dymu wyłaniało się raz po raz jakieś zwierzę i na wyścigi z innymi usiłowało wspiać się na zbawczą stertę gałęzi, nieraz spychając przy tym słabsze osobniki, o grzbiety których próbowało się wesprzeć. W pewnej chwili Arskane krzyknął, z obrzydzeniem wstrząsając przy tym ręką, wokół której owinał się szukający schronienia waż.

Języki ognia sięgały już brzegu, barwiąc wodę krwistą czerwienią. Przesyczone dymem, nieznośnie gorące powietrze parzyło płuca przy każdym, nawet naj płytszym oddechu. Z góry spadł ptak, uderzył w ramię Forsa i. odbiwszy się, pograżył w wodzie, roztaczając wokół zapach palonego pierza. Chłopak wtulił głowę w ramiona, zbliżając twarz do samej wody. W tym czasie po karku i barkach, fala za falą przetaczało się wywołujące piekące bąble gorąco.

Żaden z nich nie wiedział, jak długo unosili się w wodzie, z palcami kurczowo zaciśniętymi wokół gałęzi żeremia. W każdym razie, gdy trzask szalejących płomieni nieco osłabł, zdołali podnieść głowy, by popatrzeć na swe okopcone, lecz żywe twarze. Najgorsze mieli już za sobą. Co prawda tu i ówdzie żarzył się wiśniowym blaskiem jakiś pień i oczywistym było, że musi upłynąć sporo czasu, nim dymiąca ziemia ostygnie na tyle, by można było postawić na niej stopę, ale potężnej ściany ognia mogli się już nie obawiać.

Jedyną bezpieczną drogą był na razie strumień. Torując sobie przejście wśród ciał martwych zwierząt, dotarli do następnego żeremia, a po krótkim odpoczynku do następnego i tak płynąc wzdłuż

łańcucha chatek osiągnęli zamykając jezioro tamę. Konstrukcja nie wytrzymała naporu ognia, który strawił znaczną część korony, wypalając w niej okazałą dziurę, tak, że woda wypływała coraz swobodniej, szybko wypełniając stare koryto. Korzystając z unoszącej się nad wypalonym stepem poświaty, Fors przyjrzał się najbliższemu etapowi wędrówki. W chwilę później był już przy nim Arskane.

- Więc nadal trzymamy się wody? - zapytał. - Mając za sobą taki ogień, nie musimy obawiać się pogoni. Coś mi się widzi, że szczęście nam sprzyja dzisiejszej nocy, mój bracie.

Fors mruknął coś potakującego, całą uwagę skupiając na pokonaniu oślizłych pni tamy. Po drugiej stronie woda była płytka, sięgała zaledwie po pierś, mogli więc wreszcie stanąć na nogi. Choć usiane chybottliwymi gałęziami dno zmuszało do powolnego marszu, w każdej chwili groząc niebezpiecznym upadkiem. Gdy pełgająca luna została daleko w tyle, Fors przystanął i zadarłszy głowę wpatrywał się w niebo, poszukując znanych gwiazd, które zgodnie z tym, co mu niegdyś wpajano, były najlepszym przewodnikiem. Idąc z zachodu kierowali się na południe, w stronę zupełnie nieznaną.

- Jak myślisz, czy usłyszymy jeszcze bębny? - zapytał.

- Nie licz na to. Plemię z pewnością uznało tak mnie, jak i Noratona za zmarłych i przestało powtarzać wezwanie. Ciałem Forsa wstrząsnął dreszcz.

- To rozległa kraina. Bez sygnałów możemy ich nie znaleźć.

- Skoro wybuchła wojna, to mój lud ukrył obóz jak tylko mógł najlepiej. Jestem jednak przekonany, że nie udałoby się nam tak łatwo uciec, gdyby nie spoczywało na nas wielkie posłanie. Idziemy na południe i miejmy nadzieję, że ta sama siła, która pomogła nam się uwolnić, wskaże również to, czego szukamy. W najgorszym wypadku pozostają jeszcze twoje góry, więc jeśli nie trafi się nam nic lepszego, zawsze możemy powędrować w tamtą stronę.

Tym razem Fors nic nie odpowiedział, ponownie zapatrzony w wygwieżdżone niebo.

Nieustannie potykając się o rozrzucone na dnie głazy, wciąż brnęli korytem strumienia, który doprowadził ich w końcu do wyżłobionego w szarej skale wąskiego parowu. Gdy wysokie skały zamknęły się za nimi, wyszli na brzeg i rozciągnęli się na piasku żeby wypocząć.

Mieli kłopoty z zaśnięciem, gdyż wawóz był pełen natrętnych moskitów, które wietrząc ucztę, z głośnym brzęczeniem zlatywały ze wszystkich stron, by nie zważając na rozpaczliwie wymacłiujących ludzi, obsiąść ich całym stadem i nasycić głód. W końcu jednak zmęczenie ciała i otępiełego umysłu zwyciężyło i zobojętniali na wszystko uciekinierzy pograżyli się w głębokim śnie.

Forsa obudził plusk wody. Przez chwilę leżał nieruchomo nasłuchując, po czym z trudem otworzył zapuchnięte powieki. Rozcierając piekącą od ukaszeń twarz, wpatrywał się sennie w przepływającą między omszałymi gałęziami brunatną wodę. Spojrzał w niebo - musiało być już późno. Strzasając z siebie resztki snu, szybko poderwał się na nogi.

Tuż obok, rozciągnięty na brzuchu, z głową ułożoną w zgięciu ramienia, spał Arskane. Jego prawy bark przecinała czerwona oparzelina - widocznie musiał się zetknąć z płonącym kawałkiem rozżarzonego drewna. Jeszcze teraz na powierzchni wody unosiły się liczne pozostałości nocnego pożaru - nadpalone ptaki i pióra, rozsiewane przez wiatr płatki popiołu, a w pobliżu wirowało powoli ciało wiewiórki z wypalonym na grzbiecie futrem.

Fors wyłowił ją bez namysłu, gdyż na wpół upieczona wiewiórka wydawała się jego przyrastającemu do krzyża żołądkowi czymś nad wyraz apetycznym. Spieszenie rozciągnął zdobycz na płaskim kamieniu i pomagając sobie ostrzem włóczni, której nie wypuścił z rąk nawet w chwili największego niebezpieczeństwa, zabrał się do ściągania skóry. Gdy wszystko już było gotowe, obudził Arskane'a. Olbrzym, mamrocząc coś sennie, przetoczył się na plecy, przez chwilę leżał wpatrzony w niebo, aż wreszcie usiadł. W świetle dnia jego rozbita, zapuchnięta twarz przypominała upstrzoną rdzawymi plamami potworną maskę, jednak na widok podanego przez Forsa mięsa zdołał odsłonić zęby w ponurym uśmiechu.

- Jedzenie - a przed nami piękny dzień na podróż.
- Już tylko pół dnia - poprawił go Fors, spojrzawszy na słońce.
- Trudno, w takim razie pół dnia. Ale nawet w tym czasie możemy przebyć wiele mil. Wydaje mi się, że nas dwóch nie zdoła nic powstrzymać.

Fors przebiegł w myśli skłębione wydarzenia ostatnich dni. Rachubę czasu stracił już dawno. Nie wiedział ile dni minęło od chwili, gdy opuścił Eyrie, nie wiedział gdzie rzucił go los, ani co stanie się w najbliższym czasie. Jedno wszakże było pewne i w tym Arskane miał rację. Jak dotąd, nic i nikt nie zdołał ich powstrzymać - ani Bestie, ani plemię jaszczurek, ani też Koczownicy. Nawet Kraina Wybuchu i ogień nie zagroziły im drogi...

- Czy pamiętasz, bracie, co ci powiedziałem, gdy staliśmy na polu latających maszyn? Nigdy więcej człowiek nie może wystąpić przeciw własnemu rodzajowi, gdyż jeśli to uczyni, zniknie zupełnie z powierzchni ziemi. Jeśli będziemy kontynuować to, co Przodkowie zapoczątkowali kiedyś spadającym z nieba obłądnym deszczem śmierci, będziemy przeklęci i skazani na zagładę.

- Pamiętam.

- Przyszło mi na myśl - powoli ciągnął olbrzym - że tobie i mnie ukazano różnych ludzi i różne sprawy tak, abyśmy z kolei mogli pokazać to innym. Koczownicy ruszają do walki z moim plemieniem, a przecież w nich także płonie pragnienie wiedzy, tak głupio roztrwonionej przez Przodków. Wychowują badaczy, takich jak Marphy, z którym, jestem tego pewien, mógłbym się zaprzyjaźnić. Jesteś również ty, człowiek górskiego plemienia, nie czujący nienawiści ani do mnie, ani do Koczowników. W każdym szczepie można znaleźć ludzi dobrej woli...

Fors zwilżył usta.

- I gdyby tacy ludzie dobrej woli mogli zasiąść razem do rozmowy. Pokierowaną twarz Arskane'a rozjaśnił uśmiech.

- Czytasz w moich myślach. Musimy wypłenić z tej ziemi wojnę, jeśli nie chcemy pożreć się nawzajem. W przeciwnym razie cała ta kraina przypadnie w udziale ohydny Bestiom. Ludzie muszą to zrozumieć.

- Cantrul powiedział, że ludzie muszą walczyć, bo inaczej zginą.

- Tak? Bardzo dobrze. Są przecież różne rodzaje walki. Na pustyni mój lud walczył codziennie, za przeciwnika miał jednak piasek i słońce, nieurodzajną ziemię i ogromne jaszczury. Gdyby strożytna wiedza nie zanikała, zdołalibyśmy nawet uspokoić ziejące ogniem góry! Tak, człowiek musi walczyć, gdyż inaczej jest się nic nie wartym mięczakiem. Niech jednak walczy budując, a nie niszcząc. Chciałbym ujrzeć mój lud handlujący z Koczownikami, uczący się przy ogniskach górskich plemion. Nadszedł czas, aby przystąpić do działania, jeśli chcemy urzeczywistnić to marzenie. Jeśli bowiem mieszkańcy namiotów ruszą na południe, niosąc ze sobą zarzewie wojny, rozgorzeje taki płomień, że ani nam, ani żadnemu innemu człowiekowi nie uda się go ugasić. A wtedy, niczym spopielone przez pożar stepu drzewa i trawy, zginiemy w nim ze szczętem, grzebiąc na wieki nasze sny o przyszłej ludzkości.

Fors odpowiedział grymasem ubrudzonej twarzy, który prawdopodobnie miał być ponurym uśmiechem.

- Jest nas tylko dwóch, Arskane, przy czym ja zostałem z pewnością wyjęty spod prawa, o ile oczywiście w Eyrie dostrzeżono w ogóle, że zniknąłem. Moje nadzieje na zdobycie posłuchu Rady obróciły się w niwecz z chwilą, gdy Bestie spaliły wszystkie dowody na istnienie miasta. Tak więc nie mam nic i nic nic znaczącego. A ty?

- Ze mną jest inaczej. Jestem synem Pana Skrzydeł, co prawda najmłodszym, ale myślę, że znajdą się tacy, co zechcą mnie wysłuchać, choćby przez krótką chwilę. Aby jednak do tego doszło, musimy odnaleźć plemię. zanim zrobią to Koczownicy.

Fors wrzucił do wody ogryzioną kość.

- Oho! A więc znowu czekają nas wyścigi. Szkoda, że nie schwytaliśmy sobie koni. Konie są najlepsze, gdy idzie o pośpiech.

- Pójdziemy pieszo - odparł Arskane.

Gdy jednak podniósł się i zrobił pierwszy krok, nie zdołał powstrzymać okrzyku bólu. Widać było, że krwawiące ramię sprawiało mu

cierpienie, gdyż podświadomie chronił zraniony bok. Jednak najmniejszym gestem czy słowem nie dał tego po sobie poznać, gdy wskoczywszy do sięgającej pasa wody podjęli mozolną wędrówkę. Brnąc powoli kamienistym korytem Fors pomyślał z zazdrością, że Arskane śni wspaniały sen. On sam walczył przeciw Bestiom bez żadnych skrępułów, tak samo będzie bił się do upadłego w obronie własnego życia. z takim samym poświęceniem i determinacją, z jaką odpierał ataki Koczowników. Jednak zabijanie nigdy nie będzie celem samym w sobie. Jako myśliwy uśmiercał zwierzęta tylko wtedy, gdy chciał zaspokoić głód lub uzupełnić zapasy Eyrie. Powróciły wspomnienia niedawnej walki z Koczownikami. Analizując teraz swoje uczucia przekonał się, że nie zależy mu na szukaniu zemsty z mieczem w rękę, gdyż nie uznaje powodów, które usprawiedliwiłyby instynkt agresji. Dlaczego mieszkańcy Eyrie przez wszystkie te lata pozostawali jakby na uboczu głównego nurtu ludzkich plemion? Możliwe, że miały na to wpływ stare podania, według których górale byli potomkami wybranych. Ich zadaniem było wskrzeszenie rozerwanej na krwawe strzępy cywilizacji, niedopuszczenie do zaniknięcia rozproszonej po świecie Wiedzy. Wierni temu celowi, z pokolenia na pokolenie przekazywali nagromadzone wiadomości, nieustannie je wzbogacając o nowe informacje, zdobyte w kolejnych wyprawach Gwiazdzystych. Czyż jednak na przestrzeni wieków nie zakorzeniła się w nich wiara w wyższość rasy wybranej? Gdyby jego ojciec nie złamał napisanego prawa, żeniąc się z obcą kobietą, gdyby on sam urodził się w Eyrie z czystej krwi plemienia - czy myślałby teraz w ten sposób? Przed oczami stanęła mu postać Jarla, Ojciec go lubił i darzył szacunkiem. Był też pierwszym, który pozdrowił go, po wyborze na Wodza Gwiazdzystych. Jari! Jar! mógłby rozmawiać z Marphy'm i na pewno szybko znaleźliby wspólny język. Był też pewny, że z Cantrulem Jar! by się nie dogadał. Wódz Koczowników należał do innego rodzaju ludzi, choć nie można mu było odmówić zdolności przywódczych. Jego jeźdźcy pójda za nim wszędzie, wpatrzeni w olśniewającą grzywę białych włosów niczym w bojowy sztandar.

Fors był mutantem, a w jego żyłach płynęła zmieszana krew dwóch plemion. Czy ktoś taki może przemawiać w czyimkolwiek imieniu? Nie wiedział. Z całą pewnością wiedział natomiast czego teraz chce - ze wszystkich sił dopomóc Arskane'owi w spełnieniu jego marzeń. Może nawet nie wierzyć w ostateczne powodzenie, lecz walka o urzeczywistnienie planów Łowcy stanie się jego celem. Wyruszając z Eyrie pragnął gwiazdy dla siebie - srebrnej gwiazdy, którą niczym orderem mógłby błysnąć przed oczami ludzi - aby zyskać ich szacunek. Arskane wskazał mu coś, co wydawało się być szlachetniejsze. Przyszłość pokaże, czy tak się stanie.

Zaczął powtarzać w myśli ostatnie trzy słowa, dopasowując do nich rytm kroków. Opuszczając wawóz, strumień nagle zakręcił. Nadszedł czas, aby obrać inną drogę. Arskane wspinał się już na wysokie, strome brzeg, chwytając dla utrzymania równowagi porastające gęsto zbocze krzaki. Fors, pomagając sobie włócznią, podążył w jego ślady, tak, że na górze znaleźli się niemal równocześnie. Daleko na południu przedwieczorne niebo przecinał, unoszący się na kształt wielkiego grzyba, kłęb gęstego czarnego dymu.

W pierwszym zaskoczeniu Fors pomyślał o pożarze stepu, jednak ogień nie mógł przerzucić się aż tutaj, skoro linia wypalanej trawy dawno pozostała w tyle. Paliło się coś innego i tylko w jednym miejscu - u podstawy czarnej kolumny. Gdyby tak pójść wzdłuż rzędu po prawej, a potem przemknąć przez leżące za nimi pełne dojrzałych czerwonych owoców zarośla, to można by niepostrzeżenie dotrzeć do samego źródła płomieni.

Fors czuł szarpiące skórę liczne ciernie, gdy pełzną napychał usta słodkimi jagodami, których gęsty sok brudził mu twarz i ręce ciemnymi plamami.

W połowie porosłej jagodami przesieki natknął się na ślady walki. Pod krzakami leżał wypalony koszyk, a rozsypane owoce, rozdeptane i przemieszane z ziemią, tworzyły gęstą, ciemnoczerwoną papkę, nad którą unosił się rój owadów. U przeciwległego skraju zarośli biegł widoczny pas wydeptanej trawy i połamanych gałązek. Na jednej z nich

kołysał się strzępek jasno-pomarańczowej tkaniny. Arskane zerwał go z kolców i powoli przeciągnął przez palce.

- To wyrób mojego plemienia - rzucił z niepokojem. - Zbierali jagody, gdy...

Fors mocniej zacisnął dłoń na drzewcu włóczni. Słaba to była broń. Z żalem pomyślał o swoim łuku. Nawet zabrany przez Koczowników miecz byłby lepszy. Ojciec nauczył go wielu sztuczek, dzięki którym miecz stawał się naprawdę niebezpieczny. Z kawałkiem bawełny w zębach Arskane poczołgał się naprzód, zupełnie nie uważając na ciernie raniące ramiona i barki. Fors ruszył za nim i już po chwili pochwycił słaby, jękliwy dźwięk, przyniesiony razem z zapachem dymu przez powiew wiatru. Dźwięk nie opadał ani się nie wznosił, cały czas brzmiał na jednym, drażniaco wysokim tonie.

Minawszy przesiekę dopadli kępy drzew i stamtąd, po rozsunięciu gęstego poszycia, ujrzeli opuszczone pole bitwy. Małe dwukołowe wózki tworzyły luźny okrąg, w tej chwili rozerwany na znacznym odcinku. Na wózkach przysiadły niezliczone ptaki śmierci, objedzone tak bardzo, że były zdolne tylko do tego, żeby siedzieć i wpatrywać się łapczywie w oczekującą je ucztę. Obok wyrwy piętrzył się stos szarobiałych ciał, porośniętych gęstą wełną, którą spływająca z wielu ran krew zamieniała w sztywne, rdzawe pancerze.

Arskane podniósł się z kłęczek. Gdzie ptaki śmierci siedziały spokojnie, tam od dawna nie było żywego człowieka. Monotonny krzyk wciąż wypełniał ich uszy, więc po chwili nadśłuchiwanie Fors zaczął szukać jego źródła. Krażąc wśród rozrzuconych ciał w pewnym momencie zauważył, że jego towarzysz pochyła się, chwytając do ręki kamień i zadaje nim szybki cios. Drażniący dźwięk ucichł natychmiast, zaś Arskane wyprostował się, trzymając w ręku wciąż jeszcze drgające ciało jagnięcia.

Musieli uzyskać odpowiedź na jeszcze jedno pytanie. Zaciskając szczęki na widok ogromu strat, bojąc się podświadomie tego, co z pewnością znajdą gdzieś pośród spalonych wozów i stosów martwych zwierząt, ruszyli na poszukiwanie śladów wroga.

Pierwszy natrafił na nie Fors, gdy potknąwszy się o koło rozbitego wózka, dostrzegł pod nim wychudłe ciało o szeroko rozrzuconych ramionach i nieruchomych, patrzących w niebo oczach. Z nagiej, obciągniętej szarą skórą piersi sterczała długa strzała. Na jej widok chłopca ogarnęło podniecenie. Przeciągnął lekko palcem po wyżłobionych na końcu drzewca delikatnych rysach. Przeczucie go nie myliło, co do jej pochodzenia - sam przecież nieraz osadzał pióra w ten sposób. Nie było tu żadnych znaków właściciela, oprócz malutkiej srebrnej gwiazdki, osadzonej tak głęboko, że nie sposób było ją zatrzeć.

- Bestia! - wykrzyknął Arskane na widok zwłok. Fors wskazał na strzałę.

- Została wystrzelona przez Gwiazdzystego. Arskane nie wykazywał większego zainteresowania - absorbowowały go własne odkrycia.

- Było to obozowisko tylko jednego klanu. Cztery wozy płoną, przynajmniej pięciu udało się uciec. Owce opóźniałyby marsz, dlatego wybili stado. Znalazłem jeszcze cztery takie maskary.

Tracił Bestię czubkiem mokasy.

Fors przestąpił zadnie nogi martwego kuca, na którym pozostawiono kompletną uprząż. W jego boku tkwił czarny dzirynt Bestii. Skoro natknęli się na pozostawione ciała przeciwnika, należało wnioskować, że atak został odparty, a obłożonym udało się wyrwać na wolność. Przeszukali pole walki, zbierając groty strzał. Fors ponadto ułamał opatrzone znakiem gwiazdy drzewce. Jakiś przybysz z Eyrie pomagał ludziom z południa w walce. Kogóż zatem spotka, gdy dołączy do plemienia Arskane'a - przyjaciela czy wroga?

Koła uciekających wozów odciskały w miękkim torfie głębokie koleiny, zaś obok nich biegły wyraźnie widoczne ślady ludzkich stóp. Czarne ptaki, które ociężałe odfrunęły na widok ludzi, wróciły natychmiast na miejsce uczty, gdy tylko para przyjaciół ruszyła tropem wozów. Arskane oddychał ciężko, a jego usta zacisnęły się w wąską, okrutną linię, tak samo jak wówczas, gdy natknęli się na zwołoki Noratona.

- Cztery Bestie - głośno zastanawiał się Fors wydłużając krok do

lekkiego biegu. - Jaszczurki zabiły jeszcze pięć. Ile może włóczyć się po okolicy? Nigdy przedtem nie zabito tylu naraz. Co się za tym kryje?

- W rękę jednej z nich znalazłem wypaloną pochodnię. Możliwe, że to również one podłożyły ogień wokół obozu Koczowników, tak jak tu podpaliły wozy, chcąc wymordować cały klan.

- Nigdy przedtem nie opuszczały ruin. Dlaczego nagle zmieniły obyczaje? Arskane splunął.

- Może one również szukają nowej ziemi, a może zachciało się im wojny i śmierci wszystkich, którzy nie należą do ich rasy. Kto wie, co takie paskudztwo może wymyślić? Patrz!

Kolejiny, którymi podążali, połączyły się z szerokim traktem rozjeżdżonej kołami wielu wozów i udeptanej setkami stóp ziemi. Nie ulegało wątpliwości, że natrafili na ślady przeciągającego plemienia. Teraz mogli już spokojnie podążać tym szlakiem, gdyż prędzej czy później spotkają znajdujący się gdzieś w przedzie lud Arskane'a. W chwilę później Fors przystanął tak nagle, że omal nie zaplątał się we własne nogi. Nie wiadomo skąd nadleciała strzała i zarywszy głęboko w piasku, drżała lekko, niosąc zarazem groźbę i ostrzeżenie. Nie musiał przyglądać się jej z bliska. Zanim jeszcze wyciągnął po nią rękę, wiedział, że w długim drzewcu znajdzie wbity głęboko niewielką gwiazdkę.

Rozdział 15

Przynęta

Arskane nie zatrzymał się, tylko skoczył w lewo i przypadł do ziemi pod osłoną zarośli, ściskając w rękę zabrany z miejsca potyczki dziryt. Fors przeciwnie - pozostał tam, gdzie stanął, wzniosł jedynie do góry puste dłonie.

- Podróżujemy w pokoju.

Słowa jego własnej mowy - ludzi z gór - zabrzmiały dziwnie po tylu tygodniach ucieczki. Od kępy rozrzuconych po prawej stronie szlaku drzew oderwała się wysoka postać, której widok nie zdziwił chłopca. Jari wyglądał imponująco nawet w prostych szatach zwykłego mieszkańca Eyrie. W odświętnym stroju Wódza Gwiazdzistych byłby bardziej dostojny, pomyślał z dumą Fors, niż Cantrul, przyodziały w uroczysty płaszcz i ozdobiony pękami piór henn. Podchodził ku nim powoli, a słońce odbijało się olśniewająco w zawieszanej na szyi srebrzystej gwieździe oraz w wyczyszczonych do połysku metalowych okuciach pasa i pochwy miecza.

Arskane przyczał się do skoku, lecz Fors gwałtownym gestem nakazał mu spokój. Jari stanął na wprost nich, drgnięciem najmniejszego muskułu nieruchomej twarzy nie okazując zdziwienia widokiem uciekiniera z gór.

- I co, ziomku. - Trzymany w rękę łuk zaczął poruszać się tak, jakby było to berło Rady. - Czy znalazłeś już swój szlak?

Fors pozdrowił go, a gdy Jari nie odpowiedział, zagryzł głęboko dolną wargę. To prawda, że nigdy w przeszłości Wódz nie okazał mu najmniejszego zainteresowania, równocześnie jednak żadnym słowem czy gestem nie dał mu odczuć, że uważa go za kogoś gorszego od reszty młodzieży Eyrie, czym już dawno zaskarbił sobie wdzięczność w sercu chłopca.

- Wędruję z Arskane'm, moim bratem z Plemienia Ciemnoskórych. - Strzelił palcami, chcąc wywołać łowcę z zarośli. - Jego lud znalazł się w niebezpieczeństwie, śpieszymy więc, aby doń dołączyć.

- Czy wiesz, że jesteś teraz wyjęty spod prawa?

Fors z trudem przełknął mdłą słodycz ściekającej z rozciętej wargi krwi. Mimo wszystko w głębi duszy liczył na łagodniejszy wyrok za opuszczenie Eyrie. Słowa Jarla poruszyły nim bardziej, niż się tego spodziewał. Poczul ogarniający go przypływ zniechęcenia i rozpacz, szybko jednak zapanował nad sobą, mając nadzieję, że Wódz nie dostrzeżeł tej chwili słabości. Eyrie nigdy nie było dla niego

szczęśliwym domem - nikt nie okazał mu serdeczności od czasu śmierci Langdona. Prawdę mówiąc, już dawno temu wyjęto go spod prawa, tym niemniej było to jedyne znane mu schronienie.

- Przy ogniu Arskane'a jego brat będzie zawsze gorąco witany.

Przenikliwy wzrok Jarla przeniósł się z Forsa na jego towarzysza.

- Wkrótce twój lud nie będzie mógł nikomu ofiarować ognia lub schronienia. Za późno wracasz, wojowniku. Wzywający do powrotu głos bębnow umilkł wiele godzin temu.

- Zostaliśmy zatrzymani wbrew naszej woli - odparł Arskane roztargnionym głosem bez reszty pochłonięty lustracją Jarla.

Oględziny nie wypadły widocznie zbyt pomyślnie, gdyż na twarzy łowcy zagościł ponury grymas.

- I sądząc z waszego wyglądu nie obchodzono się z wami zbyt łagodnie. Jari popatrzył wymownie na pokrywające przyjaciół liczne sińce i blizny. - No cóż, przed bitwą każdy zdolny do walki człowiek jest na wagę złota.

- Czyżby Koczownicy... zaczął zdziwiony Fors. Trudno mu było uwierzyć, że Cantrul tak szybko zaprowadził porządku po wywołanym pożarem zamieszaniu.

- Jacy Koczownicy? - spytał zaskoczony Jarl. - Koczownicy nie mają nic z tym wspólnego. Wśród Bestii zapanowało wrzenie i teraz porzucają swe cuchnące nory, całymi stadami wychodząc w step, aby walczyć ze wszystkimi ludzkimi plemionami!

Arskane ścisnął głowę dłońmi! Nagłym nawrotem dało o sobie znać wyczerpanie. Wymamrotał coś zbielełymi wargami, po czym ciężko ruszył przed siebie. Fors chciał pójść w jego ślady, lecz krótki gest wodza osadził go na miejscu.

- Co to za gadanie o ataku Koczowników?

Przełamując jakiś wewnętrzny opór zaczął opowiadać o pojmaniu, przebywaniu w obozie i ucieczce z miasta namiotów. Nim skończył, Arskane zniknął już z pola widzenia, lecz Jarl nadal nie pozwalał mu odejść. Wydawał się bez reszty pochłonięty oglądaniem nakreślonych na piasku końcem długiego łuku wzorów. Zniecierpliwiony Fors przystąpił z nogi na nogę. W końcu Wódz odezwał się, wypowiadając głośno nurtujące go myśli.

- Teraz lepiej rozumiem wypadki dwóch ostatnich dni. Gwizdnął przenikliwie spomiędzy zębów, a na ten zew z wysokiej trawy wypadły dwa gibkie kształty. Fors nie miał czasu przyjrzeć się czarnemu zwierzęciu, ocierającemu się o nogi Jarla, gdyż drugie stworzenie powaliło go na ziemię, przewracając z boku na bok w radosnym tańcu powitania. Chłopak śmiał się głośno, nie wierząc własnemu szczęściu, gdy poczuł na twarzy szorstki język szalejącej Lury.

- Wczoraj Nag przyprowadził ją z polowania. - Ręka Jarla pieszczotliwie wędrowała po grzbiecie wielkiego kota, którego gładkie, czarne futro w świetle słońca nabierało niebieskiego odcienia. - Na jej czaszce znalazłem duży guz. Ktoś ją musiał uderzyć w czasie walki, tak że straciła przytomność. Nie dawała mi spokoju od chwili, gdy zjawiła się u nogi Naga, cały czas nagłać, aby za nią iść - nieustępliwie chciała mnie namówić na wyprawę ratunkową. Rozradowany Fors podniósł się wreszcie, obskakiwany przez uszczęśliwioną Lurę, która co rusz trącała go głową lub całą siłą swego stalowego ciała usiłowała otrzeć się o drżące ze zmęczenia nogi.

- Wzruszająca scena.

Nastrój beztroski minał w jednej chwili. Dobrze znał ten ironiczny ton Jarla. Mówiąc w taki sposób, Wódz potrafił bardzo szybko onieśmielić nawet najbardziej pewnego siebie człowieka. Nie czekając dłużej, ruszył bez słowa śladem Arskane'a i choć nie oglądał się za siebie wiedział, że Wódz Gwiazdzistych posuwa za nim.

Jarl nie odzywał się więcej, wędrując w milczeniu niczym Nag, którego przemykająca bezszelestnie sylwetka przywodziła chwilami na myśl rzucaną przez zarośla czarna cień. Mruczająca głośno Lura nie odstępowała Forsa na krok, jakby w obawie, że chłopak zniknie ponownie, gdy tylko starym zwyczajem zacznie myszkować po stepie. Plemię Arskane'a spotkali na rozległej łące, z trzech stron obramowanej wodami rzeki. Czwartą bok zamykał długi rząd dwukołowych

wozów, niczym drewniana ściana zabezpieczająca obozowisko od strony lażu. Wewnątrz, wśród gęsto rozsianskich namiotów, przed którymi płonęły ogniska, widać było liczne, sporządzone z lin zagrody, wypełnione owcami i niewielkimi konikami ciemnej maści. Po obozie kręciło się tylko kilku zbrojnych, gdyż większość mężczyzn musiała widocznie obsadzić ukryte w stepie posterunki. Fors doszedł do wniosku, że po drodze mijali czujki Ciemnoskórych, lecz dzięki obecności Jarla przeszli nie zatrzymani.

Odnalezienie Arskane'a nie przedstawiało najmniejszej trudności. Otaczał go krąg kilkudziesięciu kobiet i paru mężczyzn, tak zasłuchanych w opowieść zwiadowcy, że nikt nie zauważył pojawienia się Forsa i Wodza Gwiazdzystych.

Wyraźnie tak widać, że Arskane kierował swój raport do jednej z kobiet. Miała władczą twarz o wyrazistych rysach, a jej wyniosła postać wzrostem dorównywała młodemu wojownikowi. Na ramiona opadały jej dwa warkocze czarnych włosów, ku którym raz po raz odruchowo wznosiła niecierpliwe dłonie. Miała na sobie długą, prostą suknię w takim samym dziwnym, pomarańczowym kolorze, co znaleziony na krzaku skrawek tkaniny, a wokół ramion i szyi połyskiwały oprawne w srebro kamienie.

Gdy skończył, zastanawiała się przez chwilę, po czym zaczęła wydawać komendy tak szybko, że Fors nie rozumiał połowy wypowiedzianych w południowym dialekcie słów. Rozkazy rozerwały pierścień słuchaczy, popychając tak kobiety, jak i mężczyzn w różnych kierunkach. Gdy ostatni z nich popędził do swego zadania, zobaczyła Forsa i oczy jej rozszerzyły się w bezbrzeżnym zdumieniu. Chcąc dostrzec jego przyczynę, Arskane obrócił się, a widząc przyjaciela, chwycił go za ramiona.

- To właśnie o nim opowiadałem. Uratował mi życie w Mieście Bestii i od tej pory został moim bratem. Jego głos zabrzmiał niemal usprawiedliwiająco.

- Jesteśmy czarnym narodem - śpiewnie odparła kobieta - i chcemy nim pozostać, mój synu. Ten człowiek jest innej rasy.

Zdenerwowany Arskane zamachał rękami.

- Jest moim bratem - powtórzył z uporem. - Gdyby nie on, zginąłbym wiele razy, a klan nigdy nie dowiedziałby się, gdzie leżą moje kości.

- Z kolei Arskane - Fors zwrócił się do władczyni bez cienia uniżenia - również ratował mnie z opresji. Czyż nie wspominał ci o tym? Musisz jednak, o Pani, wiedzieć o jednym - jestem wyjęty spod prawa i bezkarnie może zabić mnie każdy, komu przyjdzie na to ochota.

- Cóż z tego, jest to sprawa pomiędzy tobą a twoim klanem i wcale nie musisz chwalić się tym przed obcymi. Co prawda, masz białą skórę, lecz jakie znaczenie ma kolor skóry w godzinie próby? Nadchodzą dni, gdy liczyć się będzie każdy łucznik, każdy władający mieczem mężczyzna.

Schyliła się, by podnieść leżący między jej obutymi w sandały stopami kawałek piaszczystej gleby. Po chwili wyprostowała się, wznosząc ku niebu spoczywająca na złączonych dłoniach grudkę ziemi.

Na ten widok Fors postąpił trzy kroki do przodu i czubkiem wskazującego palca dotknął najpierw swych warg, a potem bryłki, składając tym samym przysięgę wierności. Nie padł jednak na kolana, aby prosić o przyjęcie do klanu, co spotkało się z aprobującym skinieniem głowy prowadzącej ceremonię kobiety.

- Myśli nasze są proste i szczerze, młody człowieku. W imię Srebrzystych Skrzydeł oraz Tych Którzy Niegdyś Latali, przyjmuję twój hołd, włączając cię w szereg wojowników do chwili, w której wspólnie uznamy, że nasze drogi rozchodzą się. Czy teraz jesteś zadowolony, Arskane?

Zwiadowca zwlekał przez chwilę z udzieleniem odpowiedzi. Spoglądał na Forsa z niezwykłym skupieniem. Widać było, że rozczarowała go postawa przyjaciela, który nie prosił o zaszczyt wstąpienia do klanu. W końcu jednak powiedział:

- Traktuję go - jak członka rodziny i pragnę, by towarzyszył nam zarówno w walce pod wspólnym sztandarem, jak przy domowym ognisku.

- Niech tak będzie.

Oddaliła ich skinieniem ręki, patrząc już w stronę Jarla, a gdy

odchodzili, słyszeli jeszcze, jak władcym głosem zaczęła zadawać mu pytania.

Arskane szybko kroczył przez obóz, odpowiadając krótko na pozdrowienia napotykanych po drodze ludzi, dopóki nie dotarli do czegoś w rodzaju namiotu zbudowanego z dwóch wozów, przykrytych z góry szerokim pasem wełnianej materii. Obok wejścia wisiały w rzędzie cztery okrągłe tarcze, wykonane z grubej, pokrytej łuską skóry, a nad nimi łopotał na wietrze niewielki proporzec. Po raz drugi Fors oglądał wizerunek rozwiniętych do lotu skrzydeł z jaśniejącą nieco niżej szkarłatną gwiazdą.

Wewnątrz natknęli się na dziewczynkę o głęboko osadzonych, żywych oczach. Mała na ich widok krzyknęła głośno i upuściwszy trzymany w rękę garnek przypadła do Arskane'a, tuląc się mocno do pokrytego bliznami ciała. Łowca, śmiejąc się, porwał ją za rękę.

- Masz oto przed sobą najmłodszego członka naszej rodziny, bracie. Nazywają ją Rosanna o Bystrych Oczach. No, mała, powitaj mego brata. Nieśmiało, bystre oczy popatrzyły z ciekawością na Forsa, a małe rączki odrzuciły do tyłu warkocze, które za kilka lat z pewnością będą mogły konkurować z warkoczami sprawującej rządu kobiety, po czym dziecięcy, lecz nawykły do wydawania poleceń głosik rozkazał, aby jego właścicielkę "postawić na ziemi". Gdy tylko stopy dziewczynki zetknęły się z podłożem, ruszyła w stronę gościa z wyciągniętymi przed siebie dłońmi. Na wpeł zgadując właściwe postępowanie Fors rozprostował w odpowiedzi swoje ręce, a wówczas dłonie dziecka wsparły się o jego potężne palce.

- Na płonący w tym palenisku ogień, na chroniący przed nocą i burzą dach, najadło i napój tego domu, witam cię serdecznie, bracie mego brata.

Ostatnie słowa wypowiedziała z nutą tnumfu i dumna ze swej pamięci uśmiechnęła się do Arskane'a.

- Znakomicie, siostrze. Jesteś prawdziwą panią tego domu.

- Dzięki ci Rosanno za takie powitanie - Fors okazał tym razem znacznie więcej uprzejmości, niż w trakcie rozmowy z władczynią.

- A teraz - Arskane ponownie spowaźniał - muszę zobaczyć się z ojcem. Obchodzi właśnie zewnętrzne posterunki. Gdybyś więc zechciał zaczekać tu na nas...

Rosanna nadal trzymała go za rękę, a teraz posłała mu radosny uśmiech taki sam, jakim obdarzyła przedtem brata.

- Mamy tu jagody, bracie mego brata, świeży ser i wyjęty z pieca placek.

- Przecież to uczta! - odwzajemnił jej uśmiech.

- Prawdziwa uczta! Będziemy ucztować, bo wrócił Arskane. Becie mówiła, że nie wróci i płakała...

- Naprawdę? - wychodzący Arskane żywo zainteresował się tym komentarzem.

Stał jeszcze chwilę, z niedowierzaniem kręcąc głową, po czym ruszył wzdłuż rzędu namiotów.

Rosanna skinęła twierdząco.

- Tak. Becie płakała. A ja nie płakałam, bo wiedziałam, że on wróci.

- A dlaczego byłaś tego taka pewna? Mała rączka pociągnęła go ku rzędowi tarcz.

- Arskane to wielki wojownik. To - różowo-brązowy palec dotknął skraju ostatniej tarczy - to zostało zrobione ze skóry grzmiącego jaszczura, którego zabił Arskane. Wyobraź sobie, że dokonał tego zupełnie sam. Nawet mój ojciec, gdy się o tym dowiedział, kazał pieśniarzowi ułożyć o tym opowieść, aby można było zaśpiewać następnej zimy, choć sam ciągle powtarza, że syn wodza nie powinien być wyróżniany ponad innych wojowników. Arskane jest bardzo silny. Przypominając sobie dni wspólnej wędrówki, Fors chętnie przytaknął.

- Tak. Twój brat jest bardzo silnym i dzielnym wojownikiem. Dokonał też wielu innych wspaniałych czynów, o których wasz pieśniarz będzie musiał ułożyć nowe pieśni.

- Nie pochodzisz z naszego plemienia. Twoja skóra - porównała ręce obojga - jest jasna, a włosy masz białe, niczym naszymi Becie, gdy odbijają się w nim promienie słońca. Nie należysz do Czarnego Narodu. Fors zaprzeczył ruchem głowy. Na tle ciemnobrązowej skóry i czarnych

włosów jego jaśniejsza skóra i srebrzystopłowa czupryna szczególnie rzucały się w oczy.

- Pochodzę z gór, daleko na wschodzie - machnął ręką, wskazując przybliżony kierunek.

- Więc musisz być jednym z tych, co hodują wielkie koty! Podążając za jej wzrokiem dostrzegł Naga i Lurę. Zwierzęta siedziały razem na uboczu, w znacznej odległości od owiec i kucyków, zapewne zgodnie z wydanym im przez Jarla poleceniem. Jednak na bezgłośny rozkaz Forsa, Lura podniosła się i podeszła do namiotu, pozostawiając Naga na poprzednim miejscu. Uradowana Rosanna zaśmiała się głośno i objęła ramionami szeroki kark kota. Lura mruknęła pieszczotliwie, liżąc w rewanżu dłoń dziewczynki.

- Czy wszyscy ludzie z gór mają za przyjaciół wielkie koty?

- Nie, kotów jest niewiele, a poza tym one same muszą sobie wybrać człowieka, któremu zechcą towarzyszyć. To jest moja najlepsza przyjaciółka Lura, a ten tam to Nag, pomocnik Wodza Gwiazdzistych.

- Znam Wodza Gwiazdzistych - ma takie łagodne oczy. Często rozmawia z ojcem po nocach.

- Łagodne oczy - Forsa zdumiał opis, tak różny od tego, co dotychczas myślał o Jariu. Choć z drugiej strony Rosanna nie widziała go takim, jaki ukazał się wyjętemu spod prawa mutantowi.

Zadymiły rozmieszczone przed namiotami ogniska, a zaraz potem po osadzie rozszedł się zapach przygotowywanej wieczerzy. Wygłodzony chłopak nie mógł powstrzymać się i znacząco pociągnął nosem.

- Jesteś głodny, bracie mego brata?

- Może tak, trochę...

Twarz Rosanny oblał rumieniec.

- Strasznie mi przykro. Znowu rozpuściłam język, zupełnie zapominając o Trzech Obowiązках. Tak mi wstyd. Chwyciła go za rękę i wciągnęła pod wełniany dach.

- Usiądź!

Poczuł pod stopami grube maty, więc posłusznie podkurczył długie nogi i siadł na tak przygotowanym podwyższeniu, podczas gdy Lura rozciągnęła się u jego stóp z zainteresowaniem obserwując krzątającą się dziewczynkę. Nie zdążył nawet przyjrzeć się dokładniej wzorom rozwieszonych wokół tkanin, gdy pojawiła się Rosanna, niosąc napełnioną parującą wodą metalową miskę i szeroki ręcznik.

Po skończonej toalecie zjawiła się przed nim taca z łyżką, miską gęstej strawy i niewielką czarką brązowego, gorzkiego płynu, takiego samego, jaki przyrzadził dla Arskane'a w ruinach miasta.

Posiliwszy się, poczuł wędrujące po całym ciele miłe ciepło, a potem musiał zasnąć, gdyż, kiedy znowu otworzył oczy, na niebie świeciły już gwiazdy, zaś po ścianach namiotu pełgał czerwony odblask ognia.

Obudził go Arskane, który klęcząc tuż obok nadal potrząsał energicznie jego ramieniem. Fors dźwignął się z legowiska.

- Co się dzieje? - zapytał zaspianym głosem.

- Mój ojciec pragnie z tobą rozmawiać.

Przytomniejąc od reszty, chłopak rozejrzał się dookoła. Jeden ze stojących przed nim mężczyzn wyglądał niczym nieco starsza kopia jego przyjaciela. W powierzchowności drugiego natomiast przykuwały wzrok srebrne skrzydła, zamocowane do obejmującego szyję łańcucha z takiego samego metalu.

Stary wódz był wyraźnie niższy od swoich dwóch synów. Ciemną skórę jego twarzy złobiły pozostawione przez pustynne wiatry i palące słońce, głębokie bruzdy. Przez podbródek biegła ponadto postrzępiona blizna po źle zagojonej ranie. Raz po raz wódz dotykał jej ostrożnie, jakby ta pamiątka sprzed lat wciąż jeszcze dawała o sobie znać.

- To ty jesteś Fors z górskich szczepów? Fors zawahał się.

- Byłem członkiem jednego z nich, teraz jednak zostałem wyjęty spod prawa.

- Pani Nephata podała mu ziemię...

Krótkie, ostre spojrzenie ojca skutecznie uciszyło Arskane'a.

- Mój syn opowiadał co nieco o waszych wędrownikach. Chętnie jednak usłyszę więcej o obozowiskach Koczowników i o tym, co się wam tam przydarzyło.

Chłopak jeszcze raz streścił ostatnie wypadki. Gdy skończył, wódz

popatrzył nań takim samym karcącym wzrokiem, jakim przed chwilą przywoływał do porządku Arskane'a. Przez krótki moment ich spojrzenia skrzyżowały się w niemej potyczce, po czym Pan Skrzydeł zwrócił się do stojącego obok starszego syna:

- Ty, Rance, uprzedzisz zwiadowców i co godzina będziesz obchodził zachodnie posterunki. W razie ataku musicie rozpalić na wzgórzach dwa ogniska. Dopilnuj, żeby każdy o tym pamiętał.

- Widzisz, przybyszu - wódz odwrócił głowę w stronę drzwi, gdzie w cieniu Fors dopiero teraz dostrzegł nieruchomą sylwetkę jeszcze jednego wojownika - my nie ruszamy na wojnę niczym na ucztę, jak mają to w zwyczaju Koczownicy. Jeśli jednak okazało się to nieuniknione, będziemy walczyć. My, którzy stawiliśmy czoła gniewowi grzmiących jaszczurów, by w końcu z ich skór uczynić sobie tarcze...

- Nie ulękniecie się kilku lanc w rękach ludzi - w głosie Wodza Gwiazdzistych można było wyczuć lekkie rozbawienie. - Może masz rację, Lanard, lecz nie zapomnij, że będziesz także walczyć przeciw Bestiom, które w niczym nie przypominają człowieka!

- Wojenne bębny plemienia dudniły na mój rozkaz jeszcze w czasach, gdy jego nie było na świecie - rzekł wskazując na Arskane'a - przez wszystkie te lata nie zdarzyło mi się, bym stawiając czoła jednemu niebezpieczeństwu, zapomniał o drugim.

- Wybacz Lanardzie. Tylko głupiec chce uczyć wydrę pływania. Pozostawmy wojnę wojownikom.

- Wojownikom, którzy zbyt długo siedzą beczynnym. Biegiem na stanowiska. Wszyscy!

Spełniając polecenie ojca, Arskane i Rance wypadli z namiotu, a stary wódz ruszył szybko za nimi. Fors zrobił krok ku wyjściu chcąc dołączyć do przyjaciela.

- Zaczekaj! - głos rozległ się niczym trzaśnięcie bicia. Fors zeszywniał. Jari nie miał prawa mu rozkazywać, nie miał najmniejszego prawa od chwili, gdy ogłoszono go wyjętym spod prawa. Wiedział o tym bardzo dobrze, a jednak położywszy rękę na głowie Lury, przystanął wyczekująco.

- Ci ludzie - Jari zaczął gwałtownie wyrzucać słowa - wzięci w dwa ognie, ulegną zagładzie. Nie zwykli się cofać, gdyż jest to sprzeczne z ich naturą. Zresztą na swojej ziemi nie mieli wrogów, którym nie potrafiliby sprostać. Teraz sytuacja się zmieniła. Znaleźli się na obcej ziemi i chcą walczyć z doskonale z nią obeznanym, zamieszkującym te tereny przeciwnikiem. Grozi im większe niebezpieczeństwo niż to sobie wyobrażają, gdyby jednak powiedzieć im prawdę - nie uwierzą w nią.

Fors nie przerwał milczenia, więc po chwili Wódz Gwiazdzistych odezwał się ponownie.

- Langdon był moim najlepszym przyjacielem. Zawsze go ceniłem, choć była w nim jakaś gorączkowość, przez co nie zawsze mógł przewidzieć bieg przyszłych wydarzeń.

Słyszając krytykę ojca, Fors poczuł złość, lecz nadal się nie odzywał.

- Choć taki młody, zdażyłeś już złamać prawa klanu, w dumie i uporze idąc własną drogą.

- Nie proszę Eyrie o nic!

- Dwa razy słuchałem twojej opowieści i myślę, że lubisz Arskane'a. Masz też otwarte oczy i łatwo zaskarbiasz sobie ludzką sympatię. Tego Marphy'ego warto zapamiętać. Sądzę, że dobrze będzie z nim porozmawiać. Natomiast Cantrul to urodzony wojownik, człowiek zupełnie innego pokroju. Pozwól mu stoczyć bitwę, a przekonasz się, że będzie bardziej przystępny, gdyż nasyci się odniesionym zwycięstwem. Nie pozostaje nam zatem nic innego, jak tylko wskazać mu przeciwnika - kogoś innego niż to plemię...

- Kogo? - Bezgranicznie zdumiony Fors zdołał wykrztusić tylko jedno słowo.

- Bestie. Wyraźny ślad powinien zaprowadzić je na północ, do obozu Koczowników.

Fors zaczął pojmować. Przełknął ślinę, czując nagłą suchość w gardle. Być przynętą dla Bestii, ruszyć na północ cały czas ze straszliwą śmiercią na karku. Poczuł na plecach zimną łapę strachu.

- Takie zadanie może wykonać tylko któryś z nas.

- To znaczy, że nie powiemy o tym Lanardowi?
- Tak będzie najlepiej. W tej chwili plan im się nie spodoba. A ty - ty jesteś banita - obcym, który może być podszyty tchórzem. Jeśli opuścisz obóz, uciekniesz...
- Paznokcie Forsa pograżyły się głęboko w ciele zaciśniętych w pięści dłoni. Nie mógł znieść myśli, że w oczach Arskane'a zostanie dwulicowym tchórzem tylko dlatego, że w głowie Jarla zrodził się zwariowany pomysł. Ogarnęło go wzburzenie, a mimo to gdzieś w środku, jakaś część jego świadomości akceptowała punkt widzenia wodza.
- Jeśli dojdzie do walki Koczowników z Czarnym Narodem, to łatwo może się zdarzyć, że Bestie zniszczą niedobitków obu tych plemion.
- Nie musisz mnie przekonywać, że dwa i dwa to cztery - warknął Fors. Gdzieś na zewnątrz rozległ się dziecięcy głos Brat tego dzieciaka wydobył go z doliny jaszczurek.
- Kiedy mam wyruszyć - spytał Wodza Gwiazdzystych, nienawidząc jego, siebie i każdego wypowiedzianego słowa.

Rozdział 16

Ścigany

Fors z wdzięcznością pomyślał o ułatwiającej widzenie w ciemności mutacji. Już od godziny posuwali się ostrożnie biegnącym wzdłuż pradawnej drogi rowem, a on wskazywał przejście prowadzonej przez Ars-kane'a grupce ciemnoskórych wojowników. Co prawda, wiszący na niebie księżyc w pełni zalewał spękaną nawierzchnię pobliskiej drogi ostrym blaskiem, lecz w rzucanym przez gęste zarośla cieniu tylko on jeden mógł wypatrzeć drogę.

Cieszył go ciężar przewieszzonego przez plecy łuku i pełnego strzał kołczanu, choć był to krótki, opatrzony podwójną cięciwą łuk z południa, a nie długa, prosta broń, do jakiej przywykł w górach. Ponadto u pasa miał przyczepiony jeden z mieczy Arskane'a, ten, którego rękojeść najbardziej pasowała do jego dłoni.

Gdyby nie ciążył na nim plan Jarla, czułby się teraz naprawdę szczęśliwy. Podążał za Arskane'm jako członek jego szczepu - otoczony przez ludzi akceptujących go, bez zadawania żadnych pytań i po raz pierwszy od bardzo dawna był komuś naprawdę potrzebny. Niestety, zgodnie z powziętym zobowiązaniem, będzie musiał porzucić to wszystko, gdy tylko nadejdzie właściwa chwila.

Jari wyruszył w poszukiwaniu Bestii na zachód. Jego ten sam obowiązek rzucił do oddziału Arskane'a. Może wtedy, gdy już opuści plemię, spotka się z Wodzem, a może nie zobaczą się już nigdy więcej.

Przywołał cicho Lurę. Jeśli przyjdzie mu uciec tej nocy, to jej pomoc będzie bardzo potrzebna.

Stara droga szerokim łukiem omijała podstawę rozlanego wzgórze. W pewnej chwili Fors się zatrzymał. Czy naprawdę dostrzegł jakiś ruch w połowie zbocza? Chwycił za łokieć idącego przed nim człowieka i ścisnął mocno, wiedząc, że sygnał zostanie szybko przekazany wzdłuż linii.

Z boku mignęło kremowe futro Lury, która przebiegała drogą i szybko szła w górę. Jeśli ktoś krył się w wąskim pasie zarośli, zostanie spłoszony lub unieszkodliwiony.

W miejscu, gdzie coś przykuło przedtem jego uwagę, krzaki poruszyły się nagle i na otwartą przestrzeń wybiegła biegnąca postać. W świetle księżycy znajomą linią zarysowały się wychudłe barki.

- Bestia!

Ryk Lury rozdarł powietrze, głośząc całkowicie jego ostrzeżenie. Usłyszeli trzask łamanych przez atakującego kota gałęzi. Tym razem Lura miała za zadanie nie zabijać, tylko przestraszyć i odpędzić. Na widok biegnącego pochyłością wroga ludzie Arskane'a przyklękli, nakładając strzały na cięciwy ściągniętych z pleców łuków. Napięte rzemienie świsnęły, wyrzucając w górę kilkanaście pierzastych pocisków. Większość z nich musiała spaść grubo poniżej celu, gdyż, jak Fors doskonale wiedział, strzelanie do góry wymagało wielkiej

wprawy.

Gnana strachem Bestia skryła się po drugiej stronie wzgórza tak szybko, że wojownicy nie zdążyli nawet wystrzelić następnych strzał. Minąwszy szereg rozczarowanych łuczników Arskane zbliżył się do Forsa.

- Jak myślisz, czy to był ich zwiadowca?

- Możliwe. Zawsze dotychczas działali w grupach. Jeśli to zwiadowca, to zaraz pobiegnie i złoży meldunek.

Ciemnoskóry w zamyśleniu przygryzł kciuk. Fors znał trapiące go wątpliwości. Arskane obawiał się zasadzki. Tak mało wiedzieli o sposobach walki Bestii. Wyglądało jednak na to, że czajenie się w ciemności najbardziej odpowiadało naturze tych odrażających stworzeń. W ruinach miast uderzały z ukrycia, ilekroć było to tylko możliwe. Wreszcie Arskane postąpił zgodnie z przewidywaniami Forsa. Dał sygnał do wymarszu, chcąc wypełnić powierzone zadanie, czyli obejść wyznaczony rewir i dotrzeć do wzgórza, na którym przygotowano sygnałowe ognisko. Niewielka kolumna z ubezpieczającą skrzydła Lurą, bez przeszkód posuwała się do przodu, dzięki czemu wkrótce osiągnęli strażniczy pagórek i zmienili czuwających tam wojowników.

Zbliżał się świt. W słabym, szarym świetle zwyczajne drzewa i krzaki zdawały się żyć dziwnym, nierealnym życiem, jakby pochodziły z innego świata, oddzielonego od rzeczywistości tylko cienką, przezroczystą błoną. Wartownicy wycięli większość porastających szczyt zarośli, odsłaniając tym samym widok na całą okolicę.

W pierwszej kolejności Fors odszukał obóz na brzegu rzeki, a potem zajął się wyszukiwaniem innych punktów orientacyjnych w terenie, co mogłoby się mu przydać na wypadek, gdyby trzeba było przystąpić do realizacji planu Jarla. Zluzowani wartownicy równym rzędkiem schodzili w dół i mieli właśnie skryć się w przydrożnym rowie, gdy ostatni z nich zamachał z przerażenia rękami i bez najmniejszego jęku runął na ziemię. Poprzedzający go wojownik musiał coś usłyszeć, gdyż obejrzał się za siebie, a widząc leżącego ruszył mu na pomoc, lecz zdołał przejść zaledwie kilka kroków, nim głośno charcząc padł na kolana, bezsilnie zaciskając dłonie na tkwiącym w gardle czarnym dziurym.

Zaatakowani rozsypali się w luźną tyralierę i popędzili z powrotem pod górę, chcąc jak najszybciej osiągnąć bezpieczny skraj otaczających wierzchołek zarośli. Niestety, manewr ten kosztował ich życie dwóch następnych ludzi, których przeszyte pociskami Bestii poskręcane ciała zaległy w bujnej trawie, porastającej łagodne zbocze.

Przedarł się tylko jeden, z przerażeniem w oczach wpadł między wojowników czających się z napiętymi łukami. Słychać było straszliwe przekleństwa rzucane na niewidzialnego wroga, który siał śmierć, sam nie wystawiając się na strzały strażników wzgórza.

Lura opuściła swą kryjówkę w dole stoku i podpełzła do Forsa. Chłopak popatrzył w jej niebieskie, rozszerzone oczy, a w odpowiedzi wielki kot poruszył głową z lewa na prawo, dla pewności powtarzając ten ruch kilkakrotnie. A więc byli otoczeni! Możliwe, że było już za późno, by wprowadzić w życie powierzone przez Jarla zadanie. Zdusił w sobie zrodzoną tej myśli nadzieję. Nawet gdyby w istocie tak było, nie miał wyboru. Okoliczności sprzyjały ucieczce i było pewne, że w takiej sytuacji Bestie podażą jego tropem. Musiał opuścić Arskane'a, choćby miało to pociągnąć za sobą jego śmierć. Skoro jest szansa, musi z niej skorzystać.

- Jesteśmy otoczeni - jak mógł najciszej przekazać sygnał Lurze.

Arskane skinął głową.

- Wiem. Domyśliłem się tego, gdy tylko do nas podeszła. No cóż, możemy teraz tu posiedzieć parę dni. Jeśli zechcą nas wziąć głodem... Póki co, powiem ludziom by się ukryli. Wypatrując Bestii za bardzo się odsłonili...

Zaczął wydawać odpowiednie rozkazy, wróg jednak i tym razem okazał się szybszy. Nim ktokolwiek zdążył się poruszyć, gdzieś z dołu nadleciał dziuryt i z głuchym młaśnięciem wbił się w ramię stojącego najbliżej Ars-kane'a człowieka. Trafiony krzyknął z bólu wyciągając jak nadalej od siebie rękę z tkwiącym w niej drzewcem. W jednej

chwili polanka opustoszała. Arskane schwycił rannego i śladem pozostałych skrył się wśród zarośli. W milczeniu rozglądali się gorączkowo, bezskutecznie wypatrując zamaskowanych Bestii. Wyczekiwanie stawało się nieznośne. Do głosu zaczęły dochodzić napięte do ostateczności nerwy i raz po raz któryś z wojowników napinał łuk, mierząc w stronę wymagowanego celu. Żaden jednak nie wypuścił dotychczas strzały, gdyż byli to ludzie doświadczeni w bojach i mimo zamieszania zdawali sobie sprawę, że cenne pociski będą bardziej przydatne w chwili, gdy wróg opuści swoje kryjówki. Wiedzieli, że czeka ich walka, której wynik w znacznej mierze zależeć może od cierpliwości ścierających się stron. Nie pozostało im nic innego, tylko leżeć w bezruchu i czekać.

Fors jeszcze raz wysłał Lurę na zwiady. Musiał wiedzieć, czy w rozwiniętym przez Bestie pierścieniu nie znajdzie się jakaś luka. Gdyby udało się odkryć niestrzeżone przejście, rzuci się w nie, a po minięciu linii posterunków ruszy na północ. Oczywiście, szybko zostanie dostrzeżony, zanim jednak przeciwnik wyśle pogoń, zechce upewnić się, czy uciekinier zmierza w stronę obozu nad rzeką. Dlatego też na początku powinien zachowywać się tak, jakby stracił orientację, a wówczas chęć pościgu może pchnąć kilka Bestii na jego trop.

W ciągu tego ranka przybyły jeszcze dwie ofiary. Nieustannie krążący pomiędzy wojownikami Arskane odkrył przyszpilone dziirytem do ziemi zwłoki oraz rannego z rozszarpaną nogą, zajętego opatrywaniem własnej rany. Gdy wrócił do Forsa, twarz miał bardzo poważną.

- W południe wyślą nam pomoc. Jeśli rozpalimy ostrzegawczy ogień, zwiną obóz i ruszą nam z odsieczą, co wprowadzi ich wprost w pułapkę. Korson mówi, że pamięta stare sygnały dymne i chce spróbować wysłać wiadomość. Jest to jednak niebezpieczne, gdyż człowiek nadający sygnały wystawi się na cel Bestiom.

Popatrzył ponuro na otaczające ich drzewa.

- Zostało nas pięciu, w tym dwóch rannych. Jeśli zginiemy, a plemię będzie uratowane, to nasza śmierć nie pójdzie na marne.

Fors stłumił w sobie chęć zgłoszenia się na ochotnika. Widział, jak olbrzym przystanął wyczekująco, wpatrzony w jego twarz, gdy jednak spodziewana odpowiedź nie padła, zawrócił i poczołgał się w stronę stosu zgromadzonego drewna. Chłopak miał właśnie zamiar ruszyć śladem przyjaciela, gdy w tym samym momencie dostrzegł coś, co osadziło go na miejscu, budząc zarazem podniecenie i niepokój. Nieco poniżej głazu, za którym się ukrył, mignęła mu przelotnie głowa Lury. Więc przejście istniało. Cały spięty zaczął skradać się w kierunku kryjówki kota.

Ucieczka tą stroną zbrocza zupełnie mu się nie uśmiechała. Teren był otwarty, porośnięty rzadko rozrzuconymi krzakami jałowca. Biegąc tędy może zostać trafiony, zanim uda mu się odskoczyć na bezpieczną odległość. Niemal natychmiast nadeszła jednak inna myśl. Jeśli ruszy we właściwej chwili, skupi na sobie uwagę wroga, zwiększając tym samym szansę przeżycia nadającego sygnał człowieka. Już był przy Lurze. Zwieńczona brązowymi uszami głowa wielkiego kota jeszcze raz wskazała grupkę omszałych skał. Zwilżył językiem spierzchnięte wargi. Musi odłożyć łuk i nieporęczny kołczan. Miecz i myśliwski nóż powinny wystarczyć. Odczekał jeszcze chwilę, po czym sprężył mięśnie i niczym zwolniona z cięciwy strzała pomknął zygzakiem w dół zbrocza. Gdzieś z tyłu rozległ się zdumiony okrzyk, a zaraz potem wszystko zagłuszył szelest roztrzącanych skał i opętańczy łomot w skroniach.

Męczące wyczekiwanie i niepewność ostatnich godzin minęły bezpowrotnie. Mógł wreszcie całkowicie skupić się na wykonaniu zadania. Przeciskali się wśród drzewek młodego lasu, nie próbując nawet zacierać śladów, gdy Lura dała znać, że są ścigani. Serce Forsa zaczęło bić jeszcze szybciej. Nadszedł czas śmiertelnej rozgrywki. Całej przebiegłości przeciwnika mógł przeciwstawić siłę nóg, myśliwskie doświadczenie i umiejętność orientacji w nieznanym terenie. Bestie zechcą dopaść go jak najszybciej, samotny człowiek to dla nich kuszący kasek, lecz on nie może dać się złapać, przynajmniej do czasu, aż znajdą się na ziemiach Koczowników, co powinno sprowokować akcję Cantrula. Obmyślony przez Jarla plan, choć prosty,

był szalenie ryzykowny - czy rzeczywiście stanie się tak, jak tego oczekiwali?

Przystawali kilkakrotnie w ciągu dnia, aby choć chwilę odetchnąć, a wtedy za każdym razem Lura upewniała go, że ktoś podąża ich śladem. Na którymś postoju postanowił przyjrzeć się bliżej pogoni, więc po przejściu strumienia wdrapał się na górującą nad okolicą skałę i tam, ukryty w płytkiej rozpadlinie, czekał cierpliwie, dopóki z oddalonego o jakieś pół mili lasu nie wyłoniły się trzy ciemnoszare sylwetki. Pierwsza z nich poruszała się na czworakach, obwąchując starannie ziemię wokół siebie. Pozostałe szły powoli, bacznie rozglądając się na wszystkie strony. Miał przeciw sobie trzy Bestie. Ile jeszcze mogło ich pozostać na strażniczym wzgórzu? Wewnętrzny głos mówił mu, że Ciemnoskórym udało się wysłać ostrzegawcze sygnały, zaś rozsądek nakazywał porzucić wszystkie myśli i bez reszty skoncentrować się na wypełnieniu zadania. Mimo to nie potrafił stłumić w sobie niepokoju o losy przyjaciół. Poczul, że łapie drugi oddech. Po chwili namysłu zaczął nieudolnie zacierać ślady. Bestie mogły uwierzyć w jego paniczną ucieczkę, tym niemniej taka ostrożność na pokaz nie zawadzi. Pojawiła się Lura. Przez jakiś czas obserwowała wysiłki Forsa, po czym mruknęła aprobusz, najwidoczniej dzielając jego przypuszczenia.

Na krótko przed zmrokiem skręcili na zachód, kierując się w stronę jeziora bobrów i leżącego na tej samej linii obozu Cantrula, o ile oczywiście ogień nie przegnał Koczowników w inne miejsce. Nie przerywając marszu zrywał jagody oraz kłosa zbóż, porastających rzadkimi kępkami zdziczałe pola. Połykał je, próbując w ten sposób oszukać głód. Przechodząc przez stary sad natknął się na twarde, wpół dojrzałe brzoskwinie. Zerwał kilkanaście największych owoców i nie zwalniając kroku zjadł, po czym ugasił pragnienie w pobliskim strumieniu.

Noc była najgorsza. Na miejsce spoczynku wybrał sobie stare drzewo o gałęziach, na których można było się położyć. Wdrapał się na konar, a Lura położyła się na gałęzi, obok grupy omszałych skałek, które w razie potrzeby mogły dać doskonałe ukrycie. Na tle kremowych, zwietrzałych kamieni, ogromny kot był niemal zupełnie niewidoczny. Fors zapadł w płytki niespokojny sen, raz po raz budzony tępym bólem cierpiących z przemęczenia mięśni. Rozcierał wtedy stwardniałe miejsca i zasypiał ponownie. Gnany niepokojem dwukrotnie zmieniał kryjówkę, za każdym razem pokonując około mili i starannie sprawdzając możliwość szybkiej ucieczki.

Szary świt zastał go leżącym na skale przewieszającej się nad strumieniem, który musiał wypływać z jeziora bobrów. Wirujące powoli wśród omszałych głazów kawałki zwęglonego drewna zdawały się to potwierdzać. Poziom wody w korycie znacznie się obniżył od czasu pożaru, najwidoczniej bobry przystąpiły do reperacji uszkodzeń. Leżał bez ruchu i myślał, że dobrze by było wstać i ruszyć w drogę, podczas gdy organizm bólem stawów i drżeniem wyczerpanych mięśni domagał się odpoczynku. Czuł się tak, jakby biegł od tygodni - przecież od opuszczenia ruin miasta nie zaznał chwili spokoju. Nic dziwnego, że po wszystkich tych przejściach dawało o sobie znać znużenie spotęgowane świadomością, że najbliższa przyszłość również nie obiecywała wytchnienia.

Zrezygnowany, miał właśnie się podnieść, gdy uwagę jego przykuła widoczna na powierzchni wody przypominająca kształtem klingę miecza, długa fala. Popatrzył dokładniej, a wówczas w jej wierzchołku dostrzegł pływające pod prąd niewielkie zwierzę. Stworzenie posuwało się powoli wzdłuż brzegu, kręcąc głową na wszystkie strony, jakby czegoś poszukiwało. Jego zachowanie sprawiało pozory inteligentnego, co wydawało się Forsowi tak nieprawdopodobne, że przez chwilę zwątpił w realność rozgrywającej się na jego oczach sceny. Tymczasem mały pływak znalazł się na wysokości dwóch kamieni, między którymi chłopak przyklęknął, aby ugasić pragnienie, zanim wspiał się do góry. Coś go musiało zaintrygować, gdyż dopłynął w tym miejscu na brzeg i chrobocząc pazurami o kamienisty brzeg, wyszedł z wody. Otrzymał się energicznie, po czym natychmiast stanął słupka na tylnych łapach, przyciskając do pokrytego jaśniejszym futrem podbrzusza, a wzniesioną

wysoko głową łowiąc niesione porannym wiatrem zapachy. To był szczur - duży szary szczur, taki sam jak te, z którymi ludzie od niepamiętnych czasów prowadzili nie kończącą się wojnę. Szczur. Fors przypomniał sobie słoneczny poranek na handlowej ulicy zniszczonego miasta, kiedy to takie właśnie stworzenie obserwowało go bacznie ze sterty gruzu. Każdy wiedział, że szczury najliczniej zamieszkiwały miasta, lecz nawet tam nie były spotykane zbyt często. Ich królestwo rozciągało się pod ziemią w cuchnących ciemnych norach i kanałach ściekowych, oplatających całe miasto ukrytą siecią. Zwierzę poruszyło się, a wówczas, w narastającym świetle poranka na jego szyi błysnął jakiś metalowy przedmiot. Wyglądało to jak wykonana z cienkiej blachy obroża. Tak, to była metalowa obroża. Kto i dlaczego ją założył?

Zaczął się zastanawiać. Kto jeszcze mieszkał w miastach? Kto mógł oswoić szczury, aby mu służyły? Znał odpowiedź. Ciągłe nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego. Przecież szczur nie był groźny. Nie był w stanie zagrozić człowiekowi, nie mówiąc już o Lurze i tylko w stadzie stanowiły pewne niebezpieczeństwo. Stado. Tak. To mogło wszystko tłumaczyć.

Szczur wskoczył na wierzchołek kamienia, gdzie spokojnie porządkował futerko, jakby wypełnił powierzone mu zadanie i mógł teraz zająć się własnymi sprawami. W trakcie toalety poruszał głową, dzięki czemu Fors mógł dokładniej obejrzeć obrożę. Zrobiono ją z płaskich ogniw, które połączono w sposób umożliwiający wyginanie jej na wszystkie strony.

Nagle stworzenie znieruchomiało, a jego paciorkowate oczy zwróciły się w napięciu w dół strumienia. Fors nie mógł teraz odejść. Musiał zobaczyć, co będzie dalej, tym bardziej, że Lura przekazała mu sygnał o podobnym znaczeniu. Wielki kot rozpląszczył się na skale na wyciągnięcie ręki, bezgłośnie szczerząc kły oznajmiał mu czyjeś przybycie. Nie czekali długo. Najpierw usłyszeli plusk. Dźwięk powtarzał się i był zbyt regularny, jak na odgłosy natury. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że najlepiej byłoby w tym momencie zniknąć, lecz równocześnie coś powstrzymywało go na miejscu.

Zza najbliższego zakrętu wyłoniła się pokraczna figura. Przybysz brnął niezdarnie przez usiane naniesionymi gałęziami płycizny, przy każdym kroku wzbijając fontanny rozpryskujących się dookoła kropelek wody. Przyjrząwszy mu się bliżej. Fors odkrył na plecach okazały garb. Jednak w miarę zbliżania się obcego stawało się jasne, że to, co wziął początkowo za przejaw kalectwa było w istocie przenośną klatką. Na widok nadchodzącego szczur zjeżył się cały i odsłonił drobne, białe zęby, lecz pozostał na miejscu, najmniejszym ruchem nie zdradzając chęci ucieczki.

Bestia zatrzymała się o krok od szczura i niespiesznie wyciągając długie ramię, schwyciła go za obrożę, zupełnie przy tym nie zwracając uwagi na zadadle kłapanie szczęk i szybkie ruchy zbrojnych w pazury łap, po czym wprawnie wrzuciła do klatki, z trzaskiem zamykając wieko. Z dzikiego jazgotu, jaki potem nastąpił. Fors wywnioskował, że w jej wnętrzu kryć się musiało więcej tych stworzeń. Zaintrygowany chciał popatrzeć jeszcze przez chwilę, lecz widząc, jak Lura opuszcza swój punkt obserwacyjny, poszedł w jej ślady. Skoro uznała, że powinni ruszyć dalej, najlepiej było zdać się na jej instynkt. Zaobserwowana scena nie dawała mu spokoju. Dlaczego szczury? Może szczury tropiły uciekinierów nocą, podczas gdy Bestie mogły spokojnie spać? Gdyby tak było, to jego wspinaczka po drzewach musiała sprawić im wiele kłopotu. Chyba, że one również łąziły po drzewach. Zaczął żałować, że tak słabo zna zwyczaje tego gatunku. A dlaczego z kolei żaden z Gwiazdzistych w swych kontaktach z Bestiami nie odkrył używanych do pomocy szczurów? Czyżby było to coś nowego - jeszcze jeden przejaw podstępnej wrogości, która wypchnęła mieszkańców starych nor na otwartą przestrzeń do walki z potomkami Przodków? Przebiegł pamięcią wszystkie zasłyszane kiedyś opowieści o Bestiach, maskując jednocześnie ślady, aby opóźnić pogoń. Uważano powszechnie, że Bestie pochodzą od zamieszkujących niegdyś w miastach ludzi, poddanych potężnemu promieniowaniu. Dzieci niedobitków stworzyły rasę mutantów, tak dalece odmiennych od rodziców pod względem wyglądu i

umysłu, że o człowieczeństwie nie mogło być dłużej mowy. Była jeszcze inna, mniej rozpowszechniona wersja. Według niej Bestie wywodziły się od najeźdźców, których oddziały wylądowały, aby zająć zbombardowany kraj. Miały wśród nich być również kobiety. Los tych formacji został przesadzony, gdy w wyniku działań odwetowych ich własny naród zginął w nawale atomowego ognia. Pozbawieni możliwości odwrotu, daremnie oczekujący na nadejście rozkazów żołnierze trwali z uporem na stanowiskach, nie zważając zupełnie na szalejące wokół promieniowanie, co w efekcie doprowadziło do tak potwornej mutacji. Nie wiadomo, która teoria była prawdziwa. Nie miało to zresztą większego znaczenia, gdyż niezależnie od wszystkiego, budzące w ludziach instynktowną odrazę i wrogość Bestie były ostatecznie takimi samymi ofiarami tragicznej pomyłki Przodków, jak wszyscy inni. Przed Forssem pojawiły się pierwsze połacie spalonej ziemi. Przebiegł jeszcze kawałek, a wtedy oczom jego ukazało się czarne, wypalone pustkowicie. W powietrzu unosił się zapach spalenizny, a każdy krok wzbijał w górę obłoczki pobudzającego do kaszlu pyłu. Tu i ówdzie wypalony kikut drzewa połyskiwał ciemnowiśniowym blaskiem przygasającego żaru. W zasięgu wzroku nie znalazł niczego, co mogłoby dawać jakieś ukrycie, więc po chwili namysłu doszedł do wniosku, że najlepiej będzie wrócić do strumienia, choćby nawet wiązało się to z wcześniejszym odkryciem przez szczury, lub ich opiekuna. Kaszłąc i przecierając łzawiące oczy. Fors posuwał się w górę potoku. Woda sięgała mu pasa, rzadziej piersi i tylko raz, nie mogąc sięgnąć dna przepłynął kilkanaście kroków, walcząc z powolnym, ale wyczuwalnym prądem. Na przybrzeżnych krzakach i skałach, wysoko ponad obecnym poziomem zwierciadła, widać było pasma zeschłej trawy oraz kawałki zwęglonych gałęzi, naniesione przez wezbrany w chwili pożaru nurt. Skoro obecnie woda opadła, tama musiała zostać choć w części naprawiona. Wkrótce potem miał okazję przekonać się o tym naocznie, gdy dalszą drogę przegrodziła mu bobrza budowla. Wspiął się na jej grzbiet, a wtedy ujrział całe jezioro, z żalem pomyślał, że jeśli bobry nie przeniosą się gdzieś dalej, to będą głodować przynajmniej do najbliższej wiosny, do czasu, gdy pojawią się nowe odrosty, zaś na to, aby na brzegach znowu zaszumiały drzewa, trzeba będzie poczekać przynajmniej kilkadziesiąt lat. Fors zanurkował. Nawet tu, pod wodą docierał do niego swąd spalenizny. Wypłynął na powierzchnię i skierował się w kierunku ujścia zasilającej jezioro rzeczki, wzdłuż której uciekali z Arskane'm z obozu Koczowników. Na wodzie unosiły się ciała martwych zwierząt. Wyminął jelenia, dziką krowę, a daleko przy przeciwległym brzegu dostrzegł wzdętego konia z wymalowanymi jaskrawą farbą znakami mieszkańców Równin. Przepłynął jezioro, lecz nim ruszył w górę strumienia, spojrzął za siebie. Na koronie tamy pojawiła się właśnie garbata sylwetka nosiciela szczurów, a zaraz potem dołączyły do niej jeszcze trzy Bestie. Pogoń zatrzymała się, radząc nad czymś zawzięcie, jakby stworzenia zastanawiały się nad wyborem dalszej drogi. Gdy tak stały, okazując wahanie i strach tak przed wodami jeziora, jak i dymiącym wokół stepem, na tamie pojawiło się pięć następnych wychudzonych postaci. Fors ukrył się wśród rozrzuconych półkuliście skał. Po raz pierwszy w życiu cieszył się na widok Bestii. Znaczyło to przecież, że plan Jarla się powiódł. Nie potrafił powiedzieć, ile tych stworzeń pozostało w zasadzce na wzgórzu. Wiedział tylko, że ścigająca go grupa była wystarczająco liczna, aby zainteresować Cantrula. Bestie były zawziętymi i przebiegłymi wojownikami, jednak zawsze starały się unikać otwartej walki. Ich obecna, pełna beztronski otwartość najlepiej świadczyła o poczuciu bezpieczeństwa i pewności siebie. Tymczasem grupa na tamie doszła do porozumienia, gdyż posiadacz klatki zdjął ją z pleców, po czym zaczął ułamywać sterczące w konstrukcji gałęzie. Wkrótce powstało z nich coś na kształt tratwy, a wówczas umieszczono na niej klatkę i całe towarzystwo weszło do wody, płynąc niezdarne, lecz pewnie. Fors poderwał się na nogi, ślizgając się na pokrytych zielonym śluzem głazach. Szedł powoli w sięgającej piersi wodzie, cały czas

rozglądając się w poszukiwaniu dogodnego wyjścia na brzegu Akurat w tym miejscu brzegi były strome, a dostępu do nich broniły dodatkowo zalegające gęsto po obu stronach strumienia, wciąż jeszcze dymiące pnie drzew.

Chcąc nie chcąc przewędrował wodą milę, zanim z za kolejnego zakrętu wyłoniła się rozległa plama zieleni. Podszedłszy bliżej, przekonał się, że ma przed sobą podmokłe obniżenie terenu, oddzielone od potoku pasmem wysokich trzcin. Zdumiał go brak śladów ognia. Widocznie bliskość rzeki uratowała ten zakątek przed szalejącą pożogą. Nie namyślając się dłużej, zaczął rozgarniać gęste szuwary, brnąc po kolana w lepkim, czarnym mule. Natychmiast opadła go chmara moskitów, lecz on nie zwracał na nie najmniejszej uwagi, nie przerywając marszu nawet na chwilę. Szybko pozostawił bagnisko za sobą i wreszcie znalazł się na otwartej przestrzeni. Łagodnie opadająca ku wodzie nieckę porastała bujna trawa, wśród której bez trudu można było dostrzec głęboko odcisnięte ślady kopyt. Zbadał liczne tropy, a wtedy okazało się, że niektóre z nich są całkiem świeże - najlepszy dowód obecności Koczowników w tej okolicy. W miękkiej glinie dostrzegł wyraźny trop Lury, prowadzący w głąb łądu. Chcąc podążyć jej śladem, chwycił wystające z ziemi korzenie, pomagając sobie w ten sposób w pokonaniu śliskiego stopnia. Zrobił zaledwie kilka kroków, gdy jakaś siła poderwała jego nogi w górę. Padając usłyszał dziki, nieludzki śmiech, który przejął go dreszczem i sprawił, że dłoń zacisnęła się mocno na rękojeści miecza. Miętko zetknął się z podłożem, odruchowo przetoczył przez bark i wywijając nagim ostrzem poderwał się na nogi. Czujny i opanowany czekał na wroga.

Rozdział 17 Ostatnia bitwa

Wokół siebie miał pierścien szarych, wychudłych ciał. Widocznie Bestie wyprzedziły go i kryjąc się w wysokiej trawie urządziły zasadzkę. Nieco z tyłu spostrzegł Lurę. Napinając wszystkie mięśnie wielki kot darł pazurami darń, próbując odzyskać wolność. Wokół jego szyi pętla zaciskała się coraz mocniej. Kolejne szarpnięcie oplatającej stopy linki rzuciło go z powrotem na ziemię. Ponownie usłyszał opętańczy rechot. Mógł zrobić tylko jedno. Nie próbując wstać, czy choćby klęknąć, zaczął szybko pełznąć w stronę Lury, czym całkowicie zaskoczył przeciwnika. Nim którykolwiek z prześladowców zdążył się zorientować w sytuacji, było JUŻ za późno. Wzniesiony miecz jednym uderzeniem przeciał krępujący kota rzemień. W tym momencie dotarł do niego bezdźwięczny rozkaz chłopca: "Odszukaj Naga i tego, który z nim poluje - szukaj!"

Wiedział, że Lura wypełni chętniej zadanie, jeśli będzie mogła przy tym spotkać innego kota. A przecież gdzie był czarny kot, tam w pobliżu musiał być również Wódz Gwiazdzistych.

Zwierzę podkurczyło pod sobą potężne łapy, po czym skoczyło, kreśląc wysoki łuk nad głową jednej Bestii. Przez chwilę widać jeszcze było oddalającą się błyskawicznie plamę jasnego futra, a potem wszystko zniknęło. Lura była wolna.

Wykorzystując moment zaskoczenia podniósł się i rąbiąc, zawzięcie starał się oswobodzić tkwiące w płataninie sznurów nogi. Nim rozwścieczone ucieczką Bestie skupiły na nim uwagę, miał JUŻ jedną stopę wolną. Dobrze wiedział, że teraz nie ma JUŻ dla niego żadnej nadziei. Spokojnie, jakby to dotyczyło kogoś innego, zastanawiał się, ile sekund życia pozostało mu do chwili, gdy naszpikowany czarnymi dzirytami znieruchomieje na zawsze w gęstej trawie. Przypomniawszy sobie Langdona i jego rady. Gdy jesteś w sytuacji bez wyjścia - atakuj. Napiął mięśnie ściskającego miecz ramienia. Najważniejsza jest szpytkość - zadać tyle ran, ile tylko zdoła. Nie miał szans na przeżycie do czasu, gdy Lura sprowadzi Jarla, ale postara się zabrać kilka tych stworzeń ze sobą.

Poruszając się miękko z dorównującą Lurze prędkością przeskoczył ze wzniesionym mieczem ku stojącej najbliższej Bestii, chcąc zadać śmiertelne pchnięcie, jednak krępujące stopę linki sprawiły, że zamiast pograżyć ostrze głęboko w ciele wroga, ciął płytko, otwierając w bulwiastym brzuchu szeroką, mocno krwawiącą ranę. Sparował wymierzony w głowę cios, przysiadł i złożył się do następnego ataku, gdy ciało przeszył mu ostry ból, a zbrojna w miecz ręka opadła bezwładnie. Zdrowym ramieniem wyszarpnął tkwiący powyżej łokcia dziuryt, przez co nie zdażył osłonić lewej strony twarzy przed uderzeniem, które rozdarłszy skórę, zalało oczy gorącą krwią. Poczul pod stopami wirującą coraz szybciej ziemię, po czym zapadł się w czarną nicość.

Ocknął się pod wpływem potwornego bólu. Miał wrażenie, że w jego żyłach szaleje dobywający się z rozdarłej rany ogień. Spróbował lekko poruszyć nogą i natychmiast poczuł ucisk w okolicy kostki. Był skrępowany, leżał na plecach, a szeroko rozrzucone ręce i nogi miał przywiązane do wbitych w ziemię palików.

Otworzenie oczu sprawiło mu wielką trudność. Lewą powiekę krzepnąca krew przykleiła do policzka, tak że po kilku okupionych zawrotem głowy próbach popatrzył w niebo tylko jednym okiem. Więc jednak jeszcze żyję, pomyślał ospałe. Po prawej stronie widział zieloną koronę drzew, musiał więc nadal znajdować się w pobliżu miejsca pojmania. Chcąc rozejrzeć się dookoła, uniósł nieznacznie głowę. Szybko wrócił do poprzedniej pozycji, zamykając przy tym oczy, aby uspokoić rozkołysane niebo i ziemię.

Później, poprzez rozsadzające głowę dzwonienie dotarł do niego hałas, intrygujący na tyle, że mimo mdłości zdecydował się jeszcze raz otworzyć oczy. Bestie przyprowadziły nowego jeńca. Sądząc po stroju, musiał to być Koczownik. Jego również rozciągnięto na ziemi obok Forsa. Bestie uraczyły go kilkoma potężnymi kopniakami, po czym odeszły, wyrażając więźniom zaciśniętymi pięściami.

Umysł Forsa ogarnął zamęt. Głowa zaczęła mu ciążyć, nie był w stanie zebrać w całości rozpełzających się we wszystkie strony strzępków myśli. Ich miejsce zajmował coraz bardziej ból, wypełniając bez reszty umęczone ciało. Leżał nieruchomo wsłuchany w siebie, próbując zwalczyć cierpienie.

W pewnej chwili z odrętwienia wyrwał go przenikliwy pisk. Kątem oka dostrzegł, jak nowo przybyła Bestia z westchnieniem ugii ściąga z pleców wiklinową klatkę z miotającymi się wewnątrz dużymi szczurami i stawia ją opodal. Pozbywszy się ciężaru, odgięła do tyłu przygarbiony kark, po czym dołączyła do rozciągniętej pod pobliskim drzewem czwórki kompanów. Rozległy się przypominające szczekanie, gardłowe dźwięki mowy, która dla Forsa była zupełnie niezrozumiała.

W szczelinach pomiędzy prętami kosza raz po raz zapalały się czerwone iskierki małych, dzikich oczu, wpatrujących się w niego przenikliwym, inteligentnym spojrzeniem.

Inteligencję gryzoni zdawało się również potwierdzać ich zachowanie. W chwili gdy rozległ się pisk, zwierzęta cichły i nieruchomiały, wsłuchując się jakby w padające polecenia, czy komentarze. Jak długo trwały te wzajemne oględziny? Czas w swym normalnym wymiarze przestał dla Forsa istnieć. Bestie rozpały ogień i umieściły nad nim krwawe strzępy mięsa, niektóre wciąż jeszcze pokryte końską skórą. Gdy w powietrzu rozszedł się zapach pieczenia szczury oszalały, skacząc po klatce z sięgającym granic słyszalności cienkim piskiem, co jednak zupełnie nie poruszyło ich ucztujących panów. Dopiero po skończonym posiłku jeden z nich podniósł się, podszedł do kosza i potrząsając nim, krzyknął coś głośno. Zwierzęta uspokoiły się, a po chwili pomiędzy prętami ponownie ukazały się przekrwione oczy - złe, głodne oczy, poządliwe wpatrzone w więźniów.

W umyśle Forsa zaczęło kiełkować straszliwe podejrzenie. Chłopak chciał przekonać siebie samego, że jego domysły są nieprawdziwe, że to, co podsuwa mu wyobraźnia jest tylko wytworem udręczonego cierpieniem mózgu. Przecież to niemożliwe, aby Bestie chciały dać ich szczurom na pożarcie. Nie chcąc dopuścić tej myśli do świadomości, czuł narastającą wewnątrz panikę. Wie, że jeśli się załamie i uwierzy, to przestanie nad sobą panować. Jak jednak nie uwierzyć, gdy

te przeklęte szczury patrzają i patrzą. Od czasu do czasu widział błyski pazurów i drobnych białych zębów. Najgorsze jednak były te czujne, bez chwili wytchnienia patrzące oczy. Nie działało się nic i tylko wydłużające się coraz bardziej cienie wskazywały upływ czasu. Zrobiło się późne popołudnie, gdy do obozu dotarła ostatnia grupa Bestii, przyprowadzona przez wodza całej wyprawy. Nie był to wyższy od pozostałych członków plemienia, niemniej widoczna na każdym kroku pewność siebie oraz nie pozbawiona arogancji wyniosłość sprawiały, że zdawał się górować nad pobratymcami. Część twarzowa łysej czaszki nie wyróżniała się niczym niezwykłym w stosunku do pozostałych osobników - takie same wydłużone, wąskie szczęki z mnóstwem ostrych kłów, tak samo umieszczone szparki nozdrzy, takie same oczy ukryte pod grubym wałem kostnym. Natomiast tylną część głowy tworzyła, kryjąca mózg, kulista puszcza, przynajmniej o połowę przewyższająca rozmiarami czaszki reszty hordy. W wyrazie oczu przywódcy czaiła się jakaś przebiegłość, coś, co sprawiało, że patrzył na świat inaczej i widział więcej, niż zwykła Bestia. Choć trudno byłoby go nazwać człowiekiem, widać było wyraźnie pewną powściągliwość w zachowaniu. Fors był pewien, że żyje do tej pory tylko i wyłącznie dzięki postawie wodza. Z każdą chwilą umacniało się w nim przekonanie, że to właśnie ta postać była siłą sprawczą niespotykanej aktywności mieszkańców zrujnowanych miast. W trakcie tych rozważań Bestia skończyła posiłek i zbliżywszy się do pojmanych, stanęła między nimi. Fors oderwał wzrok od klatki, po czym spojrzał głęboko w niezwykle oczy. Patrzył w napięciu, usiłując przeniknąć do świadomości obcego, lecz choć zebrał wszystkie siły osłabłego umysłu, nie zdołał odczytać choćby najmniejszej zrozumiałej myśli. Zarówno oczy, jak i obramowana sterczącymi szczękami twarz, nie kryły w sobie żadnych, widocznych dla człowieka emocji. Wodząc wzrokiem od Forsa do Koczownika i z powrotem musiał coś przeżywać, czy jednak było to podniecenie, czy gniew, czy zwykła ciekawość, nie sposób było powiedzieć. W każdym razie, krzyżując długie nogi, usiadł pomiędzy rozciągniętymi na ziemi jeńcami, a po chwili wąskie usta poruszyły się i po raz pierwszy w życiu chłopak usłyszał dźwięk ludzkiej mowy wypowiedzanej przez zamieszkujące miejskie nory stworzenia.

- Ty skąd? - rozkazująco zwrócił się do Koczownika, który nie mógł lub nie chciał udzielić odpowiedzi. Minęło kilka wypełnionych milczeniem chwil, a gdy stało się oczywiste, że odpowiedź nie padnie. Bestia pochyliła się nad przesłuchiwanym i z zimnym okrucieństwem uderzyła pięścią w usta. Z warg natychmiast trysnęła krew. Teraz przyszła kolej na Forsa. Przywódca powtórzył pytanie, a chłopak bez namysłu odpowiedział:

- Z południa - udało mu się wychrypieć.

- Południa - powtórzył przywódca, dziwacznie przekręcając słowa.

- Co na południu?

- Ludzie - wielu, wielu ludzi. I namioty. Dziesiątki, dziesiątki namiotów.

Lecz albo ta ilość przekraczała zdolność pojmwania Bestii, albo też stworzenie nie wierzyło w szczerą jeńca, dość, że zakrzusiło się krótkim demonicznym rechotem, po czym mocno ścisnęło zranione ramię. Fors poczuł mdlący zawrót głowy, zrobiło mu się ciemno przed oczami i zemdlał.

Obudził go przeraźliwy krzyk. Jego echo nadal dzwoniło mu w uszach, gdy z trudem otworzył oczy i próbował coś dojrzeć poprzez wirujące plamy światła i cienia. Jeszcze jeden pełen bólu i przerażenia okrzyk i świat znieruchomiał.

Przywódca Bestii wciąż jeszcze klęczał pomiędzy więźniami, w wyciągniętej ręce trzymając wrywającego się, głodnego szczura. Zwierzę miało umazany krwią pysk, czerwone krople było widać na jego piersi i przednich łapach. Gryzoń ze wszystkich sił starał się uwolnić z uchwytu, oddzielającego go od leżącego tuż pod nim Koczownika. Wzdłuż ramienia i boku tego ostatniego biegł rząd drobnych, silnie krwawiących ran - okrutny zapis historii przesłuchania. Twarz wojownika przypominała wykrzywioną bólem maskę. Przeklinał nieustannie, a za każdym razem, gdy Bestia opuszczała w

dół szczura, jego bełkotliwy głos przeradzał się w chrapliwy wrzask. W pewnej chwili ponad złorzeczenia torturowanego wzbił się inny, pełen złości okrzyk. Krzyczał wielkogłowy przywódca, zaskoczony bolesnym ukaszeniem miotającego się szczura, któremu w końcu udało się dosięgnąć ściskających go palców. Głośno warcząc, Bestia zgniotła w dłoni wijące się ciało. Rozległ się trzask miażdżonych kości, po czym bezwładne zwłoki zostały odrzucone daleko w trawę, a oprawca podniósł się z klęczek i ssąc zakrwawiony palec dołączył do podwładnych.

Nareszcie chwila spokoju, lecz na jak długo? Bestie zdawały się czuć zupełnie bezpiecznie w tym zakątku. Wszystko wskazywało na to, że zostaną tu na noc, zaledwie jednak Fors o tym pomyślał, sytuacja uległa całkowitej zmianie. Z zarośli wypadła nowa para wrogów, ciągnąc w pośpiechu pokieroszowane ciało trzeciego członka zwiadu. Wokół zwłok zebrały się natychmiast wszystkie obecne w obozie stworzenia i dyskutowały nad czymś gorączkowo, zawzięcie wymachując przy tym rękami. Po chwili dowódca rzucił krótki, przypominający szczeknięcie rozkaz i wszystko się upokoilo. Opiekun szczurów podszedł do klatki i zarzuciwszy ją na plecy, ruszył przed siebie, zaś cztery najwyższe Bestie zbliżyły się do pojmanych, posługując się nożami, szybko rozciąły krępujące ich rzemienie, po czym, ponaglając kopniakami i szturchańcami, postawiły na nogi. Wkrótce okazało się jednak, że żaden z nich nie jest w stanie iść o własnych siłach. Doszło do kolejnej sprzeczki, w której, sądząc z gestów, większość opowiadała się za uśmierceniem opóźniających marsz ludzi, natomiast przywódca obstawał z uporem przy zabraniu ich ze sobą. W końcu jego głos przeważył.

Dwójka Bestii zniknęła w zaroślach, skąd po chwili dobiegł głos łamanych gałęzi, a zaraz potem stworzenia wyłoniły się z krzaków, niosąc grube, oczyszczone z listowia drągi. Przywiązano do nich niezwłocznie jeńców, tak że Fors zawisł z wykręconymi ramionami, twarzą do ziemi, kołysząc się w rytm drugich kroków niosących go wrogów.

Niewiele zapamiętał z tej koszmarnej nocy. Zapadł w gorączkowy sen budząc się od czasu do czasu pod wpływem bolesnego zetknięcia z gruntem, gdy kładli go zmieniający się tragarze. Mijały drugie, wypełnione rozkołysaną czernią godziny. Wreszcie ruch ustał. Przez jakiś czas trwał w półśnie, aż nagle ocknął się z niejasną świadomością docierającego z oddali dźwięku. Leżał na plecach, przetoczył się więc na bok, mocno przytykając ucho do powierzchni ziemi. Usłyszał ciężkie dudnienie. Z początku pomyślał, że to szumi rozgrzana gorączką krew, lub że to jeszcze jeden nocny koszmar, jednak w miarę jak tętent narastał - coraz mocniejszy, coraz bliższy i w jakiś sposób przyjazny - zmienił zdanie. Kiedyś, dawno temu słyszał już coś takiego i wówczas odgłos ten miał proste, dobrze znane znaczenie. Teraz znaczenie gdzieś zatarło i pozostał tylko ten łomot. Zatarł się zresztą cały zewnętrzny świat, umykając w spowite ciemną mgłą tło. Teraz istniało już tylko umęczone ciało i szarpiący je coraz silniej ostry ból.

Forsa nie było. Odszedł gdzieś daleko, poza ból i udrękę, pozostawiając za sobą zawieszony w ciemnej przestrzeni, zniekształcony cierpieniem ciało. W odległy tętent wdarł się teraz nieoczekiwanie inny odgłos, głębszy i cięższy. Od tej chwili dwa dźwięki wwiercały mu się pod czaszkę. Kiedyś znał oba, lecz w tym momencie żaden z nich nie miał znaczenia. Musiał strzec się błyskających ku niemu ze szczelin pomiędzy wiklinowymi prętami klatki czerwonych, głodnych oczu, które bezustannie patrzyły z nieznośnym wyrazem oczekiwania, z każdą chwilą stając się bardziej głodne i niecierpliwe. W końcu oczy te zaczęły się zbliżać, będą coraz bliżej i bliżej, a potem, zamiast nich - pojawią się drobne, białe zęby, lecz ostatecznie to także niewiele go obchodziło.

Ktoś gdzieś krzyknął, a wywołany tym hałas zdawał się rozsądzać mu głowę, wypełniając uszy obłądnym dzwonieniem. Spojrzał z nadzieją na klatkę, jednak od razu napotkał łapczywy wzrok przyczajonych tuż za prętami szczurów. Najwyraźniej niczego się nie bały.

Tupot nasilił się, wypełniając powietrze niemal wyczuwalnym drzeniem.

Jak przez mgłę dotarło do niego, że silne ręce podnoszą go i stawiają na ziemi, a potem mocno do czegoś przywiązują, choć był zbyt odrętwiały, aby odczuć ucisk więzów. Po chwili stał już w miarę prosto, z grzbietu wzgórze patrząc na to, co dzieje się na dole. A w dole rozgrywał się piękny sen. Sen, który nie mógł zdarzyć się naprawdę, który nie miał nic wspólnego z jego obecnym położeniem. Widział nacierających jeźdźców, wirującym pierścieniem otaczających podstawę wzniesienia. Przymknął przerażone słonecznym blaskiem oczy. Kołowrót ludzi i zwierząt zdawał się poruszać niemal zgodnie z łomocącym rytmem

- niemal, lecz niezupełnie. Dźwięk ten nie pochodził od jeźdźców, miał jakieś inne źródło.

Oslabiony zawisł bezwładnie, lecz gdzieś w głębi krwawiącego, obolałego ciała tliła się jeszcze iskierka prawdziwego Forsa. To właśnie ona sprawiła, że pokonując opór ciężających niesamowicie powiek, spojrział ponownie, a w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia.

Jeźdźcy nadal okrążali wzgórze i za każdym razem, gdy mijali Forsa, ciskali w górę oszczepami. Spojrzzał uważniej i teraz pomiędzy konnymi zauważył pochylone w biegu sylwetki zbrojnych w łuki ludzi. Dotarłszy do podstawy zbocza, łucznicy zbili się w gromadę i napięli łuki. Świsnęły strzały, tworząc chmurę, która na moment przysłoniła słońce. Wyraźnie było widać, że pętla atakujących zacieśnia się coraz bardziej.

Przytomniejąc nieco. Fors uświadomił sobie, że jego ciało stanowi część barykady. Przywiązany do wkopanego w ziemię słupa służył Bestiom za tarczę, spoza której mogły bezkarnie rzucać dziurytami. A dziuryty, wprawnie celowano, zbierały w dole bogate żniwo. Co chwila człowiek lub koń walił się na ziemię. Czasami lżej ranny poruszał się jeszcze i krzyczał, czasami od razu nieruchomiał na zawsze. W ferworze walki atakujący zdawali się tego nie dostrzegać, ani na chwilę nie zwalniając tempa natarcia.

Gdzieś za jego plecami rozległ się głośny okrzyk złości, a zaraz po nim usłyszał głuchy odgłos padającego na ziemię ciała. Rozwścieczona Bestia, pełzając na czworakach w dół zbocza, kierowała się w stronę jednego z najbliższych stojących łuczników. Rozgorzała krótka walka, zanim jednak zwycięska Bestia zdążyła stanąć na nogi, nadjechał Koczownik i pochyliwszy się w siodle zadał lancą śmiertelne pchnięcie. Gdy odjeżdżał, w wysokiej trawie leżały nieruchomo dwa ciała.

Potężne uderzenie wstrząsnęło bokiem Forsa. Spojrzął w to miejsce i natychmiast zapomniał o bitwie. Ciężące okropnie ramię opadło swobodnie w dół i tylko wokół nadgarstka widać było wpijający się głęboko w opuchnięte, sine ramię kawałek rzemienia. Widocznie strzała lub włócznia musiała przeciąć krępującą linkę. Poczul przyśpieszone bicie serca. Nie widział bitwy, nie widział niczego, co działo się wokół. W jednej chwili świat zawęził się do bezwładnej, uwolnionej ręki. Nie miał w niej czucia, nie mógł wykonać najmniejszego ruchu, a jednak to była jego szansa. Skupił się na palcach

- musi poruszyć kciukiem, choćby o cal, choćby potrzeć nim tylko o drugi palec - musi. Uffi. Chciało mu się krzyczeć z radości. Co prawda ramię nadal zwisało bezwładnie wzdłuż boku, za to palce, posłuszne jego woli, zacisnęły się w pięść. Szczęśliwy przypadek sprawił, że oswobodzona została prawa ręka, a więc zdrowa. Popatrzył w lewo. Drugi nadgarstek również przywiązany był do osadzonego w ziemi słupa. Wzniesione ku górze ramię było mocno zgięte w łokciu, toteż Fors był pewien, że jeśli zdoła unieść prawą rękę i zmusić palce do pracy, poradzi sobie z rozwiązaniem węzła. Fakt, że użyto go jako części barykady stanowił teraz okoliczność sprzyjającą, gdyż piętrzące się z tyłu pakunki osłaniały go częściowo przed wzrokiem nieprzyjaciela. Ponadto Bestie były zbyt pochłonięte walką, aby poświęcić mu więcej uwagi.

Po paru okupionych mrowiącym bólem próbach, udało mu się dźwignąć ramię i przenieść je ku lewemu nadgarstkowi. Zacisnął bezwładnie palce na twardym rzemieniu, jednak ostatnia część zadania okazała się trudniejsza, niż przypuszczał. Pozbawione czucia palce ześlizgiwały

się nieustannie z grubego wężła. Czuł jak po czole i policzkach spływają mu kropelki potu.

Wokół szalała zażarta walka, lecz on zdawał się tego nie widzieć, bez reszty pochłonięty swoim nie mniej wyczerpującym zmaganiem ze słabością zmalteretowanego ciała. W drewno zapory raz po raz wbijały się strzały, mijając go tak blisko, że niemal czuł podmuch rozcinanego nimi powietrza. Drzewce rzuconej z boku włóczni uderzyło go z całą siłą, pozostawiając na skórze nabrzmiałą, siną pręgę. Nawet wówczas nie przerwał jednak swych mozolnych wysiłków. Nie przerwał także wtedy, gdy powracające krażenie objęło rękę falą bólu i gorąca, a on musiał skupić na tych obolałych palcach wszystkie myśli, jakby samej tylko siły mięśni mało było na wykonanie tej pracy.

Gmerał więc cierpliwie przy nadgarstku, gdy nagle więzy puściły. W prawej dłoni pozostał mu luźny koniec rzemienia, podczas gdy lewe ramię opadło bezwładnie w dół, wywołując na twarzy grymas bólu. Nie spojrział nawet na ranę. Opatrzy ją później. Szybko przypadł do ziemi i obejrzał krępujące nogi pęta. W pośpiechu Bestie związały mu kostki pojedynczym rzemieniem. Ułamał grot znalezionej w pobliżu strzały, po czym kilkoma pociągnięciami przeciął skórzaną linkę.

Był wolny, lecz rozsadek podpowiadał mu, żeby przez chwilę pozostać jeszcze na miejscu. Bestie, chcąc się do niego dostać, musiałyby przejść przez barierę, wysuwając się tym samym na strzały atakujących, których z kolei on, płasko rozciągnięty wśród głązów mógł się nie obawiać.

Po jakimś czasie poprzez zgiełk bitwy dotarł do niego jeszcze inny dźwięk. Zwrócił głowę w jego kierunku i natychmiast zetknął się z wypełnioną szczurami klatką - Bestie użyły jej do budowy swoich umocnień. Wewnątrz kotłowały się szalejące ze strachu i nienawiści gryzonie, a wydawane przez nie piski przebijały się momentami poprzez panujący dookoła hałas.

Na widok tych brudnych, nazbyt tłustych ciał, ogarnęły go mdłości, więc czym prędzej odsunął się w bok.

Gdzie mógł być drugi jeniec? Fors uniósł się ostrożnie na łokciach i natychmiast dostrzegł nieruchome ciało ze zwieszoną na ramię głową. Opadł z powrotem, zastanawiając się gorączkowo nad dalszym postępowaniem. Mógł poruszać się przy pomocy obu nóg i ręki - powoli, nie dość pewnie. Gdyby tak stoczyć się w dół zbocza...

Nie mógł jednak pozostawić wystawionego na pewną śmierć Koczownika. Zaczął pełznąć obok klatki ze szczurami, mijał pośpiesznie narzuconą stertę gałęzi i pakunków, z których Bestie zbudowały koślawą barykadę, mającą chronić przed strzałami i lancami. Posuwał się powoli, robiąc częste przerwy, lecz w ostatecznym rezultacie zdobywał teren.

Tuż przed jego wyciągniętą, drżącą z wysiłku ręką, zarył się w ziemię czarny dziryt. Bestie dostrzegły wreszcie obecność zbiega i usiłowały go powstrzymać, lecz zaledwie tylko najzacieklejsza z nich wychyliła się zza osłony, żeby cisnąć dzirytem, natychmiast osunęła się w dół, charcząc głośno z przebitego strzałą gardła. Było oczywiste, że rozrzućeni w dole łucznicy uważnie obserwowali barykadę, gotowi trafić każdy, nawet najmniejszy cel. Bestie pojęły to również, gdyż Fors pełził dalej bez przeszkód, a im dłużej to trwało, tym większą miał pewność, że zdoła dotrzeć do towarzysza niedoli. Skoncentrował się na pozostającej do przebycia drodze. Nie zwracał już uwagi na to, co dzieje się poniżej, ani wewnątrz umocnień. Wiedział, że potrzebować będzie wszystkich pozostałych mu jeszcze sił.

Zatracił poczucie upływającego czasu. W pewnej chwili uświadomił sobie, że klęczy tuż przy skrępowanych kostkach nóg. Wyciągnął ręce ku wężłom oplatającego nadgarstki rzemienia i niemal natychmiast opuścił je z powrotem. Dwie strzały przyszpilające ciało do słupa unieruchomiły je na zawsze skuteczniej, niż najlepsze pęta. Koczownik nie potrzebował już żadnej pomocy.

Fors powoli osunął się na stratowaną ziemię. Popychające go do przodu pragnienie niesienia pomocy zniknęło teraz i czuł tylko narastające z każdą chwilą zmęczenie, tak jakby przez otwartą ranę zaczęły nagle wypływać resztki energii. Ze zdumiewającą obojętnością pomyślał, że niewiele go to wszystko obchodzi.

Wokół wyrosły górskie szczyty, a ponad postrzępionymi skałami grani pojawiły się szybko przemykające strzępki szarych obłoków. Nadchodziła burza. Słyszał zawadzający w wąskiej dolinie wiatr, widział gromadzące się w oddali czarne chmury. Musiała być zima, gdyż kolejny podmuch lodowatego wichru przyniósł pierwsze płatki śniegu. Dobrze by było zawrócić do dającego bezpieczne schronienie Eyrie, do ognia i mocnych, kamiennych ścian - zejść w dolinę zanim zacznie się śnieżycyca.

Wrócić do Eyrie. Nie wiedział, że był na nogach i chwiejnie posuwał się naprzód, nie słyszał nagłego wybuchu okrzyków zmieszania i złości, gdy trafiony celną strzałą przywódca Bestii padł bez życia u podnóża barykady. Nie wiedział, że z wyciągniętymi przed siebie rękami szedł w dół zbocza, a za nim stado oszalałych z wściekłości Bestii wypadło na otwartą przestrzeń. chcąc kłami i pazurami pomścić śmierć wodza. Zaślepione, zupełnie zapomniały o dotychczasowej ostrożności, choć tylko dzięki niej pozostawały przy życiu.

Fors szedł górkami szlakami, a tuż za nim podążała Lura. Kot chwycił w pysk jego dłoń i wysunął się do przodu, obejmując przewodnictwo - zawsze tak robił, gdy sypał śnieg lub wiał oślepiający wiatr i trudno było utrzymać się na szlaku. Na szczęście, w dole widać było już Eyrie. Zaraz zobaczy Langdona i tak, jak się umawiali, będą oglądać skrawek mapy leżącego nad brzegiem jeziora miasta. Wkrótce Langdon wyruszy, aby sprawdzić mapę, a gdy on, Fors zostanie przez Radę pasowany na Gwiazdzistego, również będzie badał stare mapy i któregoś dnia znajdzie wielkie miasto.

Niepewnym gestem wznosił rękę do czoła. Lura nagliła do pośpiechu - chciała się ogrzać i nasycić głód. Także Langdon nie powinien długo czekać. Przecież gdzieś tam leżało miasto, pełne wysokich wież i wielkich sklepów, splekanych ulic i wielu innych zapomnianych cudów. Musi opowiedzieć o tym Langdonowi. Nie, to nie tak - miasto należało do Lang-dona, a on sam nigdy nie widział ruin. To chyba przez tę burzę zaczyna mu się macić w głowie.

Zachwiał się, gdy pędząca w stronę walczącego teraz w dole tłumu Bestia uderzyła go mocno w ramię.

Dookoła tyle skał - miał kłopot z utrzymaniem równowagi, gdy zawadził barkiem o jedną z nich. Musi bardziej uważać. Najważniejsze, że wracał do domu. Widział już błyskające w ciemności jasne plamki ognisk. Lura nadal ścisnęła jego dłoń. Żeby tylko wiatr zelżał trochę - jego dzikie zawroty głowy były jakiegoś dziwnego - przypominało chwilami bitewną wrzawę walczących armii. Ale tam było Eyrie - właśnie tam.

Rozdział 18 Nowa gwiazda

Było późne popołudnie. Ponad uroczystym ogniem krętymi smużkami powoli unosił się dym. Fors spoglądał w dół zbocza, w stronę koła zdeptanej, wgniecionej w ziemię setkami stóp trawy, gdzie na tle brudnej zieleni ciemniały gęsto rozrzucone plamy zeschłej krwi. Po obu stronach ogniska zasiadały naprzeciwko siebie długie szeregi wojowników - dwie linie patrzących czujnie ludzi. W ich rękach połyskiwała obnażona broń. Wewnątrz wyznaczonego przez siedzących szpaleru znajdowali się wodzowie obu plemion. Patrząc uważnie, tak w jednym, jak i w drugim szeregu dostrzec można było nieregularne wyrwy - świadectwo poniesionych w niedawnej walce strat, których już nigdy nie da się uzupełnić.

Fors zapomniał o własnym bólu, gdy ujrzał Arskane'a kroczącego u boku ojca. Władczyni, która przyjęła go do plemienia, była tam również, a jasna plama jej sukni już z daleka wyróżniała się spośród monotonnej szarości skórzanych strojów mężczyzn.

Na wprost nich stał Marphy i jego towarzyszy w długiej szacie.

Brakowało tylko Cantrula. Miejsce wodza zajął któryś z pomniejszych szefów klanów.

- Cantrul?

- Cantrul był wojownikiem - odpowiedział stojący obok Jari - i wyruszył w długą drogę w godny wojownika sposób, zabierając ze sobą wielu wrogów. Do tej pory nie wybrali jeszcze nowego Najwyższego Wodza na jego miejsce.

Reszta słów Wodza Gwiazdzistych utonęła w łomocie bębnow, który po chwili powrócił, zwielokrotniony - echem z pobliskich wzgórz. Wreszcie ostatni werbel ucichł w oddali, a wówczas do przodu wysunął się wsparty na ramieniu syna Lanard. Jego nogę od kolana po kostkę spowijał biały bandaż.

- Ho, wojownicy - rozległ się podobny do grzmotu głos. - Nasze włócznie siały dziś śmierć i dały ptakom śmierci łup, o jakim nie słyszano od czasów ojców naszych ojców. Przyszliśmy z południa, aby stoczyć tę bitwę i teraz zwycięstwo jest nasze. Nasze strzały trafiały celnie, a miecze aż po jelce pokryły się posoką wrogów. Czyż nie tak, moi bracia?

Od strony siedzących za jego plecami wojowników nadleciał niski pomruk potwierdzenia. Z drugiego szeregu poderwało się kilku co zapal-czywszych młodzików, tu i ówdzie rozległy się bojowe zawołania poszczególnych klanów. Jakby w odpowiedzi, spośród Koczowników podniósł się jeden z pomniejszych wodzów i gniewnie spoglądając na sprzymierzeńców zaczął z dumą:

- Lanca uderza równie głęboko, jak miecz, a Koczownicy nigdy nie bali się walki. Ptaki śmierci pożywiły się także i naszą ofiarą.

Ktoś zaintonował wojenną pieśń. Fors słyszał ją już wcześniej, gdy jako jeniec znalazł się pomiędzy namiotami. Rozgorączkowni wojownicy sięgnęli po łuki i lance. Fors powoli stanął na nogi, starając się narzucić swą wolę opornemu ciału. Odtrącił usiłującą go powstrzymać rękę Wodza Gwiazdzistych.

- To, co widzimy, to nic innego, jak tłące się zarzewie nowej wojny - powiedział z namysłem. - Jeśli ten płomień rozgorzeje z pełną siłą, to wszyscy jesteście zgubieni. Puść mnie.

Ruszył z boczem w stronę ogniska rady, czując, że Jari cały czas podąża o krok za nim.

- Walczyliście.

Usłyszał wypływający gdzieś z głębi gardła swój czysty, opanowany głos i głos ten był niczym zimny wiatr, który rozpędzał unoszące się nad bagnem opary. Poczul, jak zasiane dawno temu przez Arskane'a myśli układają mu się w głowie we wzory tak proste i jasne, że nie mógł dłużej wątpić w ich słuszność.

- Walczyliście.

- Ahhh - nadeszło w odpowiedzi, a był to dźwięk tak delikatny, że przywodził na myśl pomruk polującej Lury.

- Walczyliście - powtórzył po raz trzeci wiedząc, że skupił na sobie uwagę wszystkich. - Bestie zostały zabite. Te Bestie - podkreślił z mocą, patrząc w znieruchomiałe twarze.

- Każdy z was oglądał zabitych nieprzyjaciół. Nieprzyjemny widok, prawda? Otóż ja byłem w ich niewoli i wierzcie mi, że przeżyłem okropności dziesięć razy gorsze. Tkwią one głęboko w mojej pamięci i nie pozbędę się ich chyba do końca życia. Myślę, że na dzisiejsze zwycięstwo powinniście patrzeć nie tylko z dumą, ale także i z obawą, gdyż wśród zabitych znajduje się straszna zapowiedź - zwiastun groźnej dla nas wszystkich potęgi. Już ojcowie naszych ojców walczyli z tymi stworzeniami w czasach, gdy kryły się one w ciemnych norach. Mój ojciec zginął od ich kłów i pazurów. Tak, znamy je od dawna, lecz teraz zrodziło się wśród nich coś nowego i silniejszego, coś, co niesie ze sobą zagrożenie większe, niż miało to miejsce kiedykolwiek przedtem. Zapytajcie o to swych mędrców, wojownicy. Niech opowiedzą wam, co znaleźli pośród zabitych Bestii w obrębie barykady, tam w górze. A coś takiego może się przecież w każdej chwili powtórzyć. Powiedz o tym swoim ludziom, uzdrawiaczu - zwrócił się w stronę ubranego w białą szatę Koczownika. - A ty, o Pani? - zapytał władczynię ludu Arskane'a - co ujrzałaś?

Pierwsza odezwała się kobieta.

- Widziałam wiele rzeczy, a o większej ich liczbie tylko słyszałam. To, co widziałam na górze nie zostawia cienia wątpliwości. Z całego serca pragnę tylko, aby twoje przypuszczenia okazały się błędne.

Pomiędzy martwymi Bestiami leży jedna, która znacznie różni się od pozostałych. Jeśli los nie będzie nam sprzyjał, to coś takiego może się od czasu do czasu wśród nich odradzać i jeśli za każdym razem zdoła osiąść wiedzę poprzedników stanie się największym zagrożeniem dla wszystkich ludzkich istot. W tej chwili nie mamy pewności, czy tak się właśnie stanie i dlatego uważam, że wszyscy ludzie powinni się zjednoczyć, aby skutecznie odierać ataki stworzeń zrodzonych z pradawnego zła, zasianego niegdyś przez Przodków w miastach.

- To prawda, zmutowana rasa może tworzyć nowe mutacje - widać było, że Koczownik mówi niemal wbrew sobie. - Bestie, z którymi walczyliśmy, były zorganizowane jak nigdy dotąd, zaś kiedy ich niezwykle dowódca został zabity, poszły w rozsypkę, jakby wraz ze śmiercią znikła trzymająca je w karchach siła. Jeśli żyje więcej takich jak on, to rasa Bestii może stać się siłą, z którą trzeba się liczyć. Tak mało o nich wiemy. Któż zgadnie, co zgotują nam za rok, czy dziesięć lat? Jest to rozległy kraj, a w jego głębi może czaić się wiele niebezpieczeństw.

- Tak, jest to rozległy kraj - powtórzył Fors. - Czego ty i twoje plemię szukacie w tych stronach, Lanardzie?

- Ojczyzny. Chcemy znaleźć miejsce, gdzie postawimy nasze domy i na nowo obsiejemy pola, gdzie będziemy mogli paść nasze owce i żyć w pokoju. Wędrujemy już wiele lat od czasu, gdy plujące ogniem góry i trzęsąca się ziemia wyгнаły nas z doliny naszych ojców - uświęconego miejsca, w którym wylądowały latające maszyny pod koniec wojny Przodków i dopiero teraz, wśród rozrzuconych wzdłuż rzek zielonych pól odkryliśmy to, za czym tak długo daremnie tęskniliśmy. Tu będzie nasz dom i żadna siła od tego nas nie odwiedzie - zakończył dobitnie, kładąc rękę na głowni miecza.

Fors zwrócił się z kolei do Marphy'ego:

- A czego szuka twoje plemię, synu Równin?

Opiekun Zapisów przestał studiować zagmatwany wzór połamanych źdźbeł trawy u swych stóp i popatrzył na chłopca.

- Od czasów Przodków ludzie Równin wędrowali z miejsca na miejsce. Początkowo działo się tak z powodu czającej się w wielu miejscach niewidzialnej śmierci. Chcąc uniknąć zarazy i niebieskiego ognia, człowiek musiał nieustannie szukać wolnych od skażeń terenów.

Dzisiaj, po tylu latach, wędrowka weszła nam w krew. Staliśmy się Koczownikami - myśliwymi i hodowcami, wojownikami nie znoszącymi myśli o przywiązaniu na dłużej do jednego obozowiska. Przenika nas pragnienie dalekich podróży, odkrywania nowych równin i nowych, wznoszących się wysoko w niebo gór.

- Prawda.

Fors rzucił tylko to jedno słowo w ciszę, jaka ogarnęła wrzące jeszcze przed chwilą szeregi.

Upłynęło kilka wypełnionych napiętym milczeniem minut, zanim odezwał się ponownie.

- Ty - wskazał na Lanarda - chcesz osiedlić się i zbudować dom. Taką masz naturę i sposób życia. Ty - palec chłopca przeniósł się w stronę Marphy'ego - jesteś w ciągłym ruchu, polujesz i wypasasz stada koni. One - skrzywił się z bólu, wznosząc zeszywniałe ramię ku widocznej w górze zbocza stercie ziemi i kamieni, pod którymi ukryto zwłoki Bestii - postawiły sobie za cel zniszczenie każdego z was. Ten kraj jest rozległy i...

Lanard chrząknął głośno, szykując się do powiedzenia czegoś ważnego.

- Będziemy żyli w pokoju z każdym, kto nie wzniesie przeciwko nam miecza. W czasie pokoju rozwija się handel, a handel wszystkim przynosi korzyści. Gdy nadchodzi zima, a zbiory są słabe, właśnie handel może uratować życie plemienia.

- Jesteście wojownikami i mężczyznami - wtrąciła władczyni Ciemnego Plemienia. Ze wzniesioną dumnie głową patrzyła w zwrócone ku niej dwa rzędy twarzy. - Wojna jest dla mężczyzn chlebem powszednim, to prawda - ale to właśnie wojna doprowadziła do zguby Przodków. Jeszcze jedna wojna, a wyniszczycie nasz rodzaj do reszty. Kości nasze spróchnieją, a my sami pójdziemy w zapomnienie, tak że nie zostanie najmniejszy ślad po zamieszkującym te ziemie człowieku, a cały świat dostanie się im we władanie - wskazała na kryjący zwłoki Bestii pagórek. - Jeśli

teraz w naszym szaleństwie podniesiemy przeciwko sobie miecze, będzie to znak, że ciąży na nas przekleństwo i powinniśmy szybko wymrzeć, aby uwolnić od swego ciężaru ziemię.

Zapanowała cisza i dopiero po jakimś czasie przez szeregi Koczowników przebiegł cichy szmer. Szmer narastał, rozszerzał się coraz bardziej, obejmując w końcu zgromadzone na uboczu kobiety. Chór wysokich głosów szybko zaczął przybierać na sile, kobiety ożywiły się i oto spośród nich podniosła się wysoka postać. Musiała to być żona wodza, gdyż włosy jej podtrzymywała złota opaska.

- Żyjemy w pokoju, uprawiając ziemię, której wystarczy dla każdego. Uprawiamy handel, przynoszący korzyści każdemu z naszych plemion. Umiejmy w naszej różnorodności odnaleźć to, co nas łączy, nie rezygnując z naszej tożsamości. Wśród szeregów rozległ się aprobujący pomruk, potwierdzony w chwilę później rytmicznym uderzeniem mieczy o tarcze.

Najpierw pomiędzy wodzami, a później wśród reszty wojowników obu plemion zaczęła krażyć czarka krwi - znak zawieranego braterstwa. Rytuał ten złączył w jeden szereg Koczowników i Ciemnoskórych, gwarantując, że nigdy w przyszłości członek szczepu nie podniesie ręki na swego brata z drugiego plemienia.

Fors opadł na płasko zakończoną skałę. Podtrzymujące go dotychczas siły nagle odplynęły. Nie czuł już podniecenia, nawet widok zlewających się w akcie pojednania sztywno dotąd siedzących rzędów wojowników nie zdołał wyrwać go z odrętwienia.

- To jest dopiero początek - rozpoznał wzruszony głos Marphy'ego. Z trudem podniósł głowę i powiódł dookoła ponurym wzrokiem.

Koczownik mówił do Jarla, wymachując w zapale rękami. Widział płonące w jego oczach podniecenie. Wódz Gwiazdzistych pozostał jednak jak zawsze chłodny i opanowany.

- Masz rację, Marphy. Nadal jednak mamy wiele do zrobienia. Chciałbym obejrzeć wasze zapisy z północy. Gwiazdziści nigdy nie zapuszczali się tak daleko.

- Oczywiście I - Marphy wyraźnie zawahał się, zanim z kolei on wyjawiał swą prośbę - Ta klatka ze szczurami Przeniosłem ją do mego namiotu. Trzy z nich jeszcze żyją, może się więc będzie czegoś można dowiedzieć.

Fors zadrzał Nie miał najmniejszej ochoty oglądać tej zdobyczy.

- Chcesz więc, aby tobie przypadł ten łup? Marphy roześmiał się.

- Tak. Poza tym chcemy cię prosić o znacznie większy dar. Ten oto wasz zwiadowca - Położył łagodnie rękę na pochylonym ramieniu Forsa - Posiada rzadką umiejętność zjednywania ludzi swą mową i ma otwartą, wszystko widzącą duszę. Będzie naszym przewodnikiem. - widać było, że Koczownik odnalazł w chłopcu bratnią duszę i teraz dawał upust od dawna skrywanym myślom. - W zamian pokażemy mu dziwne, odległe strony. Ma bowiem coś z wędrowca, podobnie jak i my.

Jari w zamyśleniu szczypał dolną wargę.

- Tak, urodził się jako wędrowiec, płynie w nim przecież krew Koczowników. Jeżeli...

- Zapominacie - Fors nie próbował się nawet uśmiechnąć - że jestem mutantem.

Zanim którykolwiek z mężczyzn zdołał coś odpowiedzieć, nadszedł Arskane. Jego twarz nadal znaczyły ślady walki, a idąc, wyraźnie chronił ramię. Gdy się odezwał, jego głos zabrzmiał pewnie i stanowczo. Widać było, że nie liczył się w ogóle z odmową.

- Kończmy związać obóz i ruszamy w drogę. Przyszedłem po mojego brata. Marphy aż zasapał ze złości.

- On jedzie z nami.

Śmiech Forsa był pozbawiony wesołości.

- Ponieważ nie dam rady iść o własnych siłach, będę każdemu tylko zawadą.

- Zrobimy nosze i zaprzęgniemy do nich konia - odparł szybko Arskane.

- My także mamy takie nosze - zazdrośnie wtrącił Marphy. Jari poruszył się.

- Wygląda na to, że musisz dokonać wyboru - zauważył spokojnie. Przez chwilę Fors miał wrażenie, że w tym miejscu znajdują się tylko oni dwaj, reszta skryła się w rozedrganej mgle. Zapanowała cisza - ani

Arskane, ani Marphy nie ponawiali swych propozycji. Fors przycisnął dłoń do gorącego czoła. Po matce odziedziczył krew Koczowników, to prawda. Pełne przygód życie pociągało go. Jeśli pójdzie z Marphym pozna wszystkie sekrety tego kraju. Zdobędzie rozległą wiedzę i będzie rysować mapy, o jakich Gwiazdziści nawet nie śnili. Dotrze do nowych miast i zbada je, ciągle dążąc ku nowym horyzontom.

Jeśli przyjmie pomocną dłoń Arskane'a, opowie się tym samym za braterstwem i silnymi więzami rodzinnego klanu, za czymś, czego przez całe życie mu brakowało. Pozna wówczas ciepło uczucia i zostanie budowniczym - najpierw osady, później może miasta, stawiając pierwszy krok na drodze, które grzechy Przodków zamknęły przed ich potomkami. Będzie to życie trudne lecz wartościowe i również pełne przygód, choć pozbawione dalekich podróży.

Istniała jeszcze jedna możliwość. W głębi ducha zdecydował się na nią już dawno. Gdy w czasie bitwy zdawało mu się, że umiera, jego stopy same wybrały kierunek, a droga wiodła w stronę ośnieżonych szczytów, ku wiecznie onieśmielającej krainie surowego chłodu. Opuścił rękę. Starając się nie patrzeć na Arskane'a i Marphy'ego odszukał nieustępliwy wzrok Jarla.

- Czy to prawda, że zostałem wyjęty spod prawa? - zapytał.

- Trzykrotnie wywołano twoje imię przy ogniu Rady. Takie było prawo i chłopak się z tym pogodził. Miał jednak jeszcze jedno pytanie:

- Ponieważ nie mogłem stanąć na wezwanie Rady, mam chyba prawo odwołać się od jej decyzji w ciągu sześciu miesięcy?

- Masz.

Fors zacisnął palce na podtrzymującym lewe ramię temblaku. Po zbadaniu rany Lekarz obiecał mu, że po wyleczeniu odzyska w rękę dawną moc.

- Myślę więc - musiał przerwać, aby odzyskać panowanie nad głosem - że pójdę i skorzystam z tego prawa. Sześć miesięcy jeszcze nie minęło. Wódz Gwiazdzistych potakująco skinął głową.

- Jeśli będziesz mógł iść, to po trzech dniach powinieneś dotrzeć na miejsce.

- Fors.

Chłopak zadrżał, słysząc rozpaczliwy protest Arskane'a. Gdy jednak zwrócił się w jego stronę, głos miał spokojny.

- Pamiętasz, przecież to właśnie ty mówiłeś kiedyś o obowiązku.

Ramię olbrzyma opadło w bezsilnym geście.

- Pamiętaj, zawsze będziemy braćmi. Ty i ja. Gdzie płonie moje ognisko, tam zawsze czeka miejsce na ciebie.

Odszedł, nie oglądając się za siebie i wkrótce zniknął w tłumie współplemieńców.

Marphy wyglądał, jakby ocknął się 'z głębokiego snu. Otrząsnął się i rozejrzał dokoła. Duszę jego już zaprzętały inne plany. Chcąc oddalić moment rozstania, trwał jakiś czas w milczeniu, po czym odezwał się z wyraźnym ociąganiem:

- Od tej chwili w mym stadzie biega twój koń, a w moim namiocie czeka na ciebie jedzenie i schronienie. Gdy będziesz potrzebował pomocy, poszukaj proporca Czerwonego Lisa, mój młody przyjacielu.

Odszedł, kreśląc ręką znak pozdrowienia. Fors popatrzył na Jaria.

- Pójdę już.

- Ja też. Muszę złożyć raport przed Radą. Pójdziemy więc razem.

Chłopak nie wiedział, czy cieszyć się, czy smucić na taką wiadomość. W innych okolicznościach nie byłoby większej przyjemności, niż wspólna podróż z Wodzem Gwiazdzistych. Teraz jednak czuł się jego więźniem. Siedział, ponuro wpatrzony w pole dawnej bitwy. Pomyślał, że dla władających samolotami w powietrzu i potężnymi kolumnami na lądzie Przodków byłaby to zaledwie nic nie znacząca potyczka. Tym niemniej, była to dla nich prawdziwa wojna i to właśnie w jej wyniku zrodziła się myśl, która być może zapoczątkuje ponowny rozwój świata. Może się zdarzyć, że nawet praprawnuki walczących dziś ludzi ujrzą zaledwie nieśmiałe przeblyski zaczynającego się wzrostu. Może też się zdarzyć, że świat, który nadejdzie, będzie lepszy od swego pierwowzoru.

Koczownicy i Ciemnoskórzy nadal okazywali sobie nieufność, mając się na baczności. Wkrótce bezmiar stepu rozdzielił oba plemiona, jednak po

jakimś czasie konni zwiadowcy ponownie ruszą na południe z zamiarem odwiedzenia zakola rzeki, a wtedy ich zdumionym oczom ukażą się zabudowania osady. Któryś z jeźdźców wymieni dobrze wyprawioną skórę na gliniany talerz lub naszyjnik z kolorowych paciorków, aby po powrocie zadziwić swoją kobietę. Później zjawią się następni, będzie ich więcej i więcej, aż któryś z nich weźmie sobie za żonę ciemnoskórą dziewczynę. Taki będzie początek, a za pięćdziesiąt lat powstanie jeden naród.

- Kiedyś będzie tu jeden naród.

Fors pochylił się w siodle otrzymanego od Marphy'ego konia. Zwierzę było stare i spokojne, więc jadąc chłopak szybko odzyskiwał siły. Minęły już dwa dni od opuszczenia zakrętu rzeki, a oni wciąż jeszcze napotykali na swojej drodze odciśnięte w miękkiej ziemi ślady.

Jari zmierzył wzrokiem przebytą tego dnia drogę.

- Ile lat trzeba będzie czekać na taki cud? - zapytał z właściwą sobie ironią.

- Myślę, że przynajmniej pięćdziesiąt.

- Jeśli nic nie stanie im na przeszkodzie, to tak - możesz mieć rację.

- Masz na myśli zmutowanego przywódcę Bestii? Wódz wzruszył ramionami.

- Myślę, że jest to ostrzeżenie, którego nie wolno nam lekceważyć. Musimy liczyć się z tym, że na swej drodze napotkamy jeszcze wiele trudności.

- Jestem mutantem - z goryczą przypomniał Fors. Pamiętał czasy, gdy ze wszystkich sił starał się ukryć właśnie przed tym człowiekiem swą inność. Zwłaszcza przed nim. Jari nie podjął wezwania.

- Dużo nad tym ostatnio myślałem i doszedłem do wniosku, że wszyscy możemy być mutantami. Któż dzisiaj poświadczy, że jesteśmy tacy sami jak Przodkowie? Moim zdaniem nadszedł czas, aby otwarcie o tym pomówić. Natomiast co do tej Bestii...

Zasypał Forsa pytaniami, które wydobły z niego wszystko, co zauważył w niewoli.

W dwa dni później na horyzoncie zarysowały się ostre szczyty gór.

Gdyby udało się im utrzymać dotychczasowe tempo marszu, to przed zapadnięciem ciemności powinni wyminąć zewnętrzne posterunki Eyrie. Chłopak przystanął, pogmerał przy pasie i z trudem wydobyl z pochwy miecz. Gdy Jar się z nim zrównał, wyciągnął broń w jego stronę głównią do przodu.

- Teraz jestem twoim więźniem.

Nie miał żadnego kłopotu z opanowaniem głosu. Ogarnął go spokój, jakby to, co stanie się z nim w ciągu najbliższych dni, nie miało żadnego znaczenia. Po prostu do zamknięcia tego fragmentu życia brakowało jeszcze kilku elementów. Ogarnęła go niecierpliwość. Chciał już mieć to za sobą - niech ogłoszą go wyjętym spod prawa i nakażą opuścić plemię. Ruszy w świat znów na Równiny. Pogodził się z tą myślą i był na taką ewentualność przygotowany.

Jar! bez słowa przyjął broń chłopca. Za jego plecami pojawiła się drżąca z niecierpliwości Lura. Umysł Forsa odbierał nagłą prośbę zwierzęcia. Teraz, gdy niebezpieczeństwo minęło, łączące ją z człowiekiem więzy posłuszeństwa zaczęły coraz bardziej ciążyć.

Tęskniła za górami i nieskrępowaną wolnością. Zwolnił ją jedna szybka myślą i w tej samej chwili wielki kot zniknął. Wiedział, że skoro tak szybko spełnił jej pragnienie, to Lura wróci, gdy tylko nasyci się swobodą.

Później Fors jechał jak we śnie. Od czasu do czasu z zarośli wychodzili strażnicy, pełniący służbę na najbardziej wysuniętych posterunkach Eyrie i pozdrawiali Jarla. Żaden z nich nie odezwał się do chłopca, a on sam również nie widział powodu, aby z nimi rozmawiać. Bez reszty pochłoneńo go pragnienie, aby jak najszybciej stanąć przed sądem Rady.

Pod wieczór wjechali do osady, gdzie szybko dotarli do Domu Gwiazdy. Tam wreszcie pozostawiono Forsa samego, w tym samym pomieszczeniu, które zbyszczęcił na początku ucieczki. Pusty hak po wiszącym tam kiedyś worku Langdona był niemyim przypomnieniem jego występku. Szkoda, że wyprawa zakończyła się kompletnym fiaskiem. Teraz już

nigdy nie uda się wykazać słuszności marzeń ojca. Zdumiony spostrzegł, że nawet ta myśl niezbyt go poruszyła. Może przecież wyruszyć na własną rękę, nie czekając na łaskawe pozwolenie Rady. Na pobliskiej ścianie skalnej zapełgał odbłask ognia Rady. Starsi zbierali się, aby go osadzić. Jednak w jego sprawie decydujący głos będą mieli Gwiazdziści, gdyż zrabował ich własność oraz naruszył ich zwyczaje i tajemnice.

Na dźwięk ostrożnych kroków w przedsionku Fors obrócił głowę. Przyszedł po niego jeden z odbywających nowicjat - Stephen z klanu Jastrzębia. Ruszył za nim i pp chwili wkroczyli w krąg światła, otoczony wznoszącymi się w górę rzędami gęsto ułożonych białych płam. Były to twarze, setki przypatrujących mu się z chłodnym zainteresowaniem twarzy. Starcy byli już w komplecie: Kronikarz, Zarządca Pól, Wodzowie Myśliwych i Obrońców. Za nimi zaś w zwartych kolumnach zasiedli rolnicy, myśliwi i strażnicy. Naprzeciw nich zebrała się liczna grupa Gwiazdzistych z Jarlem na czele. Ze wzniesioną dumnie srebrzystą głową Fors wszedł na wygładzoną skalną półkę.

- Forsie z Klanu Pумы - rozległ się głos Horsforda, Strażnika Eyrie - stoisz tu, gdyż naruszyłeś tradycje Eyrie. Ponieważ jednak twój postępek wymierzony był przede wszystkim przeciwko Gwiazdzistym, więc Rada właśnie im przyznaje prawo decydowania o twym dalszym losie. Krótko i treściwie. I prawdę mówiąc - całkiem uczciwie - myślał, że będzie gorzej. Ciekawe, co postanowią Gwiazdziści. Wszystko zależało od Jarla.

Spojrzał na wodza, który wydawał się być bez reszty pochłonięty obserwacją drgających języków płomieni. Nastąpiła długa cisza, a gdy w końcu Jari przemówił, jego słowa przykuły uwagę wszystkich słuchaczy.

- My, ludzie Eyrie, doszliśmy do miejsca, w którym otwierają się przed nami dwie drogi. Tylko od nas zależy wybór właściwej, a tym samym przyszłość nie tylko zebranych tu klanów, lecz także wszystkich ludzi zamieszkujących ten kraj, a może nawet całą ziemię. Dlatego też tej nocy złamię złożoną we wczesnej młodości uroczystą przysięgę i odsłonię przed wami tajemnicę, która oddzielała nas od reszty plemienia. Posłuchajcie wszyscy historii naszego znaku. Dzisiaj noszący Gwiazdę ludzie przemierzają dalekie szlaki, poszukując zapomnianej wiedzy. Kiedyś jednak to - jego ręka dotknęła zawieszanej na szyi metalowej gwiazdy, lśniącej i ciepłej od blasku ognia - miało inne znaczenie. Nasi przodkowie znaleźli się w tej górskiej kryjówce, gdyż naprawdę mieli zostać Gwiazdnymi Ludźmi, tutaj zaś oswajali się z życiem, jakie mieli prowadzić w innych światach. Nasze zapisy mówią, że człowiek stał u progu podróży ku gwiazdom, gdy ogarnięty szaleństwem sięgnął po śmiercionośną broń. My, którzy mieliśmy lecieć do gwiazd, chodzimy pieszo po spustoszonej ziemi. Ale ponad nami nadal przecież wiszą inne światy, a ich blask wciąż przyzywa nas z oddali, niosąc nieustannie obietnicę na przyszłość. Jeśli uda się nam uniknąć błędów Przodków, to z czasem poznamy więcej, niż tylko przecinające tę ziemię szlaki. Oto tajemnica, którą odsłaniamy dzisiaj przed wszystkimi, aby każdy człowiek wiedział, co straciliśmy przez szaleństwo Przodków oraz do czego możemy dojść, jeśli nie powtórzymy ich błędów.

Fors zacisnął dłonie do bólu. Więc człowiek utracił aż tyle. Powróciło niejasne uczucie tęsknoty, takie samo, jak wtedy na wymarłym lotnisku. Jacyż wielcy byli Przodkowie w swych marzeniach. Trzeba zrobić wszystko, co możliwe, aby te wspaniałe sny ponownie ożyły.

- Stoimy na rozdrożu - powtórzył powoli Jari! - i tym razem nie możemy się pomylić. Dlatego też wola Gwiazdzistych jest, aby Fors z Klanu Pумы, zrodzony z mieszanej krwi różnych plemion, był od tej chwili traktowany na równi z resztą społeczności, choć prawo naszych ojców chce inaczej. Najwyższa pora zmienić takie prawo. Od dziś Fors wyróżniać się będzie w inny sposób. Będzie wędrował wśród różnych ludzi, niosąc ze sobą wiedzę i pokój.

Mutant może posiadać cechy przydatne dla całego szczepu - wiemy o tym od dawna. Dlatego też ogłaszamy nowe prawo, zgodnie z którym mutant

równy jest zwykłemu człowiekowi. Jeśli w klanie urodzi się mutant, będzie zaliczony w poczet członków tego klanu. Któż z nas ma pewność - Jari powiódł wzrokiem po ludzkiej ciżbie, ponad którą zaczął narastać pomruk, nie wiadomo - aprobaty, czy sprzeciwu - kto ma pewność, że niczym nie różnimy się od Przotków? Czy chcemy zresztą być dokładnie tacy, jak oni? Wyrzec się gwiazd? Pomyślcie o tym. Odpowiedział mu Lekarz.

- Z punktu widzenia praw natury, to, co mówisz jest prawdą. Dzisiejsi ludzie są najprawdopodobniej inni niż przed Wybuchem. - Mutant zakaszłał. Dokładniej mówiąc, każdego z tu obecnych można w większym lub mniejszym stopniu określić tym mianem.

Horsford wznosił rękę, chcąc uciszyć nagłą wrzawę. Przez hałas przebiegał się jego donośny głos.

- Stała się rzecz doniosła, moi bracia. Gwiazdziści zerwali wreszcie więzy przeszłości. Czyż możemy być gorsi? Słyszeliśmy o dwóch drogach. Ja z kolei chcę mówić o rozwoju. Zapusciliśmy korzenie w wąskiej, górskiej dolinie. Ziemia tu kamienista i nieurodzajna, i choć zawsze musieliśmy wkładać wiele trudu w jej uprawę, to trzymaliśmy się tego miejsca z uporem. Teraz jednak, chcąc utrzymać się przy życiu, musimy ją opuścić, gdyż nie jest w stanie nas dłużej wykarmić. Zahamowanie rozwoju to śmierć, a ja, w imieniu Rady wybieram życie. Skoro niegdyś obiecano nam gwiazdy, powinniśmy znowu po nie sięgnąć.

Gdzieś z boku rozległ się głośny wiewat. Krzyk dochodził z tylnych rzędów, gdzie zebrała się młodzież. Po chwili dołączył następny głos i następny... Ludzie podrywali się na nogi w nagłym wybuchu radości, a w oczach ich zapalały się od dawna nie widziane blaski. Nigdy jeszcze ci opanowani i nazbyt poważni ludzie nie przypominali tak bardzo swych krewniaków z Równin. Plemię budziło się do nowego życia.

- I tak już będzie - poprzez hałas przedarł się głos Jarla. Na jego rozkazujący gest wrzawa nieco ucichła. - Dzisiejszego wieczoru wkroczyliśmy na nową drogę. Dla upamiętnienia naszego wyboru wręczamy Forsowi Gwiazdę niepodobną do żadnej innej, a on z kolei, gdy nadejdzie czas, przekaże ją wybranemu przez siebie następcy. Dzięki temu pośród nas zawsze będzie ktoś, kto będzie rozmawiał z ludźmi jak przyjaciel, bezstronnie ich oceniał i troszczył się o utrzymanie między nimi pokoju.

Jari podszedł do Forsa, w podniesionej ręce trzymając ozdobny łańcuch, z którego zwisała Gwiazda. Nie miała jak zwykle, pięciu ramion, lecz wykonana była z wielu promieni, tak, że przypominała wskazującą wszystkie kierunki jednocześnie igłę kompasu. Odznaka zimnym ciężarem spoczęła na szyi chłopca.

Na ten widok zebrani mężczyźni wykrzyknęli zgodnie należne nowo wybranemu Gwiazdzistemu pozdrowienie. W potężnym chórze głosów zabrzmiała nieznaną nutą. Oto bowiem zabłysła nowa gwiazda i nikt ze stojących wokół ognia nie mógł przewidzieć, co z tego wyniknie. Prawdę mówiąc, nie wiedział tego nawet sam Fors.

Posłowie

Są autorzy, których książki równie szybko zdobywają uznanie, jak i je tracą.

Podobni są kometom, które mknąc po nieboskłonie powodują o wiele więcej zamieszania niżli radości. Są autorzy, których za życia obsypuje się nagrodami, pisze się o nich tomy książek, a którzy bardzo szybko tracą na znaczeniu. Choroba ta atakuje nawet największych - wystarczy przejrzeć listy laureatów Nagrody Nobla, by stwierdzić, że tylko nieliczni przeszli zwycięsko próbę czasu. Mijają mody, przebrzmiewają problemy, a czas nieubłaganie demaskuje wielkość pozornych gigantów. Są wreszcie inni, nie dbający o uludną sławę chwili, o zmienne upodobania krytyków. Są jak wiekowe drzewa, trwają mimo zmiennych warunków, wbrew przeciwnością mody. Andre Norton należy do tych pisarek, których wielkość tkwi w ponadczasowym

znaczeniu jej książek. Jak pisze Annę McCaffrey - jedna z największych gwiazd światowej science-fiction - Andre Norton będzie czytana nawet wówczas, gdy "o wielu z nas nie będzie już nikt pamiętał". Bez cienia ryzyka można stwierdzić, że książki Andre Norton będą czytane i za kilkadziesiąt lat, przez nasze dzieci i przez naszych wnuków. Zajmą miejsce obok książek takich autorów, jak Verne czy Haggard. Oczywiście trudno jest powiedzieć, kto z tłumu współczesnych pisarzy science-fiction przejdzie próbę czasu. Ja jestem pewien, że największe szansę na to ma Andre Norton.

ANDRE NORTON (właściwie Alice Mary Norton, urodziła się 17 kwietnia 1912 roku w Cleveland w stanie Ohio. W latach 1930-32 studiowała na Attended Western Reserve University (obecnie Case Western Reserve University). W latach 1930-41 pracowała w bibliotece dla dzieci w Cleveland. W 1942-51 była sprzedawcą i bibliotekarką w Mystery House. Od 1950 roku utrzymuje się z pisarstwa. W międzyczasie pracowała jako wydawca w Gnome Press (1950-58). Otrzymała m. in. następujące nagrody:

- w 1951 Boy's Clubs of America Medal za Bullard of the Space Patrol,
- w 1962 nominację do Hugo za powieść Star Hunter i w 1964 to samo, za najgłośniejszą jej książkę " Świat Czarownic",
- w 1963 roku Invisible Little Mań (przyznany na Westemcon XVI) za całokształt twórczości;
- w 1965 Boy's Clubs of America Certificate of Merit za Night of Mask;
- w 1976 Phoenix Award za całokształt twórczości;
- w 1977 otrzymuje jedną z najbardziej prestiżowych nagród Gandalf Master of Fantasy przyznaną na Światowym Konwencie Science-Fiction;
- w 1979 Bałrog Fantasy Award and Ohioana Award za całokształt twórczości;
- w 1981 Fritz Leiber Award za wkład do fantasy;
- w 1984 E.E. Smith Award;
- w 1984 roku otrzymuje tytuł Wielkiego Mistrza SF (Nebula Grand Master Award) oraz w tym samym roku Jules Verne Award.

* * *

Mimo, iż trudno znaleźć gatunek literacki w literaturze masowej, w którym by Andre Norton nie opublikowała swych książek, to jednak w świecie znana jest głównie jako pisarka science-fiction oraz fantasy. Jej pierwszą książką sf była powieść Star Mans Son, 2250 A. D. (1952) (później ukazywała się ona pod tytułem Daybreak: 2250 A. D. (1954)), która obecnie trafia do rąk polskich czytelników. Od tego czasu opublikowała ponad sto powieści (poza sf i fantasy były to powieści detektywistyczne, romanse, powieści gotyckie, a nawet obecnie z Robertem Blochem napisała horror), sprzedanych w ponad milionie egzemplarzy. Wielu nie wyobraża sobie sf i fantasy bez jej książek. Jest autorką m. in. następujących najgłośniejszych cykli sf: Solar Queen, Time War, Beast Master, Time Travel, Moon Magic, Forerunner, Star Kaat (napisane wspólnie z Dorothy Madlee). Ale największy rozgłos przyniosły jej książki fantasy, w tym najsłynniejszy cykl "Świat Czarownic".

Książki niektórych pisarzy science-fiction czy fantasy czyta się dlatego, że należy, że można o nich dyskutować, książki Andre Norton czyta się po prostu dla przyjemności. Charakteryzują się one bowiem czymś nieuchwytnym, czymś, co można by było nazwać czarem rzucanym na czytelnika, który zniewala go i powoduje, że czyta się je bez wytchnienia. Niezależnie od tego, czy ma się kilkanaście, czy kilkadziesiąt lat, zawsze znajdziemy w nich coś dla siebie. Andre Norton zachwyca nas rozmachem opisywanego świata, bogactwem przyrody, urodą życia, głosi pochwałę dobra i piękna, opisuje dążenie do prawdy i szczęścia. Wierzy, że świat jest z natury dobry, a człowiek mądry, że każdy problem może być rozwiązany, jeśli tylko człowiek pragnie tego i postępuje godziwie.

Jej twórczość w doskonały wręcz sposób spełnia wymogi stawiane przez czytelników przed science-fiction. Nie znajdziemy w jej książkach rozmaitych "udziwnień" czy to formalnych, czy treściowych, dlatego też jest tak chętnie czytana przez miliony czytelników na świecie.

Andre Norton jest nie tylko pisarką, twórczynią cudownych światów, ale jest także przewodnikiem, który prowadzi nas przez życie, jej książki to rodzaj osobliwej inicjacji w życie dorosłe. Ten wymiar jej twórczości doskonale ilustruje "Świt, 2250 A. D.", gdzie główny bohater, młody mutant, odrzucony przez społeczeństwo żyjące w zniszczonym przez kataklizm atomowy świecie odbywa wręcz rytualną podróż o charakterze inicjacyjnym, dzięki której dojrzewa, odnajduje siebie i uzyskuje akceptację innych. "Świt, 2250 A. D." mówi o chłopcu, który pełen zwątpienia, lęku i niepewności - tak charakterystycznych dla okresu dojrzewania - osiąga pewność siebie, zdecydowanie i poczucie sensu, tak konieczne dla dorosłego życia. Jest to historia przechodzenia od dzieciństwa do dojrzałości. W powieści tej czytelnik także znajdzie inne charakterystyczne dla Andre Norton rysy jej twórczości, takie jak dążenie do samopoznania, do akceptacji innych, do szacunku wobec odmiennych i odrzuconych (to właśnie Andre Norton wprowadziła do powieści science-fiction, innych niż tylko białych protestantów bohaterów). O Andre Norton i jej książkach można pisać wiele - o tym, iż jest niekwestionowanym moralnym autorytetem w tej literaturze - ale w niczym to nie zastąpi tego, co można przeżyć czytając jej książki.

Tadeusz Zysk